



# SHANNON WAVERLY

---



*Lauren, czyli  
harmonia doskonała*

# Rozdział 1

„Jeśli sądzisz, że szczęścia nie da się kupić, może chodzisz po niewłaściwych sklepach”. Lauren podniosła wyżej bawełnianą koszulkę, żeby wyeksponować napis. Powinien rozśmieszyć matkę.

- Jak myślisz, mamuś? - zwróciła się do stojącej obok kobiety. - Kupimy sobie po jednej?

Audrey DeStefano nie odpowiedziała. Przypuszczalnie nawet nie usłyszała pytania córki. Błada, zastygła w bezruchu, wyglądała jak jeden z manekinów zdobiących sklepik.

- Mamo?

Lauren położyła rękę na ramieniu matki. Audrey miała zaledwie pięćdziesiąt pięć lat, lecz ostatnie dwa lata po śmierci męża wyraźnie odcisnęły na niej piętno. Płomiennorude włosy, których wspaniały kolor odziedziczyła po niej cała piątka potomstwa, były teraz gęsto poprzetykane siwizną, a w zielonych oczach, których barwę również przekazała dzieciom, krył się bezbrzeżny smutek. Lauren mogła się tylko domyślać, jak wielkie szkody poczynił na zdrowiu matki ból po stracie ukochanego męża.

Po chwili Audrey DeStefano otrząsnęła się.

- Chodźmy - powiedziała cicho.

- Co ci jest, mamuś?

- Nic. Chodźmy.

Lauren zmarszczyła w zadumie czoło. Przed chwilą tu weszły. Nawet nie miały czasu poszperać po półkach. Nie żeby jej na tym strasznie zależało. Nigdy nie przepadała za takim bezcelowym snuciem się po sklepach, ale te niedzielne wycieczki sprawiały przyjemność Audrey, a dla matki Lauren zawsze gotowa była się poświęcić.

- Rusz się, kochanie - ponagliła Audrey córkę. Stała przygarbiona, co najmniej z pięć centymetrów niższa niż w rzeczywistości.

Lauren poczuła, jak włącza się w niej wewnętrzny radar. Rozejrzała się wkoło po zatłoczonym sklepie i... kilka kroków dalej, przy wieszaku na lewo, spostrzegła kobietę, która wydawała się dziwnie znajoma. Hm, kto to może być?

- Gerta Dumont! - przypomniała sobie po chwili. - Mamo, przecież kiedyś się przyjaźniłyście.

Oblawszy się rumieńcem, Audrey potrząsnęła głową, spojrzeniem błagając córkę, aby pozwoliła jej odejść.

- Tyle lat się nie widziałyście. Nie chcesz dowiedzieć się, co u niej słychać, pochwalić się swoimi dziećmi i wnukami?

Audrey najwyraźniej nie chciała, bo była już w połowie drogi do drzwi. Lauren odłożyła koszulkę i podążyła za matką.

- Zwolnij! - zawołała, chwytając ją za łokieć. Usiadły na ławce przed sklepem cukierniczym. - Porozmawiaj ze mną. Co się dzieje? Dlaczego tak wybiegłaś? - Właściwie nie musiała o to pytać, bo domyślała się, w czym tkwi problem.

- Przepraszam. - Audrey zawstydzona spuściła głowę.

- Och, mamo. - Lauren objęła matkę za ramię. Nie wiedziała, czy śmiać się, czy płakać. - Wiele się zmieniło, odkąd opuściliśmy Harmony.

- W naszym życiu owszem, ale nie na wyspie. Tam wszystko toczy się po staremu. Mogę się założyć, że ludzie do dziś pamiętają różne inwestycje twojego ojca, z których nigdy nic nie wychodziło, jego polityczne wystąpienia... - W jej głosie brzmiał ból. - No i przejęcie naszego domu przez bank. To najlepiej pamiętają.

Lauren ogarnęło zniechęcenie, znużenie, wyrzuty sumienia. Przeprowadzili się do Bostonu dwanaście lat temu, lecz upokorzenie, jakie Audrey odczuwała, było równie silne dziś jak w dniu wyjazdu z Harmony. Niepowodzenia finansowe i utrata domu to nie jedyne problemy, jakim rodzina DeStefanów musiała stawić czoło. Była też sprawa ciąży ich piętnastoletniej córki i związany z tym skandal. Skandal tym większy, że ojcem dziecka był czternastoletni chłopiec, w dodatku jedyny syn Hathawayów.

Chociaż matka nigdy nie poruszała tego tematu, nie ulegało wątpliwości, że nie zapominała o całej aferze - na widok dawnych znajomych po prostu miała ochotę zapaść się pod ziemię. Lauren westchnęła głęboko i pokręciła z rezygnacją głową.

Miała wrażenie, jakby wszystko, na co tak ciężko przez lata pracowała i co w życiu osiągnęła, przestało się nagle liczyć.

Do diabła, a właśnie że się liczy! Nie zamierzała pozwolić, aby przeszłość bez końca ciążyła na teraźniejszości. Posiadała nieruchomości warte pięć milionów dolarów. Ale nie to było ważne, nie same pieniądze - ważne było to, co mogła z nimi zrobić. Robiła zaś wiele: finansowała rodzeństwu studia, płaciła za wesela, fundowała wakacje, udzielała bezprocentowych pożyczek na kupno samochodu lub wpłatę pierwszej raty na dom. A dwóm siostrom nawet dawała zatrudnienie.

Jako najstarsza zawsze czuła się odpowiedzialna za rodzeństwo. Ku jej zadowoleniu, wszyscy bracia i siostry doskonale sobie teraz w życiu radzili. Martwiła się jedynie o matkę, której tyle zawdzięczała i która niezliczoną ilość razy stawała w jej obronie. Po śmierci męża Audrey zamknęła się w sobie, odsunęła od przyjaciół, zrezygnowała z różnych zajęć i w wieku pięćdziesięciu pięciu lat stała się staruszką. Najgorzej było ubiegłej jesieni, kiedy jej najmłodsza latorośl opuściła dom i wyjechała na studia.

Lauren zerknęła na matkę i zobaczyła, że ta wciąż łypie wzrokiem w stronę sklepu, jakby obawiając się nadejścia swej dawnej przyjaciółki.

- Mamo, czy to naprawdę takie ważne, co o nas myślą?

- Nie, kochanie. - Kobieta potrząsnęła głową, ale jej oczy mówiły co innego. - Nieważne.

W Lauren zawrzała złość, złość na ojca, na siebie, na Hathawayów, którzy uczynili ich życie tak nieszczęśliwym. Boże, jak strasznie nienawidziła tego nędznego kawałka lądu leżącego dwadzieścia kilometrów w głąb morza. Wkrótce jednak jej złość ustąpiła, bo w gruncie rzeczy, podobnie jak matka, ona też kochała tę wysepkę.

- Tęsknisz za Harmony, prawda, mamus?

Zasznurowawszy usta, Audrey wpatrywała się w coś po drugiej stronie ulicy. Po chwili wzruszyła ramionami, ale w jej oczach zakręciły się łzy. Przez kilka minut kobiety siedziały bez słowa. Młodsza ścisnęła starszą za rękę; nic nie mówiła, ale cały czas intensywnie myślała. Już od jakiegoś czasu chciała kupić matce dom na wyspie, a dziś zrozumiała, że nie powinna dłużej zwlekać.

Poczuła dziwny ucisk w piersi. Opuściła Harmony w wieku osiemnastu lat. Od tej pory była tam trzykrotnie: rok później z okazji ślubu swej najlepszej przyjaciółki, Cathryn McGrath; ubiegłej jesieni, kiedy dawni przyjaciele zjechali się na uroczystość żałobną po śmierci ich zamordowanej koleżanki, Amber Loring Davoll; oraz niespełna dwa miesiące temu, kiedy inna jej przyjaciółka, Julia Lewis, poprosiła ją, by została druhną na jej ślubie. Ale te trzy krótkie wizyty się nie liczyły. Podczas żadnej z nich nie natknęła się na Camerona.

Jeżeli jednak zechce kupić mamie posiadłość na Harmony, spotkanie z Cameronem będzie nieuniknione, zwłaszcza że wyspa była mała, a domu nie da się kupić na chybcika. Dom musiałby być odpowiedni, starannie wybrany, taki, żeby mama dobrze się w nim czuła. Żeby wreszcie pozbyła się kompleksów i mogła chodzić z uniesioną głową.

Odzyskanie godności, dumy - to dopiero początek. Byłyby też inne korzyści z powrotu matki na wyspę. Audrey miała tam mnóstwo znajomych. Odnowienie starych przyjaźni, zadanie niewątpliwie trudne, byłoby dla niej korzystne. Mogłaby również wrócić do zajęć, które kiedyś sprawiały jej przyjemność: do uprawiania ogródka i spacerów po plaży. Wpłynęłoby to pozytywnie zarówno na jej zdrowie fizyczne, jak i psychiczne.

Nie tęskniłaby za dziećmi. Nie miałyby kiedy, bo ciągle przyjeżdżałyby do niej w odwiedziny; widywaliby się częściej niż w Bostonie.

A kiedy zostawałaby sama, bez synów, córek, wnuków, wtedy... Tak, to doskonały pomysł. Już wcześniej przyszedł Lauren do głowy, ale dopiero teraz zdała sobie sprawę, że to wszystko naprawdę ma sens. Otóż kiedy dzieci wracały do siebie, wtedy Audrey mogłaby wynajmować pokoje przyjeżdżającym na wyspę turystom. Mogłaby prowadzić coś w rodzaju pensjonatu. W kwietniu, kiedy przyleciała na Harmony z okazji ślubu Julii, Lauren zauważyła sporo małych prywatnych hotelików. Niektóre były otwarte przez okrągły rok - najlepszy dowód na to, że miasteczko potrzebuje miejsc noclegowych.

Wiedziała, że należy pchnąć matkę we właściwym kierunku. Audrey czuła się samotna, osowiała i bezużyteczna, a prowadzenie pensjonatu dałoby jej jakiś cel w życiu. Zresztą lubiła tego rodzaju zajęcia; uwielbiała gotować, dbać o dom,

przyjmować gości. Podczas ostatnich paru wycieczek, jakie odbyły razem po Maine, matka kilkakrotnie napomknęła o tym, że zazdrości właścicielom pensjonatów i że chętnie wiodłaby takie życie jak oni.

Oczywiście, może nie będzie miała ochoty mieszkać na Harmony przez dwanaście miesięcy w roku. Nie szkodzi, przecież nie musi pozbywać się mieszkania w Bostonie. Ha! Dopiero się niektórzy zdziwią, że Audrey DeStefano ma letni dom na wyspie!

Była połowa czerwca. Z każdą sekundą Lauren czuła się coraz bardziej podniecona. Jeżeli natychmiast przystąpi do działania, do końca lipca powinna znaleźć odpowiedni dom i załatwić wszystkie formalności. Potem remont... Pogoda idealna, żadnych opóźnień z powodu zimna i śloty.

Wszystko mogłoby być skończone do grudnia. Do grudnia? Aż podskoczyła. O rany! Mogłaby podarować mamie dom w prezencie gwiazdkowym! Korciło ją, aby podzielić się z Audrey tą wspaniałą nowiną, lecz w porę ugryzła się w język. To ma być niespodzianka.

Oczywiście, jako osoba twardo stąpająca po ziemi, miała świadomość, że kupno, a zwłaszcza remont domu na wyspie będzie się wiązał z różnymi problemami, z którymi nie zetknęłaby się na kontynencie, ale postanowiła się nimi nie przejmować. Na razie myślała wyłącznie o tym, jak miło będzie spędzić z rodziną święta Bożego Narodzenia na wyspie i widzieć radość na twarzy Audrey.

Dużo by dała, żeby wstępny etap już mieć za sobą, żeby nie musieć szukać domu, a potem go remontować. Wiedziała bowiem, że w miejscu liczącym około sześciuset stałych mieszkańców nie zdoła uniknąć spotkania z Cameronem, jego rodzicami i ich wścibskimi przyjaciółmi.

Bała się. Kiedy opuszczała Harmony, wciąż buzowała w niej złość i chęć odwetu. Hathawayowie, w szczególności Pru Hathaway, boleśnie skrzywdzili ją i jej rodzinę. Chociaż Lauren broniła się, chociaż próbowała przekonać ludzi, że mówi prawdę, niektórzy mieszkańcy Harmony uwierzyli w kłamstwa i kalumnie. Pani Hathaway rozpowiadała wkoło, że Lauren DeStefano sypia z każdym, a więc każdy może być ojcem jej dziecka. Każdy, tylko nie Cameron. Chłopak taki jak on nie sypia z takimi jak Lauren DeStefano; dziewczynę, aby wskazała na Cama, podpuścił jej

ojciec, Tom DeStefano. Oboje byli „kochającymi forszę oportunistami”, którzy wymyślili, że poprzez alimenty dla dziecka uszczkną sobie coś z majątku Hathawayów.

Ludzie, którzy uwierzyli w te kłamstwa, naturalnie nie uwierzyli w to, że Lauren miała poronienie. Uwierzyli w wersję o skrobance, którą przedstawiła im Pru Hathaway. Pru twierdziła, że kiedy DeStefanowie zrozumieli, że nie uda im się wydusić z Hathawayów pieniędzy, postanowili skłonić Lauren do pozbycia się ciąży. Bo na cholere im dziecko?

Najbardziej Lauren bolało to, że Cameron też uwierzył w brednie rozprowadane przez jego matkę. Cameron, który był jej najbliższym przyjacielem, który kiedyś świata poza nią nie widział... Rodzice czym prędzej wysłali go do szkoły z internatem, ale kiedy wrócił do domu podczas ferii, wygarnął Lauren, co o niej myśli - o niej i o tym, czego się dopuściła.

DeStefanowie jeszcze przez trzy lata mieszkali na Harmony; przez trzy długie lata Lauren chodziła na wyspie do szkoły, trzymała głowę dumnie uniesioną i udawała, że nie obchodzą jej plotki. Tak jednak nie było. Wyjeżdżając, przysięgła sobie, że zarobi mnóstwo pieniędzy i któregoś dnia wróci na wyspę jako kobieta sukcesu. Pokaże Hathawayom, na co ją stać.

Nie miała cienia wątpliwości, że jej się uda. Dziewięć osób, z którymi kończyła szkołę średnią, też w nią wierzyło. W księdze pamiątkowej, jaką każdy absolwent dostaje na zakończenie nauki, pod zdjęciem Lauren figurował napis: „Ta, która ma największą szansę podbić świat”.

Może świata nie podbiła, może fortuny się nie dorobiła, lecz była wystarczająco bogata. Dlaczego więc czuła się tak niepewnie na myśl o powrocie na wyspę?

Oparła głowę o ścianę sklepu, przed którym stała ławka, zamknęła oczy i pograżyła się w zadumie; poczucie krzywdy, ból, złość, pragnienie zemsty - wszystko to w sobie odnalazła, ale...

Ale czas zrobił swoje. Wydoroślała, dojrzała, zrozumiała, że zemsta nie ma sensu. Wciąż jednak bolały ją plotki o ciąży i skrobance. Ludzie mają długą pamięć; przekonała się o tym niedawno, kiedy wróciła na wyspę z okazji ślubu Julii.

Oczywiście wszyscy byli mili, uprzejmi, nikt jej palcem nie wytykał, o nic nie



oskarżał, ale w oczach niektórych osób nadal widziała spojrzenie, które mówiło: „Aha, to ta mała DeStefano, która w wieku piętnastu lat zaszła w ciążę”.

Upokorzenie, wstyd, strach. Głęboko zakorzenione emocje, w dodatku bardzo zdradliwe, potrafiące człowieka unieszczęśliwić, podciąć mu skrzydła, powstrzymać przed działaniem. Lauren chciała się od nich uwolnić, uporać się z przeszłością. Chciała przyjeżdżać na Harmony, spotykać się z przyjaciółmi i nie czuć ciężącego nad nią odium. Tęskniła za Julią i Cathryn, pragnęła je częściej odwiedzać. Śmierć Amber uzmysłowiła jej, jak kruche jest życie. Całymi latami wmawiała w siebie, że nie brakuje jej wyspy, ale teraz zrozumiała, że to nieprawda.

Otworzywszy oczy, westchnęła głęboko i poczuła się znacznie lepiej. Czasem pierwszym krokiem do rozwiązania problemu jest uświadomienie sobie, że taki problem w ogóle istnieje. Popatrzyła na matkę.

- Chcesz jeszcze połączyć po sklepach?

- Nie, kochanie. Chcę iść do domu.

- Ja też, mamuś. - Zdecydowanym ruchem podniosła się z ławki. - Ja też.

Cameron Hathaway siedział przy stoliku pod oknem, jedząc placki kukurydziane polane melasą - specjalność małego lokalu przy Water Street. Naprzeciw niego siedział Fred Gardiner, który krytykował pomysł wystawienia na licytację posiadłości Rockland - nazwanej tak od nazwy miejscowości, z której pochodzili jej pierwotni właściciele.

Cameron niezbyt uważnie przysłuchiwał się narzekaniom Freda. Za oknem miasteczko powoli budziło się do życia. Po jednej stronie ulicy właściciele sklepików i restauracji otwierali swe podwoje: rozkładali parasole dające trochę zbawiennego cienia, ustawiali krzesła, wycierali zmoczone rosą stoliki. Ktoś podlewał kwiaty w skrzynkach na oknie, sprzedawcy wykładali na straganach swój towar: koszulki z zabawnymi napisami, książki, pocztówki, okulary przeciwsłoneczne, słodczyce, obrazki z widokiem morza. Po drugiej stronie ulicy kilka osób stało na molo, czekając na prom.

Tu i ówdzie na zacumowanych w porcie żaglówkach siedzieli w pomiętych szortach i wczorajszych koszulkach bosonodzy, spaleni na brąz amatorzy wody,



delektując się poranną filiżanką kawy. Słońce świeciło jaskrawo, niebo miało kolor błękitu, a woda chlupotała cichutko, omywając brzeg.

Cameron uwielbiał letnie poranki. Za kilka godzin ulice i sklepy zapelniały się turystami, szum motorówek wypełni powietrze, szosą prowadzącą w stronę plaży będzie sunąć sznur pojazdów. Ale na razie Harmony była najwspanialszym miejscem na ziemi; panowała tu idealna cisza i spokój. Jeśli nie liczyć utyskiwań Freda Gardinera.

Wczesny ranek był najlepszą porą, jeśli chciało się pogadać z innymi wyspiarzami. W ciągu dnia bowiem wszystkie stoliki zajęte były przez przyjezdnych. Dopiero zimą miejscowi mieli lokale dla siebie. Zimą... ale był jeszcze środek lata.

- Chciwość - mruknął Fred, smarując masłem babeczkę jagodową. - Chęć zysku. To się kryje za licytacją.

- Masz rację - przyznał Cameron, gestem witając ojca, który właśnie pchnął drzwi i skierował kroki w stronę swego ulubionego stołka przy barze. Pru zawsze podawała mężowi obfite śniadanie, ale przed pójściem do portu Clay zwykle wstępował do „Water Diner” na kawę. - Gdyby facetem nie kierowała chciwość, mógłby ustalić jakąś rozsądną cenę i normalnie wystawić dom na sprzedaż.

Fred skrzywił się. Z tym grymasem na twarzy bardziej niż projektanta wewnątrz przypominał robotnika portowego.

- Gdyby nie kierowała nim chciwość, mógłby podarować dom Towarzystwu.

Cameron uśmiechnął się. Jako przewodniczący Towarzystwa Przyjaciół Harmony Fred wyraził chęć kupna domu, lecz jego ofertę odrzucono. Wprawdzie nie zaproponował oszałamiającej sumy, ale TPH nie było bogatą instytucją. Większość nieruchomości wchodzących w skład majątku Towarzystwa została mu podarowana przez ludzi, którzy potrafili docenić, co organizacja robi dla dobra wyspy; Freda najbardziej ubodło to, że właściciel Rockland - człowiek z zewnątrz, który niedawno odziedziczył tę wspaniałą posiadłość, lecz nie zamierzał przenieść się na wyspę - nie tylko nie chciał podarować Towarzystwu swojej posiadłości, ale nawet nie chciał mu jej sprzedać.

- Mam nadzieję, że cały ten pomysł spali na panewce - ciągnął Fred. - Mam nadzieję, że nikt się nie zjawi. Poza tobą oczywiście.

- Oczywiście.

Rechocząc pod nosem, Fred podniósł do ust kubek.

- Cóż, skoro my nie możemy nabyć domu, lepiej żeby trafił w twoje ręce niż kogoś obcego. - Po chwili jego twarz znów posmutniała. - Cholera. Turyści lubią zwiedzać odrestaurowane przez nas domy. Ten byłby prawdziwą atrakcją...

Cameron zjadł ostatni kawałek placka, po czym wytarł usta papierową serwetką.

- Zwłaszcza z powodu legendy o lady Gray.

- Fakt. - Fred zadumał się. - Może dojdziemy do jakiegoś porozumienia, co, Cam? Na przykład, że kilka razy w roku, latem i w okresie Bożego Narodzenia, będzie istniała możliwość zwiedzania domu. Oraz że na terenie ogrodu organizowane będą koncerty na cele charytatywne. Jak myślisz?

- Myślał indyk o niedzieli. Poczekajmy do jutra, Fred.

- Na pewno wygrasz. Nikt nie będzie się z tobą licytował.

- O wyspiarzy się nie martwię. Martwię się o obcych. O wielkich inwestorów.

- Macie równe szanse - rzekł Fred, usiłując go pocieszyć. - Wierzę, że kupisz Rockland. W dodatku za przystępną cenę.

Oby, pomyślał Cameron. Od dziecka uwielbiał tę posiadłość, ale ostatnio czuł niemal obsesyjną potrzebę zostania jej właścicielem. Niewątpliwie wpływ na to miała książka, nad którą obecnie pracował - „Legandy Harmony”.

Najbardziej lubił legendę o szkunerze „Lady Gray”, który w grudniu 1843 roku wypłynął z Rockland w stanie Maine i podczas silnych wiatrów z północnego wschodu wpadł na mieliznę nieopodal Harmony. Zanim ratownicy z wyspy zdołali dotrzeć do statku, potężne fale zmyły z pokładu większość załogi, między innymi kapitana Johna Graya. Żonę kapitana udało się jednak uratować. Isabel Gray wspięła się po omasztowaniu i trzymając się mocno lin, walczyła o życie, zarówno swoje, jak i dziecka, które nosiła w łonie, a które wkrótce później straciła.

Jak na tamte czasy była silną, wyzwoloną kobietą, nie ulegającą nakazom tradycji. Zamiast wrócić w rodzinne strony, postanowiła zbudować dom na Harmony, dom odpowiedni dla żony bogatego kapitana marynarki handlowej. Tak też zrobiła i

została tu do końca życia, blisko miejsca, w którym zginął jej mąż. Nie potrafiła rozstać się ze swym ukochanym Johnem.

Najwyraźniej on też nie potrafił się z nią rozstać. Isabel przeżyła męża o czterdzieści pięć lat, lecz w tym czasie ukazał się jej ze dwadzieścia pięć razy. Przynajmniej ona tak twierdziła; raz na kilka lub kilkanaście miesięcy widywała szkuner, który wyglądał tak, jakby był wykonany ze szkła i wypełniony białym ogniem. Ognisty szklany statek można by uznać za majaki zrozpaczonej kobiety, która oszalała po stracie męża, gdyby nie to, iż po jej śmierci parę osób również przysięgało, że widziało „Lady Gray”. I tak powoli powstała legenda.

Z czasem zaczęła się rozrastać, dochodziły nowe szczegóły; według jednej wersji ci, którym dane było ujrzeć statek, mogli być pewni szczęścia w miłości, według drugiej wersji wprost przeciwnie, a według trzeciej pojawienie się statku stanowiło ostrzeżenie przed zbliżającą się burzą.

Cameronowi najbardziej podobał się motyw powracania. Jedna z wersji mówiła, że szkuner „Lady Gray” jest uwięziony w czasie; że usiłuje opłynąć skały, przybyć na wyspę po Isabel, ale za każdym razem, gdy dociera do miejsca, w którym zdarzyła się tragedia, ponownie znika. I tak w kółko. John i Isabel byli skazani na to, aby tęsknić za sobą przez wieki.

Byli jednak i tacy, którzy wierzyli, że prędzej czy później statek opłynie mieliznę i kapitan wreszcie porwie swą żonę w ramiona; wierzyli, że dopiero wówczas, gdy to się stanie, statek przestanie powracać w te strony. W jaki sposób miałyby dojść do spotkania małżonków, tego nikt nie wiedział ani nie próbował wyjaśniać.

Tak czy owak była to fascynująca historia, a zbudowany przez Isabel Gray dom stanowił jej integralną część. Ale nawet bez legendy o statku widmie i wypatrującej męża wdowie dom, wspaniały i jedyny na wyspie przykład architektury neoklasycystycznej, zasługiwał na to, by poddać go starannej renowacji. Cameron zaś był najbardziej odpowiednim człowiekiem, aby podjąć się tego zadania.

W wieku dwudziestu dziewięciu lat uchodził za eksperta od historii i architektury wyspy. Tematowi Harmonii poświęcił już dwie książki oraz niezliczoną

liczbę artykułów. Pomagał przy konserwacji kilku ważnych na wyspie obiektów, a od dwóch lat przewodniczył radzie miejskiej przy Urzędzie Konserwatora.

- Swoją drogą, masz jakieś plany związane z Rockland? - spytał go Asa Hodge, właściciel „Water Diner”, zupełnie nie speszony tym, iż przysłuchiwał się rozmowie Cama z Fredem.

Siedzący na stołkach klienci, w tym Clayton Hathaway, odwrócili głowy, czekając na odpowiedź.

Cameron posłał ojcu uśmiech, w którym było wiele uznania i synowskiej miłości. To ojciec zaszczepił w nim wszystkie wartości, z których był dumny: poważny stosunek do pracy, dumę z własnego dziedzictwa, umiłowanie wyspy, szacunek dla otaczającego ją morza, poczucie odpowiedzialności za piękno, porządek i harmonię.

Pociągnął łyk kawy, dumając nad odpowiedzią. Z krótkiej przerwy w rozmowie skorzystała Birdie Ames, która latem dorabiała jako taksówkarz.

- Taki odrestaurowany dom byłby idealnym prezentem ślubnym dla nowej pani Hathaway, prawda?

Ktoś odchrząknął, ktoś parsknął śmiechem, ktoś odstawił szklanekę na stół.

- Owszem, Birdie - odparł Cam. - Byłby idealnym prezentem ślubnym, gdybym w najbliższym czasie zamierzał się zenić.

O tym, czy ustalili już z Eryką datę ślubu, nie miał zamiaru nikogo informować. Zresztą nie tylko Birdie zżerała ciekawość. Również matka suszyła mu głowę; marzyła o tym, by rzucić się w wir przygotowań ślubnych. Nawet ojciec coraz częściej przebąkiwał, że czas najwyższy założyć rodzinę, bądź co bądź Cameron jest jedynakiem; jeśli się nie ożeni i nie spłodzi dzieci, na nim zakończy się ród Hathawayów, a to oznacza, że wszystko po nich zaginie - ziemia, domy, pamięć, historia.

Cameron oczywiście chciał się ożenić i mieć potomstwo.

Wcale nie uśmiechała mu się myśl, że nazwisko Hathawayów miałyby wymrzeć, a majątek przepaść. Uważał jednak, że pośpiech przy zakładaniu rodziny nie jest wskazany.

- Wracając do pytania Asy... - rzekł ku widocznemu niezadowoleniu Birdie. - Otóż jeżeli uda mi się kupić Rockland, zrobię to samo, co zrobiłoby Towarzystwo Przyjaciół Harmony.

Skip Reed, który zarabiał na życie połowem ryb, podsunął wyżej na czoło czapkę z daszkiem i przyjrzał się Cameronowi.

- Więc urządzisz tam coś w rodzaju muzeum?

- Tak, Skip.

- I będziesz tam również mieszkał? - spytał Fred.

- No pewnie. Ale nie bój się, chętnie udostępnię dom zwiedzającym.

- W Rockland powinien zamieszkać właśnie ktoś taki jak ty - oznajmił Billy Davis, który wraz z ojcem Camerona zasiadał w jednej z komisji wydziału gospodarki przestrzennej. - Człowiek kochający wyspę, miłośnik jej historii...

Lucy Fernandez, pięćdziesięciokilkuletnia blondynka przy kości o tapirowanych włosach, która pracowała tu jako kelnerka, szła od stolika do stolika, dolewając gościom kawy.

- Mam biurko, które kiedyś stało w Rockland - rzekła.

- Serio? - Cameron popatrzył na nią z zaciekawieniem.

- Tak. Addie i Doc Smith podarowali je mojemu ojcu w ramach zapłaty za wytapetowanie im wnętrza. Powiedzieli, że stało w salonie, kiedy kupili dom od poprzednich właścicieli. - Kobieta dołała kawy obu mężczyznom. - Wiesz co, złociutki? Jeśli kupisz Rockland, dam ci to biurko w prezencie. Na dobry początek.

Cameron był tak wzruszony jej wielkodusznością, że nie wiedział, co powiedzieć. Lucy Fernandez skinęła ze zrozumieniem głową, po czym lekko uścisnęła go za ramię i odeszła do następnego stolika.

- A chociaż zarobisz na biletach wstępu? - spytał Billy Davis. - Czy zwróci ci się przynajmniej część kosztów renowacji?

- Wątpię, Billy - odparł Cam.

Zdaniem jego narzeczonej, Eryki, Rockland to skarbonka, do której nieustannie będzie się wrzucało pieniądze. Zapewne dziewczyna ma rację, ale Cameron tak bardzo zapalił się do pomysłu utworzenia muzeum, że koszty go nie przerażały.

Nagle zdał sobie sprawę, że wszyscy rozmawiają tak, jakby licytacja już się odbyła.

- Kochani, ale nie wybiegajmy za bardzo naprzód. Na razie pewne jest tylko jedno: zamierzam wziąć udział w jutrzejszej licytacji i nie dopuścić do tego, żeby Rockland dostało się w niepowołane ręce. Dopiero później zajmę się konserwacją...

Billy skinął z powagą głową.

- Życzę ci dużo szczęścia, chłopcze.

Inni goście siedzący na stołkach przy barze przyłączyli się do życzeń. Clayton Hathaway potarł ręką usta, próbując zasłonić uśmiech, w którym radość mieszała się z dumą.

Cameron, rad z poparcia przyjaciół i sąsiadów, oparł się wygodnie i wyjrzał przez okno na ulicę. Był dziś w wyjątkowo dobrym humorze i z optymizmem patrzył w przyszłość. Miał powody do zadowolenia: książka, nad którą pracował, sprawiała mu wiele satysfakcji, podobnie jak myśl o tym, że już wkrótce zostanie właścicielem wspaniałej starej posiadłości. Prawdę mówiąc, dawno go tak nic nie cieszyło.

Jego rozmyślania przerwał znajomy ryk syreny, toteż skierował wzrok w stronę portu. Oświetlony słońcem trzypokładowy prom znajdował się na wysokości falochronu.

- Słyszałem, że zamówiłeś nowy komputer - powiedział Fred, wskazując głową na wodę.

- Tak. Ten, na którym pracuję, ma dopiero siedem lat - odparł Cameron - ale już uchodzi za starość. Problem w tym, że ja lubię starocie. I wcale nie mam ochoty uczyć się nowego programu. - Nieznacznym ruchem dłoni skinął na kelnerkę.

Lucy Fernandez podeszła do stolika; każdemu krokowi, jaki wykonywała, towarzyszył cichutki szelest rajstop.

- Słucham, złociutki?

- Chciałbym zapłacić.

- Ja też - rzekł Fred.

Z kubkiem kawy w ręku Clay Hathaway zbliżył się do syna. Cameron odziedziczył po ojcu proste ciemne włosy, szaroniebieskie oczy, szczupłą, zwartą

sylwetkę. Miał nadzieję, że - podobnie jak ojcu - jemu też uda się do późnego wieku zachować zdrowie i dobrą kondycję.

- Może przyda ci się pomoc? We dwóch łatwiej przenieść pudła do samochodu.

- Dzięki, tato. Ale poczekajmy chwilę, aż się trochę tam rozluźni.

Uregulowawszy rachunki, jeszcze przez kilka minut siedzieli w lokalu, obserwując, jak prom przybija do brzegu i pasażerowie schodzą na ląd. Mimo kłębiącego się tłumu Cameron spostrzegł Anne MacDugal, agentkę od nieruchomości, która stała przy swoim wozie po drugiej stronie ulicy. Zazwyczaj oznaczało to, że umówiła się z klientem. Nagle kobieta poruszyła się i pomachała do kogoś. Cameron odruchowo odwrócił głowę i powiódł wzrokiem po twarzach osób opuszczających prom. Raptem poderwał się. Przez chwilę nie mógł złapać tchu, jego policzki pokryła trupia bladość.

- To ona? Czy mam zwiady? - spytał szeptem Clayton Hathaway.

- Nie jestem pewien.

Któż inny jednak miałby włosy tego koloru?

- Co się dzieje? - zainteresował się Fred.

Ani Cameron, ani Clayton nie odpowiedzieli na jego pytanie. Fred mieszkał na Harmony zaledwie od paru lat. Nie znał Lauren, a teraz nie był najwłaściwszy czas na szczegółowe wyjaśnienia.

- O Boże! - zawołała Lucy Fernandez. - To chyba Lauren DeSte... -

Zreflektowawszy się, urwała w pół słowa.

- Kto to jest Lauren DeSte? - spytał ponownie Fred.

W lokalu zrobiło się cicho jak makiem zasiał. Cameron czuł, że oczy wszystkich są skierowane na niego.

Mimo upływu lat ludzie wciąż pamiętali o tamtej sprawie z Lauren. Wyjazd do szkoły z internatem pomógł Cameronowi trochę ochłonać, a usunięcie ciąży, na które Lauren się zdecydowała, podziało na niego jak kubeł zimnej wody. Wyspiarzom bardzo się jej decyzja nie spodobała; potępili Lauren. Kiedy jednak Cameron wrócił na Harmony po trzech latach nieobecności, czuł na sobie wrogie spojrzenia. Słyszał, jak plotkowano za jego plecami. Widział, jak wytykano go palcami. Sąsiedzi wprawdzie



się do niego uśmiechali, ale uprzedzali córki, by trzymały się z dala od młodego Hathawaya.

Powoli emocje opadły, wszystko się uspokoiło, czas zrobił swoje. Cameron nie starał się nikomu przypochlebić, po prostu ciężko pracował, pomagając ojcu, rozwijając swoje liczne zainteresowania, działając w różnych miejscowych organizacjach. Nauczył się też patrzeć na pewne rzeczy z przymrużeniem oka, nie traktować wszystkiego, zwłaszcza siebie, ze śmiertelną powagą. Rany boskie, w końcu każdy popełnia błędy. Z miesiąca na miesiąc znajomi i sąsiedzi czuli się w jego towarzystwie coraz lepiej, coraz swobodniej; wreszcie go zaakceptowali.

Widok Lauren sprawił, że dawne wspomnienia ożyły. Cameron poczuł się tak, jakby czas się cofnął, jakby on sam znów był czternastoletnim chłopcem. Miał sucho w ustach, serce waliło mu jak oszalałe, pot rosił czoło i kark. Czternaście lat! Był taki zakochany. I przygnieciony ciężarem kłopotów.

- Podobno się całkiem ładnie dorobiła - powiedział ktoś.
- Na nieruchomościach - dodał inny znajomy głos.
- Zawsze była obrotna. Nawet jako mała dziewczynka. Pamiętacie, jak chodziła od drzwi do drzwi, sprzedając kartki świąteczne?
- Nam sprzedawała kartki świąteczne, a przyjezdnym plecione koszyki.
- Z kolei latem pchała po plaży wózek z lodami. Te lody to była istna złota żyła.
- Szkoda, że jej stary niczego się od niej nie nauczył.

Kilka osób parsknęło śmiechem, potem znów zaległa cisza. Wszyscy czekali, by Cameron rozładował napiętą atmosferę, ale nie potrafił. Nie wiedział, jak zareagować ani co powiedzieć.

Jak zahipnotyzowany obserwował pantomimę rozgrywającą się na parkingu po drugiej stronie ulicy. Kobiety uściśniły sobie ręce, zapewne jedna się drugiej przedstawiła. Nic dziwnego, nie znały się. Anne MacDugal zamieszkała na wyspie po wyjeździe rodziny DeStefanów.

Fred Gardiner wreszcie domyślił się, o kim mówią.

- Jaka piękna dziewczyna - oznajmił, po czym speszony dodał szybko: - Przynajmniej z tej odległości...

Cameron poczuł, jak oblewa się rumieńcem. Często wracał myślami do Lauren, zastanawiał się, jak teraz wygląda. Wtedy, przed laty, miała metr sześćdziesiąt pięć wzrostu, może ciut więcej, ale jemu wydawała się wysoka, bo sam sięgał jej do czoła. Pamiętał, że była zgrabna, ładnie zbudowana, o wyraźnie zaznaczonych piersiach, zaokrąglonych biodrach i prostych plecach. Tak, w wieku piętnastu lat wyglądała jak kobieta.

W wieku trzydziestu lat miała ten sam wzrost i tę samą budowę, ale jej kobiecość nabrała dojrzałych cech. Cameron nie mógł oderwać od niej oczu.

Kiedy ostatni raz ją widział, włosy opadały jej do połowy pleców. Teraz były przycięte tuż za uchem. Strój, w którym chadzała jako nastolatka, dzinsy i bawełniana koszulka, został zastąpiony przez białą bluzkę bez rękawów, białe spodnie, kawową apaszkę, skórzane sandały oraz dobraną do nich torebkę. Sprawiała wrażenie osoby eleganckiej, kompetentnej, pewnej siebie - i z tego, co słyszał, taka też była.

Przeklął cicho pod nosem.

- Wiedziałeś, że się tu wybiera? - spytał Clayton.

- Nie, tato.

Patrzyli w milczeniu, jak Lauren wsuwa walizkę na tylne siedzenie. Ruchy miała szybkie, energiczne. Może przeczuwając, że jest obserwowana, chciała jak najprędzej odjechać z portu. Po chwili wsiadła do auta; Anne MacDugal zajęła miejsce za kierownicą i włączyła się w ruch.

Cameron wypuścił z płuc powietrze. Miał poczucie, jakby przez miasteczko przetoczyła się burza z piorunami; obejrzawszy się za siebie, zdziwił się, że nic w lokalu nie uległo zniszczeniu, że szklanki stoją nie poprzewracane...

- No dobra, chodźmy po komputer - powiedział Clay. Komputer. Faktycznie. Całkiem o nim zapomniał. Cameron wstał od stolika i jak gdyby nigdy nic, ruszył za ojcem.

- Do zobaczenia! - zawołał Asa.

- Do miłego. - Pchnął ciężkie szklane drzwi i przepuszczając przodem ojca oraz Freda, wyszedł na zewnątrz.

Na wyspie, która była jego radością i dumą, panowała piękna słoneczna pogoda, lecz Cameron nie zwracał uwagi ani na jaskrawo świecące słońce, ani na urokliwe miasteczko. Wszystkie jego myśli pochłaniała Lauren.

Po co przyjechała, dlaczego akurat teraz i w jakim celu? Przechodząc przez jezdnię, przypomniał sobie Rockland i jutrzejszą licytację domu.

- Nie odważyłaby się - mruknął pod nosem. Clayton nawet nie musiał pytać, o czym syn mówi.

## *Rozdział 2*

Lauren usiadła wygodnie na przednim siedzeniu buicka.

- Miło, że po mnie wyjechałaś. Dzięki.

- Drobiazg. Wprawdzie agencja mieści się dwie ulice dalej, ale kiedy człowiek niesie walizkę, to nawet taki krótki odcinek może porządnie dać w kość. Jak woda?

- Gładka, spokojna. Ale zdumiała mnie ilość pasażerów. Nie pamiętam, żeby dawniej prom był tak zatłoczony.

- Co chcesz? Jest lipiec, w dodatku piątek. Przed nami weekend. - Anne zwolniła przy skrzyżowaniu Water i Center. - Długo zamierzasz zostać?

- Trzy dni. Do niedzieli.

- Świetnie. To mi da sporo czasu, żeby ci pokazać oferowane na sprzedaż domy. A poza tym masz jakieś plany?

- Spotkanie z przyjaciółmi. Dziś wieczorem. - Kilka dni temu Lauren uprzedziła Cathryn i Julię, że przyjedzie na wyspę. Cathryn, jak to ona, natychmiast zaproponowała kolację przy grillu. - Może nawet ich znasz. Cathryn i Dylana McGrathów oraz Julię i Bena Grantów?

- Tak, oczywiście. - Anne uśmiechnęła się ciepło. - Dylan projektuje wspaniałe ogrody, a z Cathryn widuję się w szkole na wywiadówkach. Julię wszyscy znają z programów radiowych, a Bena z artykułów wstępnych. To naprawdę sympatyczna grupa ludzi.

- Wiem. Cathryn i Julia to moje najstarsze przyjaciółki. Razem chodziłyśmy do szkoły.

- Serio? - Samochody znów ruszyły, a po chwili Anne skręciła w Center. - W takim razie pewnie znałaś również tę dziewczynę, którą w zeszłym roku zamordowano.

- Amber? Owszem. W szkole z naszego rocznika byłyśmy tylko my cztery. Nic dziwnego, że się przyjaźniłyśmy.

- Jej śmierć musiała być dla was strasznym szokiem. Z Center Anne skręciła w lewo, w Market.

- Tak. Najmocniej przeżyła to Julia. Były z Amber jak siostry. Ja bardziej trzymałam się z Cathryn. - Widząc pełne niedowierzania spojrzenie Anne, wybuchnęła śmiechem. - Wiem, wiem. Sprawiamy wrażenie swoich przeciwieństw. Ona jest żoną, matką, kocha dom, a ja nie umiem usmażyć jajecznicy.

Z jajecznicą nie była to prawda, ale faktycznie różniły się od siebie ogromnie. Lauren - ambitna, samodzielna, niezależna finansowo, nastawiona na pracę i karierę, oraz Cathryn - łagodna, delikatna, nastawiona na rodzinę i dom.

Anne zwolniła przed zadbanym piętrowym budynkiem, w którym mieściło się jej biuro.

- Chcesz zostawić bagaż? - spytała, wysiadając z auta.

- Chętnie. - Lauren zarezerwowała pokój w hotelu, ale mogła go zająć dopiero po trzeciej po południu.

Anne otworzyła drzwi agencji i poprowadziła swoją klientkę przez poczekalnię do gabinetu.

- Proszę, rozgość się, a ja tymczasem zaparzę kawę.

Zostawszy sama w pokoju, Lauren wyjęła z torebki brązową kopertę z adresami, którą dostała pocztą w zeszłym tygodniu. Najwyraźniej wyspa przeżywa okres rozkwitu gospodarczego, bo powstają nowe osiedla mieszkaniowe - duże, nowoczesne domy o ogromnych oknach, tarasach i wannach z masażem wodnym. Ładne i wygodne, miały wielu zwolenników, ale Lauren wiedziała, że jej matka nie czułaby się dobrze w piętrowcu. Audrey DeStefano była kobietą staromodną o konserwatywnym guście.

- Widzę, że otrzymałaś moją przesyłkę - powiedziała Anne, niosąc przed sobą tacę. - I co? Coś cię zainteresowało?

- Jasne. - Lauren położyła kartki na stoliku, tak by Anne zobaczyła, które pozycje są zaznaczone.

- Hm. Zdajesz sobie sprawę, że wiele z tych domów będzie wymagało solidnego remontu?

Lauren wypła łyk kawy.

- Tak, czytałam twoje adnotacje. Ale nie przejmuj się, takie rzeczy mnie nie przerażają.

- Powierzchnia też nie?

- Nie. Wprost przeciwnie. Szukam dużego domu, który miałby co najmniej pięć sypialni, nie licząc salonu, jadalni i tak dalej. Albo takiego, który można by rozbudować.

Lauren nie wtajemniczyła Anne w swoje plany; nie powiedziała, dla kogo kupuje dom ani że chciałyby urządzić w nim pensjonat. Uznała, że im mniej osób będzie o wszystkim wiedziało, tym mniejsza szansa, że wiadomość dotrze do Audrey. Na razie zwierzyła się jedynie swemu rodzeństwu, a także Cathryn i Julii.

- Czy niektóre z tych miejsc mogłybyśmy obejrzeć już teraz?

Anne spojrzała na kawę, której jeszcze nie tknęła, i wybuchnęła śmiechem.

- Nie lubisz tracić czasu, co? Owszem, cztery domy mogę ci od razu pokazać. Są puste, a ja mam klucze. Jeśli chodzi o pozostałe, wystarczy telefon, żeby uprzedzić lokatorów.

- Świetnie. Mam jeszcze jedną prośbę. Zanim wejdziemy do danego domu, czy mogłabyś mi powiedzieć, kto jest właścicielem?

Po prostu wolała z daleka omijać nieruchomości należące do Hathawayów. Wiedziała, że interesów z nimi nie będzie robić, a ponieważ sporo budynków na terenie wyspy było ich własnością, nie chciała znaleźć się w niezręcznej sytuacji.

Jeśli nawet prośba klientki ją zdziwiła, Anne nie dała tego po sobie poznać.

- Oczywiście. Nie ma problemu.

Lauren odetchnęła z ulgą i podniosła do ust filiżankę.

Dzień spędziła przyjemnie, ale bardzo pracowicie. Najpierw obejrzała siedem domów, potem wstąpiła z Anne do restauracji na lunch, następnie wynajęła samochód, zameldowała się w hotelu, wzięła prysznic, po czym przeszła się po Water Street. Wszystko to zdążyła zrobić, zanim udała się z wizytą do McGrathów.

Kiedy zajechała pod dom przyjaciółki, Julia z Benem byli już na miejscu. Mniej więcej o tej porze Julia powinna zaczynać swój wieczorny program radiowy, ale dziś poprosiła Prestona Fincha, poprzedniego właściciela stacji WHAR, by ją zastąpił.

Cathryn naleła Lauren kieliszek białego wina.

- Julio, można ci dolać?

- Dzięki, Cath. - Choć od jej ślubu minęło kilka miesięcy, Julia wciąż promieniała szczęściem panny młodej. - Nie trzeba.

Siedzieli na tarasie za domem, obserwując Dylana, który smażył na ruszcie steki z miecznika. Ben pomagał mu, przewracając warzywa na drugą stronę, by się za bardzo nie przypiekły. Było ciepło i dość parno. Ciszę przerywały radosne piski trojga małych McGrathów bawiących się w pobliżu na huśtawce.

- I co? Znalazłaś coś ciekawego? - spytała Cathryn, siadając obok na krześle. Odkąd skończyła szkołę, przybyło jej sporo na wadze. A przecież kiedyś nosiły z Julią, która wciąż miała figurę modelki, ubrania w tym samym rozmiarze.

- Jeszcze nie - odparła Lauren. - Obejrzałyśmy dziś siedem domów... - Zaczęła je kolejno opisywać.

- Nie słyszę entuzjazmu w twoim głosie - zauważyła Julia.

- I słusznie. Ale to dopiero pierwszy dzień. Prędzej czy później trafię na coś lepszego.

- Na pewno - pocieszył ją Ben. - Za miesiąc czy dwa będzie większy wybór. Ludzie często czekają ze sprzedażą domu do końca lata...

Widząc uśmiech, jakim obdarzył swą żonę, Lauren - która wcale nie marzyła o małżeństwie - poczuła, jak zazdrość ściska ją za serce.

- A czego szukasz? - spytał Dylan. - Jaki to ma być dom?

- Duży, z ładnym ogrodem. Najlepiej w stylu wiktoriańskim. Są wyjątkowo urokliwe, bezpretensjonalne, a poza tym świetnie nadają się na pensjonaty. Ale na

razie nie widziałam nic dostatecznie... - przez chwilę szukała właściwego określenia - imponującego.

- Jeśli chcesz imponującą chałupę, zainteresuj się Rockland - powiedział ze śmiechem mąż Cathryn.

- Rockland? Masz na myśli to wielkie mauzoleum na Cliff Road? Ten dom, w którym straszy?

- Tak.

Słyszac to, dziesięcioletni Justin zostawił na huśtawce młodsze rodzeństwo i przybiegł w podskokach na taras.

- Gdzie straszy? - spytał z takim przejęciem w głosie, że wszystkim zrobiło się wesoło.

- Nigdzie, kochanie. My tylko żartujemy - powiedziała jego matka. - Przecież wiesz, że nie ma duchów.

Znając swą przyjaciółkę, która w głębi duszy była wielką romantyczką, Lauren podejrzewała, że kto jak kto, ale właśnie Cathryn wierzy w historię o duchu zamieszkującym stary dom nad brzegiem morza. Ona sama nie wierzyła w bajki. Wcześniej w życiu pozbyła się złudzeń.

Chłopiec oparł się o balustradę biegnącą wzdłuż tarasu.

- A gdzie jest ten dom?

- Niedaleko portu. Wiesz, gdzie Water Street zakręca ostro i przechodzi w Cliff Road?

- No.

- Właśnie tam. Tuż za tym zakrętem.

- Naprawdę jest na sprzedaż? - spytała Lauren, zdziwiona, że nie zauważyła żadnej tabliczki informacyjnej. Przejeżdżała dzisiaj tą drogą co najmniej trzy razy.

- Tak. Można go będzie kupić na licytacji - poinformował ją Dylan.

- Zorganizowanej przez bank?

Czasem trafiały się świetne okazje, kiedy bank przejmował dom bankruta. Wiedziała o tym z własnego doświadczenia.

- Nie. Licytacja to pomysł właściciela. Pierwszy raz stykam się z taką formą sprzedaży. A ty?



- Nie jest to zbyt często praktykowane - przyznała Lauren - ale czasem się zdarza. Ciekawe, dlaczego Anne mi nic nie powiedziała? - Zamyśliła się. - Pewnie dlatego, że nie zarobiłaby prowizji.

Po chwili Dylan oznajmił, że steki są już gotowe.

- Cudownie! - zawołała Cathryn. - Zapraszam do stołu. Dzieciaki! Proszę umyć ręce!

Lauren usiadła przy długim, pięknie zastawionym stole ogrodowym, który gospodyni ozdobiła wspaniałym bukietem stokrotek, pomarańczowych lilii i niebieskich ostróżek.

- Nie wiecie przypadkiem, kiedy ma się odbyć ta licytacja? - spytała, rozkładając na kolanach serwetkę w identycznym kolorze co ostróżki w wazonie.

- Chyba w sobotę o jedenastej rano - odparł Ben. - A co, jesteś zainteresowana?

- Nie warto, Lauren - rzekła Julia, zanim przyjaciółka zdołała odpowiedzieć. - Rockland wymaga generalnego remontu.

- Poza tym chciałaś coś w wiktoriańskim stylu. Rockland zbudowany jest we wcześniejszym.

- To znaczy w jakim? - spytała Lauren, przyjmując od Cathryn ciepłą bułeczkę. Pamiętała ten dom jak przez mgłę, co najlepiej świadczyło o tym, że nie wywarł na niej większego wrażenia.

- Neoklasycystycznym.

Neoklasycyzm? Neoklasycyzm zawsze kojarzył się jej z wielkimi bryłami, z kolumnami, z posągami, z budynkami, w których mieszczą się siedziby urzędów. Niczego w tym stylu nie pamiętała na wyspie.

- Chyba się jednak wybiorę - rzekła. - Z czystej ciekawości.

- Mogłabym z tobą pójść? - spytała Cathryn.

- No jasne. Będzie mi raźniej.

- Fajnie. Poproszę mamę, żeby popilnowała dzieciaki. Byli w połowie kolacji, gdy Justin wreszcie nie wytrzymał.

- Powiedźcie, co z tym duchem?

- Kochanie, nie ma żadnego ducha - oznajmiła jego matka.

Julia uśmiechnęła się do chłopca.

- Ale jest pewna legenda związana z tym domem. Myślałam, że wszyscy na Harmony ją znają.

Popatrzyła pytająco na rodziców dziecka, a kiedy oboje skinęli w milczeniu głową, opowiedziała mu historię o kapitanie Grayu, który wypłynął z Rockland, o szkunerze, który rozbił się na mieliźnie, o Isabel Gray, która zbudowała dom na wyspie, żeby być blisko męża, o statku widmie, który pojawiał się i znikał.

- Jakim cudem pamiętasz te wszystkie szczegóły? - zdumiała się Lauren.

Julia otworzyła usta, po czym dosłownie zamarła. Ben spojrzał na nią zdziwiony, nie rozumiejąc, o co chodzi.

- Kilka tygodni temu nagrywała wywiad z... - zaczął. Nagle skrzywił się i syknął z bólu.

- Po prostu mam dobrą pamięć - oświadczyła Julia, podsuwając mężowi miszkę.  
- Sałatki, kochanie?

Później, kiedy trzy przyjaciółki siedziały sobie w kuchni nad ciasteczkami i mrożoną herbatą, obserwując przez okno mężczyzn i dzieci karmiących karpie w stawie, Julia przeprosiła Lauren za swoje wcześniejsze zachowanie przy stole.

- Tym człowiekiem, z którym nagrałam wywiad, był Cameron Hathaway. Zaprosiłam go do programu, bo pisze książkę o legendach związanych z wyspą. Podczas wywiadu opowiedział mi historię o „Lady Gray”. Nie wiem, dlaczego tak głupio zareagowałam. Biedny Ben. Będzie miał pełno siniaków na łydkach.

Lauren zerknęła w stronę stawu, który oświetlały zręcznie rozmieszczone reflektory. Wokół stawu leżały kamienie; przycupnięte na nich dzieci, które z zafascynowaniem wpatrywały się w wodę, wyglądały jak trzy gargulce.

- Nie musicie się ze mną obchodzić jak z jajkiem - rzekła. - Ja i Cam to przeszłość. Było, minęło, nie wróci.

- Wiem, ale... Po prostu wtedy właściwie nie rozmawialiśmy na temat waszego rozstania. Mniej więcej w tym samym czasie umarła moja matka i bardziej żyłam własnymi problemami niż twoimi. Później zaczęły docierać do mnie jakieś plotki, ale nie chciałam cię o nic pytać. Widziałam, że próbujesz o wszystkim zapomnieć...

Lauren wypła łyk herbaty.

- A co chciałabyś wiedzieć? Teraz już możesz śmiało pytać.

- Nie rozumiem, co się stało - przyznała Julia. - Dlaczego obie rodziny tak zażarcie z sobą walczyły. Przecież kłótnie tylko pogarszały sytuację. Wiem, że Hathawayowie są bogaci, ale...

- Mają nie tylko pieniądze, także pozycję społeczną. Są jedną z najstarszych rodzin na wyspie. Już wśród pierwszych osadników, którzy przybyli tu w drugiej połowie siedemnastego wieku, był ich przodek. Dlatego czasem zachowują się tak, jakby wyspa należała do nich.

- Prawdę mówiąc - wtrąciła Cathryn - mają tu całkiem dużo nieruchomości. Parę sklepów, port, kilka domów, sporo ziemi.

- Sądysz, że to grało jakąś rolę? - spytała Julia.

- Jestem pewna, że tak - oznajmiła Lauren. - Może gdyby moja rodzina siedziała na pieniądzach, Hathawayowie przymknęliby oczy na nasz niski status społeczny. Choć i to nie wiadomo.

- Musiał być inny powód - rzekła Julia z zadumą.

- Masz rację - przyznała Cathryn. - Ojciec Lauren był jednym z bardziej zagorzałych przeciwników politycznych Clayтона Hathaway'a.

- Serio?

- Tak. - Lauren skinęła głową. - Tata ciągle protestował, ciągle z czymś walczył, pisał petycje, zbierał podpisy, podburzał ludzi na zebraniach. Był dość postępowy, wyznawał liberalne poglądy, czyli większość czasu miał przeciwko sobie wszystkich miejscowych konserwatystów, którzy chcieli zachować dawny porządek rzeczy.

- Wśród których byli Hathawayowie.

- Zgadza się. Ojciec wiercił konserwatystom dziurę w brzuchu, stale z nimi wojował i na ogół na tym się kończyło. Ale od czasu do czasu udawało mu się wprowadzić jakieś zmiany. Jedną z takich zmian była ważna reforma podatkowa, która uderzyła po kieszeni wielkich właścicieli ziemskich.

- Oj... - Julia westchnęła głęboko.

- Bo właśnie, oj. A kiedy okazało się, że jestem w ciąży, rozpętała się burza. Wcześniej to były podchody, potyczki, drobna wymiana ognia, a później jak najprawdziwsza wojna.

- Ojciec Lauren i Clayton Hathaway walczyli na pięści! - dodała Cathryn.

- Słyszałam. Ale dlaczego? Co było powodem bójk?

- Plotki, które Pru Hathaway rozpuszczała - odparła Lauren. - Ojciec chciał im położyć kres.

Nie musiała tłumaczyć, czego plotki dotyczyły. Docierały wszędzie i do wszystkich.

- Twój ojciec powinien być z nią stoczyć walkę, a nie z Clayem - rzekła Julia, sięgając po ciastko z otrębami.

- Faktycznie. Mogłabym rozprowadzać bilety wstępu. Przynajmniej miałabym z tego jakiś pożytek.

Wszystkie trzy wybuchnęły śmiechem. I wciąż nie mogły się uspokoić, kiedy do domu wbiegły dzieci, a za nimi Ben z Dylanem. Po chwili Cathryn udało się zagonić towarzystwo na dół do piwnicy, gdzie znajdowało się wspaniale urządzone pomieszczenie rekreacyjne. Kiedy ponownie zostały same, przyjaciółki kontynuowały rozmowę.

- Ci, którzy cię znali, nie wierzyli w żadne plotki - oznajmiła Julia. - Bo przecież któż jak nie Cameron mógł być ojcem twojego dziecka? Wyście świata za sobą nie widzieli. Lauren westchnęła; nie chciała wracać do szalonej młodzieńczej miłości, jaka łączyła ją i Camerona.

- To było takie dziwne. Zналиśmy się od dziecka i nagle jakby uderzył w nas grom...

- Żaden grom - sprzeciwiła się Cathryn. - Od kilku lat podkochiwaliście się w sobie.

- Tak, ale wcześniej to były niewinne zaloty, patrzenie w oczy, trzymanie się za rękę, wspólne powroty ze szkoły.

- Pocałunki na cmentarzu...

- No dobrze, kilka razy się pocałowaliśmy. Ale tak naprawdę zaczęliśmy z sobą chodzić dopiero po wakacjach. W pierwszej klasie gimnazjum...

- Naszej pierwszej - sprostowała Cathryn. - Cameron chodził jeszcze do podstawówki.

Z piwnicy, gdzie odbywał się mecz hokejowy, dobiegał śmiech i wesołe piski, w kuchni jednak zapadła cisza. Lauren wiedziała, o czym myślą jej przyjaciółki - o tym, jakim się jest dzieckiem, kiedy chodzi się do szkoły podstawowej. Miała ochotę stanąć w obronie Camerona, wyjaśnić, że był bardzo dojrzały jak na swój wiek, ale nie potrafiła. Był czternastolatkiem o dziecięcej twarzy, dziecięcym ciele i dziecięcych zainteresowaniach. Wzrostem sięgał jej zaledwie do brwi. Ważył pewnie też mniej niż ona. Nie golił się.

Ale miał w sobie coś, co ją pociągało; coś, co sprawiało, że wyróżniał się z tłumu. Może chodziło o zachwyt, jaki pojawiał się w jego oczach, gdy na nią patrzył? A może wszystkiemu winne były hormony, które tego lata zaczęły buzować w jej piętnastoletnim ciele?

Wierzyła, że wpadła w sidła miłości. Nie wyobrażała sobie, aby mogła pokochać kogokolwiek innego. Podobała się jej twarz Camerona, jego tajemnicze spojrzenie, niebiesko-szare oczy, a także jego chude, dziecięce ciało. Trochę przypominał jej aktora Michaela Foxa. Po prostu chciało się go wziąć w ramiona, przytulić... Nie umiała się temu oprzeć.

Hormony hormonami, ale lubiła także towarzystwo Camerona. W porównaniu z jej rodziną, która ciągle wprawiała ją w zdumienie, Cam był uosobieniem spokoju, opanowania, rozsądku. Twardo stapał po ziemi, wiedział, kim jest, skąd pochodzi i dokąd zmierza.

- Mam głupie pytanie - powiedziała Julia, wrywając ją z zadumy. - Przecież wasi rodzice musieli wiedzieć, że się spotykacie, więc dlaczego...

- Z początku tylko podejrzewali. Staraliśmy się za bardzo nie obnosić ze swoją miłością.

- Dobrze, ale dlaczego nic nie zrobili? Dlaczego...

- Och, robili, co mogli. Ciągle nam zabraniali widywania się z sobą. Ileż to razy obiecywaliśmy swoim mamom, że nie będziemy się spotykać.

- I wszyscy wiemy, jak to się skończyło - mruknęła pod nosem Cathryn.

- Niestety. - Lauren odwróciła wzrok.

Tak, kary i zakazy sprawiły, że ich wzajemna fascynacja coraz bardziej rosła. Zaczęli się spotykać po kryjomu, wypływać łodzią Hathawayów do opuszczonych zatoczek...

Raptem wspomnienia, których starała się do siebie nie dopuścić, zalały ją niczym potężna fala. Przypomniała sobie upalny sierpniowy dzień - dzień, w którym wspólnie odkryli własną cielesność. W którym odkryli seks: przyjemność, jaką można z niego czerpać, oraz strach, jaki się z nim czasem wiąże. Poczwała, jak oblewa ją rumieniec. Odkąd zaczęli się kochać, ich związek stał się niezwykle intensywny. Później już z żadnym mężczyzną nie udało jej się nawiązać równie silnej emocjonalnej więzi.

- Mam jeszcze jedno głupie pytanie - dodała Julia. - Kiedy się zorientowałaś, że jesteś w ciąży?

- Pod koniec września. Od trzech tygodni byłam uczennicą drugiej gimnazjalnej.

Cathryn, chichocząc pod nosem, trąciła Lauren w ramię.

- Mówiłaś Julii, jak Cameron ci się oświadczył?

- Oświadczył się?! - zawołała Julia. - Serio?

Lauren przypomniała sobie tamten dzień w szkolnej stołówce. Nie zamierzała jednak opowiadać o oświadczeniach; chciała być lojalna wobec zakochanego, naiwnego czternastolatka, który nagle dowiaduje się, że zostanie ojcem. Większość chłopców, ba, większość mężczyzn, wpadłaby w panikę. A Cameron... Boże, miał zaledwie czternaście lat. Spojrzał jej prosto w oczy i oznajmił: „Nie martw się, Lauren. To wspaniała wiadomość. Teraz będziemy mogli się pobrać”.

- A ty co? Przyjęłaś oświadczyny? - dopytywała Julia.

- Oczywiście, że nie. Zapomniałam o dobrym wychowaniu i po prostu roześmiałam mu się w twarz.

- Lauren! Jak mogłaś?

- Daj spokój. Miałam pietra.

Poza tym była realistką. Jako najstarsza z pięciorga rodzeństwa wiedziała, co to znaczy ciągła opieka nad dziećmi. Cameron zaś był jedynakiem, w dodatku wychowanym w luksusie. Zaskoczony jej reakcją spytał, co zamierza zrobić.

„Jak to co? Powiedzieć o wszystkim rodzicom”, odparła załamana.

Przeczuwała, że kiedy rodzice przejmą sprawy w swoje ręce, nic nie będzie takie jak dawniej. I się nie pomyliła.

Wieczorem poinformowała ojca i matkę, że jest w ciąży, ci zadzwonili do Hathawayów i kilka dni później Cameron został wysłany na drugi koniec świata, do szkoły z internatem.

- Możemy porozmawiać o czymś innym? - poprosiła, uderzając palcami o stół.

- Oczywiście. - Julia popatrzyła na nią z powagą. - Jeszcze tylko jedną rzecz chciałabym ci powiedzieć. Że ani przez sekundę nie wierzyłam w te bzdury o twojej skrobance. To pewnie znów robota Pru Hathaway?

Lauren skinęła głową.

- Tak, ale nawet nie dziwię się ludziom, którzy uwierzyli w plotkę. Jestem w ciąży, trafiaam do szpitala, po paru dniach wychodzę i już nie jestem w ciąży.

Podejrzane.

- Lekarze ci powiedzieli, dlaczego poroniłaś?

- Tak. Stres. Zdenerwowanie. Poza tym byłam w niezbyt dobrej formie fizycznej. Mało jadłam, źle sypiałam...

- Te kłótnie i plotki każdego mogłyby wykończyć - wtrąciła Cathryn. - Podobno Hathawayowie chcieli, żebyś wyjechała do jakiegoś domu dla samotnych matek, tam urodziła dziecko i oddała je do adopcji?

- To prawda.

Tak bardzo im na tym zależało, że gotowi byli przeznaczyć na ten cel pewną sumę pieniędzy. Pomysł nie przypadł do gustu jej rodzicom, którzy stwierdzili, że sami zajmą się wychowaniem dziecka. I kiedy obie rodziny z sobą walczyły,

Lauren zaczęła płacić i od czasu do czasu miewać bolesne skurcze. Przyznała się matce do tego dopiero pod koniec października. Audrey natychmiast zawiozła córkę do szpitala na kontynencie, ale było już za późno. Nazajutrz rano Lauren poroniła.

- Cholera jasna - zdenerwowała się Julia. - Dlaczego Pru Hathaway opowiadała wszystkim, że miałaś skrobanke?



- Diabli wiedzą. Chciała nastawić przeciwko mnie Cama. I udało jej się. - Lauren zacisnęła pięści; trzymała ręce na kolanach, więc miała nadzieję, że przyjaciółki tego nie widzą. - Od tamtego dnia, kiedy powiedziałam mu o ciąży, rozmawialiśmy tylko jeden raz. Wtedy kiedy przyjechał do domu na święta. - Z trudem stłumiła gniew. - Powiedział, że zawiódł się na mnie i nie chce mieć ze mną więcej do czynienia. Potem, widzieliśmy się jeszcze kilka razy, ale zawsze na odległość.

Rozległy się trzy jednoczesne westchnienia.

- Jakie to przygnębiające - rzekła Julia.

Mniej więcej po minucie Cathryn wstała od stołu, otworzyła drzwi zamrażarki i wyjęła ze środka pojemnik z lodami.

- Tego nam potrzeba - oświadczyła.

- Ojej! Wiśniowe! - zawołała Lauren, siląc się na entuzjazm. Chciała dać przyjaciółkom dobry przykład. Kiedy napełniły miseczki, spytała nieśmiało: - A tak w ogóle, to jak się miewa?

- Kto? Cameron? - zdumiała się Cathryn. - Dobrze. W dalszym ciągu pracuje u ojca. Tyle że teraz jest już współnikiem.

- No tak. Typowy Hathaway.

- I jak wspomniałam, pisze - dodała Julia.

- Pisze... - powtórzyła za nią Lauren.

- Niedługo bierze ślub - dorzuciła Cathryn, a Lauren poczuła się tak, jakby dostała obuchem w głowę. - Jego narzeczoną nazywa się Eryka Meade. Jest córką byłego senatora i jego żony, która pochodzi z bogatej filadelfijskiej rodziny. Meade'owie od lat przyjaźnią się z Hathawayami. Mają na wyspie letnią posiadłość. Kiedy rok temu Eryka zaczęła się spotykać z Cameronem, przeniosła się na Harmony i zatrudniła w szkole.

- W szkole?

- Tak. Uczy drugoklasistów. To dość nietypowe, żeby dziewczyna z bogatego domu pracowała jako nauczycielka, ale Eryka jest normalną, sympatyczną osobą.

- Co ty powiesz? - Lauren podeszła do lodówki i dołożyła sobie jeszcze jedną kulkę lodów. - A kiedy się pobierają?

- Z tego, co wiem, nie ustalili daty, ale krążą plotki, że w okolicy Bożego Narodzenia.

- Niech im gwiazdka... - mruknęła Lauren, wbijając łyżeczkę w lody.

Po chwili zdała sobie sprawę z przeraźliwej ciszy panującej w kuchni.

Podniosła wzrok. Obie przyjaciółki przypatrywały się jej z uwagą.

- Co? - spytała.

- Rany boskie, jeszcze ci nie minęło - szepnęła Cathryn. - Ty wciąż do niego coś czujesz!

- Oszalałaś? - zachnęła się Lauren. - To było piętnaście lat temu. Oczywiście, że mi minęło! Chyba że mówisz o urazach, pretensjach, żalu i złości, bo to akurat mi nie minęło.

Cathryn westchnęła smutno.

- Więc nie mam co liczyć, że kiedyś znów zamieszkas na wyspie?

- Kto wie? - odparła ze śmiechem Lauren, ale w jej śmiechu nie było radości. - Jeżeli Hathawayowie się stąd wyniosą... - Przez chwilę mieszała łyżeczką topniejące lody, potem spojrzała na przyjaciółkę. - Naprawdę chciałabyś, żebym wróciła?

- Też pytanie! - oburzyła się Cathryn. - Zawsze tego chciałam. A teraz, kiedy Julia się tu przeniosła... Pomyśl tylko, mogłybyśmy chodzić we trzy po zakupy, na plażę... - Nagle jej twarz się rozpromieniła. - A gdybyśmy jeszcze w tym samym czasie urodziły dzieci... Tak, tak - kontynuowała, nie zwracając uwagi na zaskoczone miny przyjaciółek.

- Czy to nie byłoby cudownie, gdybyśmy wszystkie trzy jednocześnie zaszły w ciążę? Mogłybyśmy wymieniać się doświadczeniami, wspólnie narzekać na puchnące nogi, opowiadać sobie, ile razy która musi wstawać w nocy na siusiu?

- Tak, to rzeczywiście byłoby pasjonujące - powiedziała Lauren, patrząc w sufit.

- A po urodzeniu dzieci - ciągnęła Cathryn - udzielałybyśmy sobie różnych rad i wskazówek, opiekowały się swoimi pociechami, zabierały je na plac zabaw...

- Przystopuj, kochana. - Julia próbowała ostudzić zapędy przyjaciółki. - Twój scenariusz ma pewne drobne mankamenty.

- Jakie? Przecież ty z Benem zamierzacie chyba mieć dzieci?

Uśmiech Julii z lekko kpiącego stał się błogi i marzycielski. Spoglądając na swą nowo poślubioną przyjaciółkę, Lauren pozazdrościła jej szczęścia.

- Tak, zamierzamy...

- No widzisz! - zawołała triumfalnie Cathryn. - A ja bardzo chętnie miałabym czwarte.

- A co ze mną? - spytała Lauren.

- Hm. Po prostu musimy ci znaleźć męża.

- Kiedyś brak obrączki nie uratował mnie przed ciążą... Przyjaciółki ryknęły śmiechem.

- Może Cameron mógłby służyć pomocą? - podsunęła Cathryn.

- Oj, błagam, tylko nie on! Po chwili śmiech ucichł.

- Cath ma rację, miło byłoby razem wychowywać dzieci - przyznała rozmarzonym tonem Julia, po czym kierując wzrok na Lauren, spytała: - Naprawdę nie masz nikogo na oku?

- Obawiam się, że nie. - Owszem, chadzała czasem na randki, ale to wszystko. Mówiła, że nie ma czasu na poważny związek.

- No cóż, przynajmniej będziesz odwiedzać matkę. Dobrze i to - rzekła z rezygnacją Cathryn.

- Tak, teraz na pewno będę tu częściej wpadać. Strasznie się za wami stęskniłam.

Była to prawda. Odkąd wyjechała z Harmony, poznała setki nowych osób, ale żadna z nich nie wiedziała o niej tyle co te dwie kobiety, z którymi siedziała teraz w kuchni, żadna nie dzieliła z nią tylu wspomnień, żadna nie potrafiła zajrzeć w głąb jej duszy i zobaczyć, co ją gryzie. Cathryn i Julia to były jej najstarsze przyjaciółki, a z taką przyjaźnią żadna nowa znajomość nie może się równać.

Wzruszona, Lauren zacisnęła prawą rękę na rękę Cathryn, lewą na rękę Julii, po czym nagle zatrzymała spojrzenie na czwartym krześle, które zawsze było zajęte, a teraz stało puste. Serce ją zabolowało. Żadna nie powiedziała słowa, ale wszystkie trzy myślały o tym samym: o Amber. Julia i Cathryn jednocześnie wyciągnęły do siebie rękę, zamykając krąg. Lauren uśmiechnęła się. Amber odeszła, ale one trzy nadal były nierozłączne.

W tej samej chwili Prudence Hathaway odłożyła słuchawkę na widełki.

- No i co? - spytał niecierpliwie jej mąż.

- Ogląda domy. Diabli wiedzą po co. Nikt nic nie wie. Boże, mam nadzieję, że nie zamierzają wrócić na wyspę.

- Uspokój się, Pru. Pewnie chce zainwestować pieniądze. Z tego się utrzymuje. Kupuje domy, odnawia je, potem sprzedaje.

- A jeśli nie? - Mrużąc oczy, popatrzyła na Claytona. - Jeśli planuje się tu sprowadzić? Ona albo jej rodzina?

- Wtedy coś wymyślę.

- Trzymam cię za słowo. Bo nie życzę sobie mieszkać na jednej wyspie z kimkolwiek z rodziny DeStefanów.

Na moment Clayton Hathaway odpłynął gdzieś myślami.

- Rozumiesz, Clay?

- Tak, Pru - odrzekł ze smutkiem jej mąż, nabierając głęboko powietrza. - Rozumiem doskonale.

## *Rozdział 3*

Lauren przybyła do Rockland tuż przed dziesiątą, tak by mieć czas przejść się po terenie i obejrzeć dom. Zaparkowała auto na ulicy, obok samochodu przyjaciółki.

- Gdybym naprawdę była zainteresowana kupnem tej posiadłości - rzekła, idąc z Cathryn po splekany, porośnięty chwastami podjeździe - zasięgnęłabym opinii fachowca, który zna tutejsze ceny. Ponadto poprosiłabym o radę mojego prawnika, żeby później nie mieć żadnych przykrych niespodzianek, oraz zwróciłabym się do zaprzyjaźnionego przedsiębiorcy budowlanego, żeby podał mi przybliżony koszt remontu. Tak dużego i starego domu nie można kupować w ciemno. Wszystko może być nadgniłe, zżarte przez rdzę, popękane...

Cathryn słuchała jej z uwagą. Ponieważ Bethany, jej najmłodsza córka, miała w tym roku iść do szkoły, Cathryn zastanawiała się nad podjęciem jakiejś pracy. Lauren nie bardzo wierzyła, że przyjaciółka kiedykolwiek zamieni rękawice kuchenne na

skórzaną aktówkę, ale skoro wyraziła zainteresowanie pracą w agencji nieruchomości...

- Przed licytacją trzeba uwzględnić te wszystkie czynniki i wyznaczyć sobie górny limit. Oczywiście, należy o nim cały czas pamiętać. Zwłaszcza że podczas licytacji wszystkim udziela się nastrój rywalizacji i wtedy łatwo się zagalopować.

Cathryn skinęła głową, jakby starała się zapamiętać te cenne wskazówki, lecz Lauren czuła, że myślami przyjaciółka błądzi gdzieś daleko. Po chwili jej podejrzenia się potwierdziły.

- Myślisz, że natkniemy się na ducha Isabel Gray?

Przed wejściem do domu na moment przystanąły. Lauren powiodła wzrokiem po fasadzie. Trochę inaczej wyobrażała sobie styl neoklasycystyczny, bardziej okazale, mniej przystępnie.

Weszła po trzech szerokich stopniach na werandę i obejrzała się przez ramię. Co za miejsce! Widok dosłownie zapierał dech w piersiach. Dom zbudowano na wschodnim, skalistym wybrzeżu wyspy. W dole widać było miasteczko, niemal cały port, kilometry pagórków i dolin. Ciekawa była widoku od drugiej strony, gdzie fale oceanu uderzały o brzeg.

- Wprost niewiarygodne, prawda? - szepnęła Cathryn.

- Oj, tak.

Lauren przeszła na koniec werandy i ku swemu zdumieniu odkryła, że weranda skręca wzdłuż słonecznej, południowej ściany domu. Podejrzewała, choć nie widziała, bo widok zasłaniała jej oranżeria, że ciągnie się jeszcze dalej, wokół całego domu.

Trawa porastająca ogród była przycięta, przypuszczalnie ktoś ją niedawno skosił, ale pozostałe dwa hektary ziemi były straszliwie zachwaszczone.

- Mama mówiła, że kiedy byłam mała, Smithowie urządzali „polowanie” na wielkanocne jaja, które chowali po całym terenie. Podobno zapraszali wszystkie dzieciaki z okolicy. - Zmrużywszy oczy, Cathryn popatrzyła na spalony słońcem trawnik. - Mówiła też, że mieli piękny ogród pełen kwiatów oraz wspaniały klomb róż. Ciekawe, czy cokolwiek z tego się ostało.

- Spójrz, Cath! Widać stąd nadajnik Julii!

- Tak. I rezerwat przyrody. I latarnię w East Light. I cudowne domy z czerwonymi dachówkami wzdłuż skalistej drogi...

Lauren obróciła się raptownie.

- No, dobra. Chodźmy się zarejestrować.

- Po co?

- Jeśli chce się wziąć udział w licytacji, trzeba wpłacić kaucję i otrzymać numer.

Cathryn wybałuszyła oczy.

- Chcesz wziąć udział... ?

- Nie. Ale prosiłaś, żeby ci wyjaśnić wszystkie kolejne etapy, więc...

Miejsce, w którym miała się odbywać licytacja, znajdowało się po drugiej stronie domu. Kilka osób spoczywało na krzesłach ustawionych w cieniu pomiędzy dwoma wielkimi dębami. Inni krążyli przy garażu, dawnej wozowni, gdzie podawano kawę oraz zimne napoje.

Przy długim stole siedział licytator; obok niego dwóch mężczyzn, przypuszczalnie przedstawiciele banku.

- Dzień dobry. Chciałabym się zarejestrować.

- Bardzo proszę. Potrzebny będzie potwierdzony przez bank czek na sumę pięciu tysięcy dolarów.

Lauren wręczyła czek. Widząc zaskoczoną minę przyjaciółki, roześmiała się.

- Zawsze mam kilka czeków przy sobie, Cath - rzekła. - Co najmniej jeden na pięć tysięcy dolarów i jeden na dziesięć. Zwykle tyle wynosi depozyt. Tak robią wszyscy z branży. Nigdy nie wiadomo, kiedy trafi się okazja.

Wypełniła formularz, po czym pokazała licytatorowi swój dowód tożsamości.

- A na resztę jak się zdobywa pieniądze? - spytała Cathryn.

- Różnie. Na ogół bierze się pożyczkę pod hipotekę. Licytator podał Lauren kopertę zawierającą informacje na temat Rockland.

- Ma pani numer czternasty - oznajmił. - Na wszelki wypadek, gdyby pani zapomniała, zapisany jest na kopercie.

- Świetnie. Dziękuję.

Wsunąwszy kopertę do torebki, ponownie skierowała się w stronę domu. Otwarte na oścież drzwi zachęcały do zwiedzania.

- Rany boskie! - zawołała Cathryn, kiedy weszły do środka. - Widziałaś coś podobnego?

- Niesamowite!

Hol był nie tylko szeroki, ale wysoki i długi - przecinał dom na pół, łącząc solidne drzwi frontowe z drzwiami do ogrodu. Mimo że na zewnątrz temperatura w cieniu dochodziła niemal do trzydziestu stopni, wewnątrz dzięki przeciągowi panował miły chłód. Lauren rozglądała się zafascynowana. Była pewna, że pod grubą warstwą lakieru i brudu znajduje się piękna podłoga z drzewa wiśniowego. Jednakże jej uwagę przede wszystkim zwracały schody - szerokie, eleganckie...

- Boże... - szepnęła, stając na pierwszym stopniu i zadzierając głowę.

- Hej, spójrz tutaj! - dobiegł ją głos Cathryn.

Lauren weszła za przyjaciółką do przestronnego salonu; rzuciła okiem na marmurowy kominek i duże szklane drzwi, przez które wpadało mnóstwo światła, po czym przeszła do kolejnego salonu o pięknej dębowej posadzce - połączony był z oranżerią, którą wcześniej widziała od zewnątrz, kiedy spacerowała po werandzie. Za drugim salonem znajdowała się łazienka, zbudowana przypuszczalnie około roku 1940, za nią pomieszczenie, które zapewne służyło kiedyś za sypialnię. I jeszcze nieduży pokój, coś jakby składzik. Wszystko to mieściło się na prawo od schodów.

Przechodząc na drugą stronę holu, Lauren spojrzała w kierunku drzwi prowadzących na tył domu, i serce podskoczyło jej do gardła. Widok bezkresnego oceanu dosłownie zapierał dech. Zmusiła się jednak, żeby najpierw skończyć zwiedzanie parteru. Weszła do kuchni, w której chyba od pięćdziesięciu lat niczego nie zmieniano, poza zamontowaniem nowoczesnej kuchenki i wstawieniem lodówki.

- Co za smród! Cathryn pociągnęła nosem.

- Faktycznie. Jakby gdzieś tu leżał trup. Albo pyszny ser pleśniowy. Jedno z dwojga.

Lauren wybuchnęła śmiechem; ubawiona, oparła się o szafki, które miały kolor błota, i wydobyła z torebki kopertę z informacjami na temat domu. Przebiegła po nich wzrokiem.



- Powinnyśmy zwiększyć tempo, Cath - oznajmiła po chwili. - Ta chałupa, razem z piwnicą i poddaszem, składa się z dwudziestu sześciu pokoi.

- Co? - Pwne oczy Cathryn zrobiły się okrągłe.

Przeszły z kuchni do korytarza, w którym znajdowały się kolejne schody, znacznie mniej okazałe, boczne wejście i drzwi prowadzące do pomieszczenia gospodarczego.

- O rety, chyba nigdy w życiu nie widziałam tylu kredensów, szafek, szuflad i półek!

Dalej mieściła się elegancka jadalnia oraz biblioteka. Zwiedziwszy parter, kobiety wróciły tam, skąd zaczęły obchód.

- No i co o tym myślisz? - spytała Cathryn.

- Że... - Lauren rozejrzała się wkoło - że lepiej górę zwiedź beze mnie.

- Dlaczego?

- Bo przyszłam tu z czystej ciekawości, a ta ciekawość, zamiast zostać poskromiona, coraz bardziej się zaostrza. - Westchnęła, jakby zniecierpliwiona sama sobą. - Nawet nie wiesz, Cath, co z tego wszystkiego można by wyczarować. Ten dom ma niesamowity potencjał.

Najgorsze było to, że oczami wyobraźni widziała swą matkę wydającą tu wspaniałe przyjęcia. Audrey z lśniącoymi z podniecenia oczami i dumnie uniesioną głową, ubrana w długą, wytworną suknię, schodzi po pięknych, szerokich schodach, aby powitać zaproszonych gości. Oprowadza ich po domu, po ogrodzie...

- Chyba nie mówisz serio? - W głowie Cathryn zabrzmiała radość zmieszana z przerażeniem. - Naprawdę chcesz kupić...

- Nie! Powiedziałam jedynie, że pożera mnie ciekawość, a nie że zamierzam kupić Rockland. Poszukuję czegoś całkiem innego. Czegoś w stylu wiktoriańskim.

- Ten ma wiele wiktoriańskich cech.

- Może, ale jest za wielki. I w opłakanym stanie. Farba się łuszczy, tynk odłazi, sufit jest popękany, okna się nie domykają, krany w łazience ciekną. I zapewne tysiące innych rzeczy wymaga naprawy. Cała kanalizacja, ogrzewanie, elektryka, dach... Co tu dużo mówić? Roboty byłoby od groma. No i jeszcze ogród. Wbrew pozorom, zagospodarowanie terenu także pochłania mnóstwo czasu i pieniędzy. Koszty nawet

by mnie nie przerażały, gdybym chciała przerobić Rockland na... niekoniecznie hotel, po prostu na coś, co by przynosiło zysk, a przynajmniej pozwoliło otrzymać z powrotem zainwestowane pieniądze. Ale prywatny dom z paroma pokojami do wynajęcia turystom? Na zwrot kosztów nie można byłoby liczyć.

- Kogo próbujesz przekonać? - spytała ze śmiechem Cathryn.

- Siebie - odparła przyjaciółka. - Dlatego nie pójde oglądać pokoi na górze.

Postoję sobie na werandzie i popatrzę na wodę. Niech mój zapal ostygnie. Spotkamy się za kilka minut w ogrodzie, dobrze?

- Jasne. - Cathryn ruszyła w stronę schodów. - Pozdrowić od ciebie Isabel?

- Cath?

- Co? - Przyjaciółka obejrzała się przez ramię.

- W tym domu naprawdę nie straszy. - Kręcąc z politowaniem głową, Lauren przeszła do tylnych drzwi i nagle krzyknęła: - O rany!

Z bijącym sercem zbliżyła się do balustrady, oparła o poręcz i z zachwytem spojrzała w bezkresną morską toń.

W oddali widać było inne wyspy. Malutką Cuttyhunk na końcu Elizabeth Islands, potem Martha's Vineyard, a jeszcze dalej Nantucket. Za Nantucket był już tylko Ocean Atlantycki, który ciągnął się aż do wybrzeży Hiszpanii. Dwadzieścia kilometrów na północ od Harmony znajdował się południowo-wschodni kraniec Massachusetts, na południe zaś, jak okiem sięgnąć, migotała w słońcu srebrzysta tafla wody.

Dziś morze było spokojne, fale łagodnie omywały brzeg. A jednak setki statków rozbijały się tu o podwodne skały, o skały niewidoczne gołym okiem, lecz czyhające zaledwie metr lub półtora pod powierzchnią wody. Jednym z nich była „Lady Gray”.

Lauren stała zadumana, usiłując sobie wyobrazić, co czuła pierwsza właścicielka Rockland, wdowa po kapitanie Grayu. Jak często wychodziła na werandę i wsparta o balustradę spoglądała na morze, które zabrało jej męża? O czym myślała? Jak sobie radziła ze straszliwym bólem, który rozdzierał jej serce?

Zawsze dotąd Lauren uważała, że Isabel źle postąpiła; powinna była wrócić do Maine, do rodziny, przyjaciół, i nauczyć się żyć od nowa. Zostając na wyspie, w

poblizu której zginął jej mąż, nie miała szansy uwolnić się od cierpienia. Tu czas nie leczył jej ran, raczej je zaogniał. Żałoba powoli przeobrażała się w szaleństwo.

Jednakże dziś, kiedy sama stała na werandzie, kiedy słońce świeciło jej w twarz, a wiaterek targał włosy, przez moment potrafiła się z Isabel zidentyfikować.

Minęło kilka minut, zanim coś ją tknęło - jakby niejasne przeczucie, które z każdą sekundą narastało, zamieniając się wreszcie w pewność, że nie jest na werandzie sama. To niemożliwe, pomyślała. Przecież nie słyszała żadnych kroków, żadnego oddechu, szelestu ubrania, nic. Ciarki przebiegły jej po krzyżu. Czyżby jakimś dziwnym trafem przywołała ducha Isabel?

Nie. To absurd. Była osobą racjonalną, która nie wierzyła w duchy. Chcąc sobie udowodnić, że to wyobraźnia płata jej figła, obejrzała się... i znieruchomiała. Zaledwie dwa metry dalej stał Cameron Hathaway. Serce zaczęło walić jej młotem, krew w skroniach dudniła. Spotkanie z Cameronem było nieuniknione, doskonale o tym wiedziała, lecz nie sądziła, że wpadnie na niego akurat tu i akurat teraz.

Kiedy ostatni raz go widziała, miał szesnaście lat, dziecięcą buzię, dziecięce ciało i był od niej sporo niższy. Teraz stał przed nią dojrzały mężczyzna ubrany w dżinsy, w sportową koszulkę, przystojny, męski i... wysoki. Psiakość, wyglądał wspaniale. Jak okaz siły i zdrowia. Opalony, o gęstych, lśniących w słońcu włosach i twarzy, którą czas poznał paroma małutkimi zmarszczkami i której nadał moc charakteru.

Nagle Lauren uświadomiła sobie, że stoi z otwartymi ustami i wybałuszonymi oczami, ale zupełnie nie wiedziała, co powiedzieć. Bo co się mówi po latach do kogoś, kto był naszą pierwszą miłością i pierwszym kochankiem? Co się mówi do kogoś, z kim niechcący zaszło się w ciążę? Co się mówi do kogoś, z kim tak wiele nas łączyło? „Cześć. Co słychać?” Chyba nie.

- Lauren... - Skinął jej na powitanie głową. Wyrwała się z odrętwienia, zła, że ją uprzedził.

- Cameron...

Przeglądali się sobie nieufnie, w milczeniu, jak dwoje ludzi, których ostatnie wypowiedziane w bólu i gniewie słowa wciąż nad nimi wisały. Wiatr rozdymał jej

spódnicę, targał jego włosami. W górze mewy fruwały cicho, jakby nie chciały swoim głośnym skrzykiem zagłuszyć tego, co tych dwoje na werandzie zaraz do siebie powie.

- Jak się miewasz? - spytał.

- Dobrze - odparła. - A ty? Roześmiał się ironicznie.

- Miewałbym się znacznie lepiej, gdybym wiedział, co tu robisz.

Wciągnęła gwałtownie powietrze. Zdziwiło ją, że tak od razu przystąpił do ataku. Starając się zachować spokój, oznajmiła:

- Nie wątpię.

- Słyszałem, że szukasz jakieś nieruchomości. To prawda?

- Widzę, że nic się tu nie zmieniło. Plotki wciąż roznoszą się lotem błyskawicy.

Zdał sobie sprawę, że nie odpowiedziała na jego pytanie. Przyglądał się jej bez słowa. Widziała, że ma ochotę spytać, czy interesuje ją Rockland, ale nie zrobił tego; duma mu na to nie pozwoliła.

Przemknęło jej przez głowę, że może on jest zainteresowany kupnem posiadłości. Ale nie spytała; duma też kazała jej milczeć. Na szczęście w holu rozległy się kroki.

- Tu jesteś! - zawołała Cathryn, stając w drzwiach. -

Chyba najwyższy już czas... - Na widok Camerona urwała w pół słowa.

Oblewając się rumieńcem, przeniosła wzrok z przyjaciółki na jej dawnego kochanka i z powrotem na przyjaciółkę.

Lauren, jak gdyby nigdy nic, spojrzała na zegarek.

- Słusznie, Cath. Najwyższy czas wyjść przed dom i zająć miejsce.

- I co? O czym rozmawialiście? - zapytała Cathryn, kiedy były już na zewnątrz.

- O niczym. Prawie nie zamieniliśmy słowa.

- Dobrze się czujesz?

- A dlaczego miałabym się źle czuć?

- Nie zapominaj, że znam cię jak własną kieszeń... Swoją drogą wyrósł na przystojniaka, co?

Lauren roześmiała się, zadowolona, że nie musi wypowiadać się na temat aparycji Camerona. Doszły bowiem do stołu, przy którym urzędował licytator.

Krzesła dla licytantów stały w trzech rzędach. Prawie wszystkie były zajęte. Wiele osób stało z tyłu i po bokach. Lauren z Cathryn zdołały znaleźć dwa wolne miejsca w ostatnim rzędzie. Usiadły. Lauren nie tyle nawet usiadła, co opadła na krzesło. Po prostu nogi się pod nią ugięły. Wciąż drżała na całym ciele. Nie wygłupiaj się, stara, zganiła się w duchu. Dorośnij. Cameron to przeszłość. Twoja reakcja na jego widok jest po prostu żalosna.

Podziałało - nie cierpiała być żalosna. Usiadła prosto, odetchnęła głęboko i wyobraziła sobie, jak przepelnia ją spokój. Wdech, wydech, wdech, wydech.

Dwie kobiety w pierwszym rzędzie odwróciły się i spojrzały na nią znad okularów. Nie potrafiła ich rozpoznać, ale one najwyraźniej ją znały. Po chwili przyjęły poprzednią pozycję i zaczęły szeptem wymieniać uwagi.

Wdech, wydech. Głupie baby, nie będzie się nimi przejmowała. Była ponad to. Przeszłość zostawiła za sobą, Hathawayów i ich plotki również. Po wyjeździe z wyspy poszła na studia, skończyła je z wyróżnieniem, rozpoczęła pracę, z czasem osiągnęła sukces w dziedzinie, w której istniała ogromna konkurencja. Obecnie miała własną firmę, w której zatrudniała kilka osób. Do licha, jest warta pięć milionów dolarów!

Wdech, wydech. Akurat gdy udało jej się odzyskać spokój i pewność siebie, ujrzała idącego po trawie Camerona i natychmiast poczuła, jak znów traci grunt pod nogami. Szedł swobodnym, sprężystym krokiem, jak człowiek, który nie ma kompleksów i zahamowań; jak człowiek, który wie, że tu jest jego miejsce. Przyglądając mu się, ponownie zaczęła się zastanawiać, w jakim charakterze przybył na licytację: widza czy uczestnika?

Ludzie pozdrawiali go skinieniem głowy, uniesieniem ręki, uśmiechem. Z jednym mężczyzną zamienił kilka słów, innego poklepał po ramieniu, do jeszcze innego pomachał. Pomyślała sobie, że zachowuje się jak polityk podczas kampanii wyborczej. A może nie. Może po prostu jak ktoś, kto jest u siebie w domu. Jak ktoś, kto jest częścią małej, zamkniętej społeczności. Jak ktoś, kto za karę wyjechał do szkoły z internatem, ale potem wrócił na wyspę i został przyjęty z otwartymi ramionami.

Usiłowała niczego po sobie nie okazywać. Zwrócona twarzą do Cathryn, mogła go dyskretnie obserwować. Stał w grupce złożonej z pięciu mężczyzn, wśród których był jego ojciec. Stara silna gwardia.

Nagle zerknął w jej stronę. Poczowała złośliwą satysfakcję, widząc, jak na jego twarzy maluje się napięcie. Ha! Czyli całe to jego opanowanie było na pokaz! Nie wiedział, w jakim celu tu przyszła. Dręczył go niepokój. Świetnie, pomyślała z mściwą uciechą. Niech go zadręczy na śmierć.

Cameron spuścił wzrok, wściekły na siebie, że spojrzął na Lauren i dał się przyłapać.

- Widzisz, kto tam siedzi? - spytał szeptem jego ojciec.

- Tak. - Cameron uznał, że nie ma sensu wspominać ojcu o spotkaniu na werandzie. Zresztą co mógł powiedzieć? Że serce waliło mu tak mocno, jakby chciało wyskoczyć z piersi?

Clayton westchnął.

- Tego się właśnie obawiałem.

Cameron pokiwał głową. W trakcie tych kilkunastu lat, jakie minęły od ich rozstania, wielokrotnie słyszał o Lauren i jej sukcesie na rynku nieruchomości. Uwielbiała wszystko gruntownie przerabiać, unowocześniać. Kupowała duże domy jednorodzinne, które przerabiała na mieszkania, biura, sklepy. Nie miał nic przeciwko sukcesom, ale wolałby, żeby je odnosiła gdzie indziej, nie na wyspie i nie kosztem tak wspaniałej rezydencji, jaką był Rockland.

Starął się odprężyć. Może wcale nie chce licytować? Może przyjechała wiedziona ciekawością, jak większość obecnych tu ludzi? W każdym razie on nie zamierzał poddać się bez walki.

Postanowił nie zwracać na nią uwagi. Udało mu się, ale tylko przez kilka minut. Potem znów powiódł wzrokiem w jej stronę. Trafnie ocenił ją wczoraj przez okno kawiarni.

Promieniała kobiecością. On, miłośnik długich włosów, musiał przyznać, że nawet krótka, gładko zaczesana ruda fryzura z zadziorną grzywką nad prawym okiem podkreśla jej kobiecość.

Tak jak wczoraj, wyróżniała się strojem. Latem na wyspie zwykle nosiło się luźne bawełniane bluzki i szorty, Lauren zaś miała na sobie sukienkę. Na oko doskonale uszytą. Dopasowana góra i marszczona spódnica z cieniutkiego materiału, który reagował na najmniejszy powiew wiatru. W kolorze szmaragdowym, jak morze i jak jej oczy. Idealny strój na upalny letni dzień.

Kilka uderzeń młotka o stół wyrwało Camerona z zadumy. Całe szczęście, pomyślał. Zamiast snuć wizje o powiewnych zielonych sukniach i szmaragdowych oczach, powinien skupić się na sprawach bieżących. I nie zapominać o tym, że mimo delikatnej kobiecej powierzchowności, Lauren jest osobą twardą, nieustępliwą, której nie należy ufać.

Licytator, potężnie zbudowany mężczyzna o rumianej twarzy, podniósł głos:

- Panie i panowie, czy możemy zacząć?

- Powodzenia, Cam - powiedział Fred Gardiner.

- Wygraj, synu - dodał Clay.

Stojący obok Ron Cote z muzeum historycznego i Billy Davis z wydziału gospodarki przestrzennej również życzyli mu szczęścia. Cameron po raz ostatni rzucił okiem na Lauren, po czym popatrzył na licytatora. Zaczynamy!

Świadomie ignorowała spojrzenia Camerona i jego grupki przyjaciół. Wkrótce rozmowy ucichły i prowadzący licytację poprosił publiczność o zgłoszenie pierwszej oferty.

Ktoś ze środkowego rzędu podniósł otrzymaną podczas rejestracji kopertę i zaproponował sumę pięćdziesięciu tysięcy dolarów. Stawka rosła szybko, podwyższana najczęściej o dziesięć tysięcy. Kilka osób - prawników lub pośredników od nieruchomości działających w imieniu klientów - siedziało z telefonem komórkowym przy uchu. W ciągu kilku minut cena sięgnęła dwustu dwudziestu pięciu tysięcy dolarów.

Zapadła cisza. Podczas gdy licytator zachwalał dom, próbując podbić stawkę, Cathryn spytała szeptem przyjaciółkę:

- Jak myślisz? Do ilu dojdzie? Lauren wzruszyła ramionami.

- Diabli wiedzą. - Krytycznym wzrokiem popatrzyła na okazałą budowlę. -

Miejsce jest wspaniałe, chałupa naprawdę piękna, ale niestety stara i wielka.



Zważywszy, ile trzeba będzie włożyć w remont... Hm, gdybym uczestniczyła w licytacji, wyznaczyłabym sobie nieprzekraczalny limit w wysokości pół miliona dolarów. Ale liczyłabym na to, że uda mi się kupić za trzysta pięćdziesiąt, góra czterysta tysięcy.

Jednakże nie musiała sobie wyznaczać żadnych limitów, bo nie brała udziału w licytacji. Dom tej wielkości nie był jej do niczego potrzebny.

Licytacja trwała dalej. Stawka wynosiła dwieście sześćdziesiąt tysięcy. Ponieważ siedziała zwrócona twarzą do Cathryn, Lauren zauważyła, że Cameron podnosi kopertę.

- Dwieście siedemdziesiąt.

Więc jest zainteresowany kupnem Rockland. Ciekawe...

- To głos Camerona? - spytała Cathryn, wyciągając głowę.

- Dwieście osiemdziesiąt. - Kontrofertę złożył jakiś mężczyzna z łysiną przypominającą tonsurę.

W licytacji aktywnie uczestniczyło siedem osób, kiedy jednak cena doszła do trzystu czterdziestu tysięcy, trzech uczestników się wycofało, a dwóch innych powoli zaczęło tracić zapał. Kiedy stawka doszła do trzystu dziewięćdziesięciu, na ringu pozostał tylko Cameron oraz gość z tonsurą. Obaj walczyli zażarcie, zupełnie jakby Rockland było Tadź Mahalem, a oni sami mieli nieograniczone zasoby finansowe.

- Czy ktoś daje czterysta? - spytał licytator. Cameron skinął głową.

- Czterysta dziesięć - podbił stawkę ten z tonsurą.

Lauren przysiadła na rękach, usiłując powstrzymać się przed wykonaniem nimi jakiegokolwiek ruchu; licytacja koczyła ją - nie dlatego, że był to jej wymarzony dom, nie dlatego, że miałyby okazję zagrać na nosie miejscowym ważniakom i plotkarzom, ale dlatego, żeby zrobić na złość Cameronowi, któremu, jak widziała, bardzo zależy na tej posiadłości.

- Czterysta piętnaście! - zawołał.

- Dziękuję panu. Proszę państwa, czterysta piętnaście po raz pierwszy...

Lauren wpatrywała się w swe sandały; starała się zdystansować od tego, co się tu działo, myśleć o czymś innym. Słyszała jednak wahanie w głosie „tonsury”, jego powoli narastającą obawę i strach. Wiedziała, że facet lada moment się wycofa.



Siedziała spięta, z zamkniętymi oczami, nerwowo przytupując nogą. Każdy z licytantów jeszcze dwukrotnie podbił cenę. Kiedy Cameron podał sumę czterystu pięćdziesięciu tysięcy, Lauren zorientowała się, że to koniec, że mężczyzna, którego w myślach nazywała „tonsurą”, zrezygnuje z dalszej walki.

- Proszę państwa, mamy czterysta pięćdziesiąt. Czy ktoś daje więcej? Czterysta pięćdziesiąt pięć?

Cisza.

- Czy słyszycie czterysta pięćdziesiąt pięć? - powtórzył prowadzący.

Kilka osób spojrzało na „tonsurę”, potem na Camerona. Nie odpowiadała na skierowane do niego uśmiechy; stał skupiony, zadowolony, dumny z siebie. Jego zadufanie ją rozzłościło.

Cathryn pochyliła się do przyjaciółki, nieświadoma emocji, jakie się w niej kotłują.

- Ale masz nosa, Lauren. Idealnie wytypowałaś.

- Czterysta pięćdziesiąt po raz pierwszy. - Licytator rozejrzał się uważnie po zebranych. - Czterysta pięćdziesiąt po raz drugi...

Zanim zorientowała się, co robi, Lauren podniosła kopertę.

- Czterysta pięćdziesiąt pięć! - zawołała.

Cameron poczuł ucisk w piersi. Przekleństwa same cisnęły mu się na usta. Na miłość boską, co jej odbiło? Tyle czasu siedziała cicho, że był pewien, iż przyszła w charakterze widza.

- Co się dzieje? - spytał Fred.

W grupie mężczyzn stojących wokół Camerona zapanowało poruszenie. Nawet licytator wydawał się być zaskoczony. Po chwili jednak wziął się w garść i spytał, czy ktoś gotów jest dać czterysta sześćdziesiąt tysięcy dolarów. Nie mając wyboru, Cameron skinął głową.

- Proszę państwa, mamy czterysta sześćdziesiąt. Czy jest chętny na czterysta siedemdziesiąt?

Lauren podniosła rękę, ignorując szepty i zaciekawione spojrzenia.

- Co ty robisz? - spytała z przerażeniem Cathryn. Ją też Lauren zignorowała.

Licytator wyprostował ramiona, jakby nagle zdając sobie sprawę, że gra toczy się od nowa. W jego głosie słychać było nutę podniecenia.

- Dziękuję. Czy...

- Czteryście osiemdziesiąt - oznajmił Cameron, posyłając Lauren lodowate spojrzenie.

- Czteryście osiemdziesiąt. Czteryście osiemdziesiąt. Czy jest chętny na czteryście dziewięćdziesiąt?

Na ułamek sekundy ogarnęły Lauren wątpliwości, lecz przypomniała sobie koszmar, jaki przeżyła piętnaście lat temu. Przypomniała sobie, co o niej mówiła Pru Hathaway: że jest chciwą na pieniądze lafiryndą, która nigdy w życiu do niczego nie dojdzie. Przypomniała sobie te wszystkie kłamstwa i oszczerstwa, własny strach oraz poczucie obrzydzenia. A przede wszystkim ból, gdy Cameron obrócił się przeciwko niej.

- Pięćset! - rzuciła.

- Lauren! - szepnęła błagalnie Cathryn. - Opamiętaj się. Prowadzący licytację rozpromienił się.

- Czy słyszę pięćset dwadzieścia? - Popatrzył wyczekująco na Camerona. - Dziękuję panu. Mamy pięćset dwadzieś...

W Lauren wstąpiła furia.

- Pięćset pięćdziesiąt!

- Kiciu, przecież mówiłaś... - zaczęła Cathryn.

- Cicho! Nie przeszkadzaj!

Cathryn zamilkła; złapawszy się za głowę, z sykiem wypuściła z siebie powietrze.

Cameron zawahał się, wyraźnie zaskoczony.

- Jest to piękny dom, proszę państwa - zachęcał licytator. - Sama ziemia jest warta co najmniej pół miliona.

- Pięćset siedemdziesiąt pięć - oznajmił Cameron. Prowadzący uśmiechnął się i spojrzał na Lauren.

- Sześćset.

Wśród zgromadzonych przeszedł szmer. Cameron zacisnął zęby.

- Sześćset dziesięć - rzekł, zastanawiając się, czym na to zasłużył. O sto dziesięć tysięcy przekroczył limit, który sobie wyznaczył.

Lauren natychmiast podniosła stawkę do sześciuset dwudziestu pięciu. Decyzja znów należała do niego.

- Walcz, synu. Walcz! - Z głosu Claytona bił żar.

Cameron domyślił się, że ojciec chętnie udzieli mu pożyczki, chciał jednak sam o sobie decydować. To była walka pomiędzy nim a Lauren. Po chwili skinął głową, zgadzając się na sumę sześciuset pięćdziesięciu tysięcy dolarów.

- Sześćset siedemdziesiąt pięć - oznajmiła najspokojniej w świecie Lauren.

- Rany boskie! - zawołał Fred. - Ona nie żartuje.

- Siedemset - podbił Cameron.

- Siedemset dwadzieścia pięć. - Skoro już raz zaczęła, nie zamierzała się poddać.

Cameron zaklął cicho pod nosem. Koperta, którą trzymał w ręce, była wilgotna od potu.

- Osiemset.

Fred położył dłoń na jego ramieniu.

- Co ty wyprawiasz, Cam?

Cameron nie odpowiedział przyjacielowi, ale od paru minut zadawał sobie to samo pytanie. Czyżby całkiem zwariował?

Lauren nie miała odwagi obrócić w bok głowy; bała się, że Cameron zauważy w jej oczach strach. Widziała, jak stojący koło niego mężczyźni coś mu szepczą do ucha; przypuszczalnie oferują wsparcie finansowe. Jeśli tak, to koniec, pomyślała. Jednakże wpatrywanie się przed siebie nie było łatwe ani przyjemne. Siedzący z przodu ludzie zerkali na nią z rozbawieniem. Niewątpliwie to, co się działo, było dla nich wspaniałą rozrywką: oto piętnaście lat po ostatnim starciu Cameron Hathaway i Lauren DeStefano znów stają do walki.

Dygocząc jak osika, cudem zdołała zachować pozory spokoju.

- Osiemset dwadzieścia pięć - rzekła.

- Osiemset dwadzieścia pięć - powtórzył licytator, z trudem kryjąc radość. - Czy są chętni na osiemset pięćdziesiąt? To naprawdę przepiękny dom. Prawie zabytek. A jaki ma niesamowity potencjał!

Cameron podniósł stawkę o następne dwadzieścia pięć tysięcy, czym jeszcze bardziej zezłościł Lauren. Im bardziej jemu zależało na kupnie Rockland, tym bardziej jej zależało na tym, aby do tego nie dopuścić.

- Osiemset siedemdziesiąt pięć.

- Mamy osiemset siedemdziesiąt pięć tysięcy dolarów - oznajmił licytator. - Słucham pana... - zwrócił się do Camerona.

Cameron patrzył przed siebie, ale wszystko widział jak przez mgłę. Licytacja zamieniła się w jeden wielki koszmar, w totalne fiasko.

- Koniec - mruknął pod nosem, zresztą nie pierwszy raz. - Wycofuję się. To szaleństwo.

Ojciec, który cały czas wręcz zagrzewał go do walki, teraz westchnął głęboko i rzekł zrezygnowany:

- Chyba masz rację, synu. Później sobie z nią poradzimy... Ale wiesz co? Zablefuj. Podbij stawkę jeszcze kilka razy. Niech ją to kosztuje fortunę.

- Już i tak kosztuje.

Czując, jak ojciec trąca go łokciem, Cameron zorientował się, że prowadzący czeka na jego reakcję. Ponownie skinął głową.

Jeszcze pięć razy odbijali piłeczkę; w końcu stawka doszła do dziewięćset osiemdziesięciu tysięcy.

- Proszę państwa, mamy dziewięćset osiemdziesiąt tysięcy. - Prowadzący wprost nie posiadał się ze szczęścia. - Czy ktoś da więcej? - Skierował wzrok na Lauren.

- Dziewięćset osiemdziesiąt pięć.

- Co pan na to? - Zwrócił się do drugiego licytanta.

No dobra, pomyślał Cameron. Z pewną siebie, nieustraszoną miną, mając nadzieję, że zdoła podtrzymać farsę i nie zdradzić się, że od pewnego czasu blefuje, podniósł stawkę o kolejne pięć tysięcy. Modlił się w duchu, aby na myśl o zbliżającym się milionie Lauren nagle nie poszła po rozum do głowy.

Nie poszła.

- Dziewięćset dziewięćdziesiąt pięć. Obserwatorzy szeptali w podnieceniu, zupełnie jakby oglądali fantastyczny pokaz sztucznych ogni.

- Proszę pana... Czy słyszę okrągły milion? Cameron wypiął dumnie pierś, po czym uśmiechnął

się nieznacznie, jakby to on był zwycięzcą, a Lauren pokonaną.

- Nie - odparł zdecydowanym tonem.

Publiczność wciągnęła z sykiem powietrze. Lauren znieruchomiała.

- Może chociaż dziewięćset dziewięćdziesiąt osiem? - kontynuował licytator.

Cameron przestąpił z nogi na nogę, skrzyżował ręce na piersi.

- Dziewięćset dziewięćdziesiąt sześć? - Spróbował jeszcze raz licytator, spuszczać sumę o dwa tysiące.

Cameron pokręcił stanowczo głową; sprawiał wrażenie, jakby był pogodzony w faktem, że Rockland przypadnie w udziale komuś innemu. W rzeczywistości miał ochotę się rozplakać.

Licytator wziął głęboki oddech.

- Dziewięćset dziewięćdziesiąt pięć tysięcy po raz pierwszy. Dziewięćset dziewięćdziesiąt pięć tysięcy po raz drugi... - Po chwili ciszę przerwało uderzenie młotka o stół. - Sprzedane za dziewięćset dziewięćdziesiąt pięć tysięcy. Gratuluję pani.

Kusiło ją, by unieść w powietrze pięść i wydać z siebie ogłuszający ryk zwycięstwa. Zamiast tego zacisnęła rękę na ramieniu Cathryn. Dopiero wtedy zauważyła, że przyjaciółka siedzi oszołomiona i jakby wtłoczona w krzesło.

- Coś ty zrobiła? - spytała ochryple Cathryn, powoli odwracając głowę.

Lauren drżała z podniecenia. Pokonała Camerona, ot co zrobiła! Dostarczyła zadzierającym nosa babsztyłom w pierwszym rzędzie tematu do plotek! Wprawdzie wydała więcej pieniędzy niż zamierzała, ale zwycięstwo było tego warte. Właściwie ubiła interes życia. Cathryn wyprostowała się na krześle.

- Wyobrażasz sobie, jak twoja biedna matka będzie żyła w tak wielkiej chałupie?

Uśmiech na twarzy Lauren zaczął stygnąć.

- A twoje niezłomne zasady? - kontynuowała przyjaciółka. - Że trzeba dokładnie obejrzeć dom, wziąć pod uwagę koszty remontu, ustalić nieprzekraczalny limit...

Lauren poderwała się na nogi. Nie chciała słuchać krytycznych uwag.

- Wydałaś prawie okrągły milion na dom, którego nawet dobrze nie obejrzałaś.

Powoli zaczęło docierać do jej świadomości, co zrobiła. Boże... Patrząc na Cathryn, usiłowała powiedzieć coś na swoje usprawiedliwienie, ale nie była w stanie wydobyć z siebie głosu.

Cathryn pokiwała ze zrozumieniem głową. Jej najbliższa przyjaciółka dokonała najbardziej bezsensownego zakupu w swoim życiu, a wszystko z powodu urażonej przed laty dumy.

- I co? - Cathryn wyszczerzyła zęby. - Warto było?

- Rozłożyć na łopatki Cama? - Uśmiech ponownie wypełził na usta Lauren. - Jeszcze jak!

- To dobrze. A jeśli chcesz znać prawdę, cieszę się, że dom jest twój. - Cathryn spojrzała w stronę stołu, przy którym siedzieli przedstawiciele banku. - Czeka cię teraz mnóstwo formalności, więc wracam do domu, a ty się zajmij czym trzeba. - Uścisnęła przyjaciółkę. - Zadzwoń z hotelu.

Lauren ruszyła przed siebie na chwiejnych nogach. Jeszcze nigdy w życiu za nic nie zapłaciła miliona dolarów. Nigdy nie zapłaciła nawet pół miliona. Średnia cena nieruchomości, jakie dotąd kupowała, wynosiła pomiędzy dwieście a trzysta tysięcy. Skąd weźmie pieniądze na Rockland? I na co jej matce tak ogromna chałupa? Czyżby kupiła Audrey białego słonia? Zawiesiła jej na szyi ważący tonę naszyjnik?

Nie, nie wolno tak myśleć. Dlaczego matka miałyby nie zamieszkać w pięknym dużym domu? I dlaczego ona, Lauren, nie miałyby tu, w Rockland, urządzić dla niej pensjonatu? Byłby to najelegantszy pensjonat na całym wschodnim wybrzeżu wyspy. Może nawet przynosiłby dochód?

Niemal przekonała samą siebie, że podjęła słuszną decyzję, kiedy nagle poczuła, jak ktoś kładzie rękę na jej ramieniu. Obejrzawszy się, zobaczyła Anne MacDugal, której nie zauważyła wcześniej wśród widzów.

- Gratuluję, Lauren. - W oczach agentki malowało się zdziwienie. - Nie miałam pojęcia, że interesuje cię ta posiadłość. Szkoda, że mnie nie uprzedziłaś.

- Właściwie przyszedłam popatrzeć, a potem jakoś... - Oblała się rumieńcem. - Przepraszam. Wygląda na to, że żadnych innych domów nie będę już oglądać.

- Nie ma sprawy. - Anne MacDugal przyjęła jej słowa z filozoficznym spokojem.

- Ale gdybym kiedyś postanowiła jeszcze coś kupić na wyspie, na pewno się do ciebie zgłoszę.

- Dziękuję. - Anne już miała odejść, kiedy nagle coś sobie przypomniała. - Swoją drogą to dziwne, że pokonałaś akurat Camerona Hathaway.

Rumieniec na twarzy Lauren pogłębił się. Czyżby Anne też знаła jej przeszłość? Czyżby plotki jeszcze nie ustały?

- Dla... dlaczego?

- Ten dom stoi w historycznej części wyspy?

- Tak... - Nie miała o tym pojęcia, ale nie chciała się do tego przyznać.

- A to oznacza, że dokonując remontu, trzeba przestrzegać pewnych określonych zasad.

Lauren ogarnęły złe przecucia.

- Innymi słowy - kontynuowała agentka - wszelkie plany należy przedstawiać radzie działającej przy Urzędzie Konserwatora. Jeżeli rada coś odrzuci, wtedy wnosi się poprawki i ponownie składa do akceptacji. Niekiedy bywa to dość uciążliwe i czasochłonne.

Lauren poczuła, jak skóra jej cierpnie. Wiedziała, ile może być problemów z odnawianiem budynków o znaczeniu historycznym. Dlatego takie domy zawsze omijała z daleka.

- A kto przewodniczy tutejszej radzie? Z kim będę miała do czynienia?

- Och, Lauren, sądziłam, że wiesz. - Anne dyskretnie skinęła głową. - Z nim.

Lauren popatrzyła we wskazanym kierunku i serce zabiło jej mocniej. Radzie przewodniczył Cameron Hathaway.

## Rozdział 4

Z powodu odniesionej porażki Cameron wiedział, że powinien pożegnać się i czym prędzej zniknąć. Po co ma stać i przyjmować wyrazy współczucia? Ojciec też usiłował go skłonić do odejścia.

- Nie ma sensu patrzeć, jak ona upaja się zwycięstwem. Jednakże Cameron czuł, że powinien zostać.

- Wiesz co, tato? Ty wracaj do domu, a ja jeszcze chwilę się tu pokręcę.

W domu matka czekała na nich z lunchem. Zamierzali razem uczcić nowy nabytek Camerona.

- Chyba nie chcesz z nią rozmawiać? - Clayton zmrużył oczy.

- Nie wiem.

- Popełniłbyś duży błąd.

Gorycz przegranej sprawiła, że Cameron niemal warknął na ojca, aby się nie wtrącał. Starając się powściągnąć gniew, skinął głową.

- Nie martw się, tato - rzekł, a gdy tylko został sam, natychmiast podszedł do Lauren.

Nie wiedział, czego się spodziewać, ale zdumiała go jej przeraźliwa bledość oraz strach wycierający z oczu.

- Mógłbym z tobą chwilę porozmawiać? Zawahała się, mierząc go niepewnie wzrokiem.

- Dobrze. - Po czym zwróciła się do agentki: - Przepraszam cię na moment...

- Tak, oczywiście. - Anne MacDugal z trudem poskromiła ciekawość.

Dosłownie kilka sekund wystarczyło, żeby Lauren wzięła się w garść.

- Co, Cam, przyszedłeś mi pogratulować? - spytała z dawnym błyskiem w oczach.

- Bynajmniej. - Skrzyżował ręce na piersi, czując, jak przepelnia go żal. - Nie mam zamiaru udawać, że cieszy mnie obecna sytuacja...

- Obecna sytuacja? - Popatrzyła na niego z niewinną miną. - Ach, już wiem! Chodzi ci o to, że cię znokautowałam?



- Przestań, Lauren. Musimy zapomnieć o dawnych urazach. Chciałbym wyjaśnić ci parę rzeczy...

- Jako szef rady przy Urzędzie Konserwatora?

- Tak. - Widząc pogardę i tupet w oczach Lauren, żałował, że nie przebił jej oferty, że nie walczył do ostatniego grosza. - Ponieważ dom znajduje się w historycznej części wyspy, wszystko związane z remontem podlega ustalonym procedurom...

- To znaczy? - Oparła ręce na biodrach.

- To znaczy, że zanim dokonasz jakiegokolwiek zmiany w zewnętrznej architekturze domu, rada musi zatwierdzić plany i wydać stosowne pozwolenie.

Ognistorudy kosmyk opadł jej na czoło. Cerę miała tak jasną, że niemal przezroczystą. Dziwne, że ktoś o tak kruchym, delikatnym wyglądzie może być tak silny i niezłomny, pomyślał Cameron.

Odgarnęła z czoła włosy.

- To wszystko?

Powinien był przytaknąć i odejść, zamiast tego rzekł:

- Gdybyś potrzebowała informacji albo chciała przedyskutować swoje plany, zanim przedstawiś je na piśmie, chętnie służę ci pomocą.

- Ty? - Zdziwiona, uniosła brwi. - Miałabym się ciebie radzić?

- Ludzie często zasięgają mojej opinii. To im zaoszczędza wielu kłopotów i rozczarowań.

Wpatrywał się w morze, zastanawiając się, po jakie licho tu jeszcze stoi. Lauren zaś otworzyła usta, jakby chciała coś powiedzieć, po czym parsknęła śmiechem.

- Nie jestem taka jak inni, Cam.

- W porządku. Działaj po swojemu. Mam jednak pewną drobną uwagę. - Lauren drgnęła. - Decyzje rady dotyczą wyłącznie elewacji. Do tego, co robisz w środku, nie wtrącamy się. Zanim jednak zaczniesz burzyć ściany, miej na względzie, że dom liczy sto pięćdziesiąt lat. Dokonano w nim wielu zmian, ale sporo rzeczy zachowało swój pierwotny wygląd i charakter. Nie niszczyć ich, dobrze?

- Zaraz, chwileczkę. Skoro rada nie ma prawa decydować o wnętrzu domu, nie rozumiem, dlaczego...

- Wyjaśnię ci. - Wbił w nią oczy. - Otóż jeśli sądzisz, że długo będziesz właścicielką tej posiadłości, to się mylisz. Jeżeli nie wykończą cię koszty remontu, wykończy cię ciężka, żmudna praca. A kiedy w końcu postanowisz odsprzedać mi dom, wolałbym, aby był on w nienaruszonym stanie.

- Skończyłeś? - warknęła.

- Jeszcze nie. - Chciał mieć ostatnie słowo. - Radzę ci, Lauren, bądź grzeczna i nie podskakuj. Będę cię pilnował jak zły pies złodzieja. - Opuścił ręce wzdłuż ciała. - Teraz skończyłem.

Ojciec miał rację, pomyślał, idąc w stronę zaparkowanego przy jezdni samochodu. Nie powinien był zostawać i rozmawiać z Lauren. Drugi raz tego błędu nie popełni.

Przez następne dwie godziny załatwiała formalności bankowe, a także usiłowała dojść do siebie po konfrontacji z Cameronem. Ze zdenerwowania rozboleł ją brzuch. Całe szczęście, że toaleta na parterze była czynna, bo dosłownie kilka minut po odejściu Camerona musiała z niej skorzystać. Wbiegła, zamknęła za sobą drzwi i pochyliła się nad starą porcelanową muszlą. Wstrząsana torsjami, pomyślała sobie, że kiepsko się to wszystko zaczyna.

Była prawie druga po południu, kiedy wreszcie dotarła do hotelu. Zamówiła do pokoju miskę gulaszu rybno-warzywnego, który przez następną godzinę próbowała zjeść.

Kretynka. Wariatka. Boże, jaka była głupia, że dała się ponieść emocjom i wciągnęła w licytację. Zawsze uchodziła za osobę opanowaną, ostrożną, a dziś...

Co ją opętało? Żądza zemsty? Chęć pokonania Camerona?

Tak, pokonałaś go, powiedziała do siebie, drżącą ręką nabierając kolejną łyżkę gulaszu. Pokonałaś w miejscu publicznym, na oczach zebranych ludzi.

Głupia, głupia, głupia. Sytuacja była beznadziejna. Chociaż nie, mogłoby być jeszcze gorzej. Rada mogłaby również chcieć opiniować wszelkie zmiany dokonywane wewnątrz domu.

Odstawiła miskę z nie dokończonym jedzeniem na stolik nocny, poprawiła poduszkę i usiadła, opierając się o wezglowie łóżka. No dobra, nie ma sensu

roztkliwiać się nad sobą ani robić sobie wyrzutów; czas najwyższy przystąpić do działania.

Pierwszy krok jest prosty. Jutro, zgodnie z planem, wróci do Bostonu, a w poniedziałek rano uda się do banku, by załatwić kredyt pod zastaw hipoteczny. Podniosła leżący koło telefonu notes i zapisała: „Poniedziałek - bank”, ale ręka tak bardzo jej drżała, że wyglądało to jak: „Podziak - bak”. Do diabła. Wiedziała, że zdobycie tak ogromnej sumy będzie dużym problemem. Niby miała pięć milionów dolarów w nieruchomościach, ale nie wszystkie domy były już spłacone.

Nie przejmuj się, jakoś to będzie. A zatem co dalej?

„Praca”, zapisała w notesie. Musi skończyć wiele rzeczy, a wielu innym nadać właściwy bieg, zanim będzie mogła zostawić agencję w rękach swych pracowników. Oni zaś będą musieli sobie radzić bez niej. Rockland nie jest zwykłym domem; wiedziała, że jej obecność na wyspie będzie konieczna podczas prac remontowych. Dzięki Bogu za komputery i Internet. Większość spraw będzie mogła prowadzić na odległość. Niby to nie to samo co być na miejscu, ale nie miała wyjścia. Czy mogłaby scedować więcej obowiązków na swoje siostry? Nie bardzo. Dziecko Michelle miało dwa lata, a córeczka Kim zaledwie pół roku.

Coś wymyśli. Na pewno. Zastanawiała się, z czym jeszcze może mieć problem...

- Mama - szepnęła.

Jak ma wytłumaczyć matce swe długie pobyty za miastem? Czy zdoła utrzymać wszystko w tajemnicy? Przez kilka minut siedziała zadumana, uderzając ołówkiem o zęby, ale nic mądrego nie wymyśliła. Zapisała w notesie „Audrey”, a poniżej „Joe”.

Musi zadzwonić do Joego Giancomo, przedsiębiorcy budowlanego, z którego usług stale korzystała, i namówić go, by podjął się prac remontowych na środku oceanu. Jeżeli Joe się zgodzi, musi przywieźć go na wyspę, żeby obejrzał dom, ocenił, co trzeba zrobić, przygotował kosztorys, a także pomógł jej napisać podanie do rady.

Z cichym jękiem odłożyła na bok notes i spuściła nogi z łóżka. Zanim przystąpi do czegokolwiek, musi najpierw wybrać się do ratusza i wziąć informator, w którym byłyby dokładne objaśnienia na temat wymagań stawianych przez radę. Nie chciała, by Cameron zakwestionował jej podanie. Przy okazji weźmie też broszury z wydziału

gospodarki przestrzennej. Dom, który kupiła, nie stoi na pustkowiu; wokół mieszkają ludzie. Na prowadzenie pensjonatu na pewno potrzebna będzie zgoda odpowiednich organów.

Potarła czoło. Głowa pękała jej z bólu. Nie, zanim gdziekolwiek się uda, najpierw musi wziąć aspirynę.

Chwilę później, stojąc nad umywalką w łazience, zdała sobie sprawę, że szykuje się jak do wojny. Z drugiej strony, czy ma jakieś wyjście? Nie może sobie pozwolić na porażkę.

Nie tu, na wyspie, na której jej rodzina doznała tylu upokorzeń. I nie na oczach Camerona, który będzie uważnie śledził jej poczynania i czekał na potknięcia.

„Jeśli sadzisz, że długo będziesz właścicielką tej posiadłości, to się mylisz”. Tak powiedział. Zwykle groźby nie robiły na niej wrażenia, ale słowa Camerona zapadły jej w pamięć. Tak czy owak, najlepszą obroną jest atak. Popiwszy aspirynę wodą, uszczypnęła się w policzki, aby nabrały trochę koloru, po czym energicznym krokiem ruszyła do drzwi.

Podczas obiadu w domu rodziców Cameron z każdą sekundą czuł narastające napięcie. Wcześniej miał nadzieję, że właśnie tu odzyska spokój. Że znajdzie azyl, ukojenie po gwałtownych emocjach, jakich raz po raz doświadczał na licytacji. Ale w domu rodziców szalał tajfun. Tajfun o imieniu Prudence.

- Jak mogłeś jej na to pozwolić, Cam?! - wykrzykiwała matka, przemierzając tam i z powrotem taras. - Na miłość boską, czy nie masz za grosz godności?

Nabrał na widelec odrobinę sałatki z kurczakiem, ale nie miał apetytu; nawet dodane do sałatki kawałki ananasa, za którym zwykle przepadał, smakowały jak trociny.

- Uspokój się, Pru - powiedział siedzący przy stole Clay. - Cameron słusznie postąpił. Z początku też mi się to nie podobało, ale byłby głupi, gdyby dalej licytował.

Cameron podejrzewał, że ojciec robi dobrą minę do złej gry, matka zaś dalej krążyła po tarasie. Była to wysoka kobieta o obciętych na pazia jasnych włosach poprządkanych srebrnymi nitkami i spalonej na brąz, przedwcześnie postarzałej cerze. Na tyle jednak kochała słońce, że nie przejmowała się zmarszczkami. Spódnica i

bluzka, które miała na sobie, były w jej posiadaniu co najmniej od piętnastu lat, ale tym faktem przejmowała się jeszcze mniej.

- To w końcu za ile kupiła? - spytała, przystając na moment.

- Prawie za milion - odparł Clay.

- Prawie za milion - powtórzyła z niedowierzaniem i pogardą w głosie. - Boże drogi! Ci ludzie są żywotni i niezniszczalni jak karaluchy!

Cameron zmrużył oczy. Kochał matkę. Była osobą silną, oddaną rodzinie, gotową jak lwica bronić swojego męża, syna oraz wspaniałej rezydencji, na której tarasie spożywali teraz obiad. Ale zdarzały się chwile, kiedy... zwyczajnie jej nie lubił.

Clayton podszedł do żony, ujął ją za ramiona i podprowadził do stołu.

- Usiądź - rozkazał.

Posłuchała. Oddech miała przyśpieszony, oczy lśniące z podniecenia.

- Co za bezczelność! Ca za tupet! Specjalnie to zrobiła! Żeby się na nas zemścić. Żeby nas upokorzyć.

Cameron cisnął widelec na stół. Zazwyczaj kiedy matka wpadała we wściekłość, nic nie mówił, tylko siedział cicho, czekając, aż jej przejdzie. Burza, której nic nie podsycalo, mijała szybko, nie czyniąc większych szkód. Dziś jednak jego cierpliwość się wyczerpała.

- Przykro mi, mamó, że nie wygrałem licytacji. I wiem, że ludzie znów wezmą nas na języki. Ale nic na to nie poradzę. Zależało mi na tym domu, ale jeszcze nie zwariowałem, żeby tyle za niego płacić.

- Słusznie postąpiłeś - powtórzył Clay.

Cameron wołał, by ojciec nie wtrącał się do rozmowy. Pru podniosła kieliszek. Usta miała tak mocno zaciśnięte, że nie wiadomo, jakim cudem zdołała cokolwiek wypić.

- Mam nadzieję, że nie zamierza przenieść się na wyspę i sprowadzić reszty rodziny.

- Nie sądzę - powiedział Cameron. - Pewnie potraktuje Rockland jak inwestycję, na której będzie chciała zarobić.

Pru wzdrygnęła się.

- Musimy temu przeciwdziałać, Clay.

- Wszystko w swoim czasie, kochanie. Cam zasiada w radzie przy Urzędzie Konserwatora, ja mam co nieco do powiedzenia w wydziale gospodarki przestrzennej. Miną lata, zanim Lauren DeStefano na cokolwiek otrzyma zgodę. Podejrzewam, że już po paru miesiącach straci cierpliwość i zrezygnuje z Rockland.

- Oby. - Pru dołała sobie wina i przez moment wpatrywała się w kieliszek. - Jak sobie przypomnę te kłótnie, ten wstyd i upokorzenie... Boże, ile myśmy się wycierpieli przez tę gówniarę.

- Nie tylko przez nią - wtrącił Clayton.

- To prawda. Jej ojciec też nam napsuł krwi.

- Tak. Przez tego sukinkota ucierpiała cała wyspa. Cameron potarł zirytowany czoło.

- Chyba nie zaczniecie znów dyskutować o reformie podatkowej?

Rodzice popatrzyli na niego zdziwieni.

- Nic nie rozumiesz - rzekł ojciec. - Twierdzisz, że rozumiesz, ale byłeś wtedy tak młody, że nie możesz wiedzieć, co przeżywaliśmy.

A jednak wiedział, i nawet podzielał niechęć rodziców do Toma DeStefano. Chciał zapomnieć o przykrościach i porażkach - ale nie było mu to dane.

Znał tę historię na pamięć, lecz znów musiał jej wysłuchać. Tom uważał za niesprawiedliwe, że kilka czy kilkanaście rodzin mających ogromne posiadłości na wyspie płaci tak niskie podatki gruntowe. Clay tłumaczył mu, że zachowanie status quo leży w interesie mieszkańców Harmony. Gdyby podniesiono podatek gruntowy, właściciele dużych terenów nie byłoby na niego stać. Musieliby zacząć wyprzedawać ziemię. Wtedy na Harmony pojawiliby się inwestorzy, nastąpiłby rozkwit budownictwa mieszkaniowego. Urocze stare domy, zielone łąki, cisza, spokój, złociste plaże i wspaniałe widoki - w to wszystko, co stanowiło o niepowtarzalnym charakterze wyspy, wtargnęłaby brutalna nowoczesność.

Tak, Hathawayowie nienawidzili Toma. Z powodu utraconych pieniędzy, z powodu pięćdziesięciu hektarów ziemi sprzedanej bankowi za ułamek jej prawdziwej wartości, z powodu zmian, jakie dokonywały się na wyspie - za całe zło winili jednego człowieka. Swoją niechęć do niego przelali również na jego rodzinę.

- Wiedzieliśmy, jak to się zakończy! - grzmiał Clayton. - I nie pomyliliśmy się.

- Nie musielibyśmy sprzedawać ziemi...

Cameron odpłynął myślami. Kochał tę wyspę miłością człowieka, który się tu urodził i wychował, tak jak jedenaście pokoleń Hathawayów przed nim. Podobnie jak rodzice, żałował tego, co stracili. Ze stu hektarów ziemi zostało im zaledwie pięć. Na dwóch łąkach pasły się owce; trzymali je częściowo z powodów sentymentalnych, a częściowo dla wełny - Pru uwielbiała tkać.

Słyszając imię Lauren, ponownie skupił uwagę na rozmowie.

- Może urodę odziedziczyła po matce - mówiła Pru - ale charakter zdecydowanie po ojcu. Tyle że jest bardziej od niego inteligentna. Diabli wiedzą, ile narobi szkód...

Nie mógł tego dłużej znieść. Czuł tak silny ucisk w piersi, że z trudem oddychał.

- Dzięki za obiad, mamó - powiedział, odsuwając krzesło. - Był naprawdę pyszny. Ale teraz muszę wracać do siebie.

Pru spojrzała na syna, po czym wbiła wzrok w jego pełny talerz.

- Przepraszam, kochanie. Twój ojciec i ja czasem zapalamy się do jakiegoś tematu... Po prostu chcemy, żebyś był szczęśliwy. Już dość się wycierpiałeś przez tę dziewczynę. Dlatego tak bardzo niepokoi mnie jej powrót na wyspę.

- Rozumiem, mamó, ale naprawdę muszę iść. Mam sporo pracy.

Kobieta wstała od stołu i uściskała syna.

- Nie martw się. Wszystko będzie dobrze.

Cameron skinął głową, ale w zapewnienia, że wszystko będzie dobrze, przestał wierzyć w wieku czternastu lat.

W domu przebrał się w szorty, włożył tenisówki i ruszył truchtem w stronę plaży. Liczył na to, że jogging pomoże mu się pozbyć złości i frustracji, jakie się w nim nagromadziły od rana. Po przebiegnięciu kilkuset metrów uświadomił sobie, co mu przeszkadza. Wcale nie dzisiejsza porażka przy licytacji. Znacznie bardziej przeszkadzała mu reakcja rodziców. Ich gniew. Zawód, jaki im sprawił. A przede wszystkim własne poczucie winy.

Cholera, tak podle nie czuł się od dnia, kiedy powiadomił ojca i matkę, że Lauren spodziewa się jego dziecka.



Zwolnił, najpierw trochę, potem jeszcze bardziej; wreszcie stanął. Pochylił się, oparł dłonie na udach... i nagle zalała go fala wspomnień. Tamtego dnia, wracając ze szkoły do domu, był wyjątkowo spokojny. Nie bał się czekającej go rozmowy z rodzicami. Owszem, spodziewał się, że będą źli, ale wierzył, że wszystko się dobrze ułoży. Z doświadczenia wiedział, że potrafią rozwiązać każdy problem.

Do licha, o czym on myślał? Że ożeni się z Lauren? Że będą żyli długo i szczęśliwie? Że codziennie będą zostawiać dziecko pod troskliwą opieką babci, a sami chodzić do szkoły? Chyba tak. Chyba rzeczywiście tak to sobie wyobrażał.

Matka, kiedy usłyszała tę nowinę, straciła przytomność. Potrafiła sama żeglować po wzburzonych morzach, potrafiła bez obrzydzenia czyścić po owcach zagrody, ale na wieść o ciąży Lauren osunęła się nieprzytomna na stół w jadalni. Cameron był tak zaskoczony i roztrzęsiony, że kiedy się po chwili ocknęła i zaczęła mu prawić kazanie, nic do niego nie docierało. Poza jednym: że przyniósł rodzinie wstyd i zhańbił nazwisko Hathawayów.

Zapamiętał też, że ojciec wypił trzy szklanki whisky, jedną po drugiej, a potem zaprowadził go do biblioteki. Ucieszył się; pomyślał, że teraz wreszcie na spokojnie przedyskutują problem. Zamiast tego ojciec ściągnął pasek, polecił synowi oprzeć się o półkę z książkami, po czym przystąpił do wymierzania razów. Ból był straszny, ale straszniejszy był szok, jakiego chłopiec doznał. Ojciec nigdy wcześniej nie podniósł na niego ręki.

Cameron wyprostował się i znowu zaczął biec.

Tamtego pamiętnego dnia stracił kontrolę nad swoim życiem. Rodzice zabronili mu chodzenia do szkoły, nie pozwalali, aby zbliżał się do drzwi, gdy ktoś pukał. Zastanawiali się, jak zaradzić sytuacji, ale jego nie pytali o zdanie. Nie brał udziału w rodzinnych dyskusjach. Przeżywał piekło. Najgorsze było to, że nie wiedział, co się dzieje z Lauren - czy powiedziała swoim rodzicom, jak oni zareagowali...

Po trzech dniach Hathawayowie zapisali syna do szkoły w Pensylwanii. Protestował; tłumaczył, że nie chce wyjeżdżać, a oni nie mają prawa go do tego zmusić. „Tak ci się tylko wydaje”, oznajmił ojciec. A matka dodała: „Nie masz nic do gadania”.



Ponownie zwolnił tempo. Wyjazd z Harmony. Pamiętał go, jakby to było wczoraj. Pamiętał swój smutek i rozpacz.

Kiedy mały samolot pasażerski wzbił się w niebo nad wyspą, Cameron dłużej nie był w stanie niczego udawać; po prostu rozplakał się. Tam w dole znajdowało się wszystko, co kochał, wszystko, co znał i wszystko, czego kiedykolwiek pragnął. Dom, przyjaciele, Lauren.

Z perspektywy czasu wiedział, że decyzję o wysłaniu go do Pensylwanii rodzice podjęli z ciężkim sercem. Był ich jedynym dzieckiem, kochali go. Powodowała nimi rodzicielska miłość; chcieli go chronić nie tylko przed Lauren i jego uczuciem do niej, ale również przed plotkami i skandalem, który niebawem miał wybuchnąć.

Niełatwo zniósł wygnanie. Był sam w obcym miejscu pośród obcych ludzi. Samotnie obchodził piętnaste urodziny. Święto Dziękczynienia spędził z dyrektorem szkoły. Poza rodzicami nikt do niego nie pisał. Dzwonić wolno mu było tylko do domu. Pory roku się zmieniały, a on nie widział oceanu. Nie czuł zapachu słonej wody, nie słyszał pisku mew, szumu fal, wycia syren. Z dala od domu docenił jego znaczenie. Zrozumiał, dlaczego w dawnych czasach banicja uchodziła za najsrozsza z kar.

Zatrzymał się i usiadł na miękkim, ciepłym piasku.

Podczas tych pierwszych ponurych miesięcy rodzice stanowili jego jedyny kontakt z wyspą. Pisali długie, mentorskie listy, w których tłumaczyli mu, jak bardzo źle postąpił. Ale nie winili go. Uważali, że Lauren, która była starsza, dokładnie wiedziała, co robi. Zawsze go ostrzegali, żeby baczył na to, z kim się zadaje. Przypominali mu, że kiedyś wszystko po nich odziedziczy. Niekiedy dołączali do listów broszury kościelne na temat cnoty, sposobów zapobiegania ciąży, chorób wenerycznych. Czuł się wtedy totalnie upokorzony.

Od rodziców dowiedział się też, jakim człowiekiem jest Tom DeStefano i dlaczego związek z jego córką absolutnie nie wchodzi w grę. DeStefano kochał pieniądze, chciał się szybko wzbogacić, najlepiej cudzym kosztem, dlatego domagał się od Hathawayów alimentów dla dziecka swojej córki. Lauren była taka sama jak jej ojciec. Najbardziej zdumiała Camerona wiadomość o usunięciu ciąży. To go

ostatecznie wyleczyło z miłości do Lauren. Kiedy pod koniec następnego roku rodzice pozwolili mu przyjechać do domu na święta Bożego Narodzenia, ział do niej nienawiścią.

To było straszne. Obie rodziny poszły na mszę do kościoła, ostentacyjnie trzymały się od siebie z daleka, a wszyscy uważnie im się przyglądali. Potem, gdy starsi składali życzenia sąsiadom i znajomym, on i Lauren odeszli na bok, by zamienić z sobą parę słów. Kiedy próbował jej wyjaśnić, dlaczego do niej nie pisał i nie dzwonił, powiedziała, że ma to w nosie. Wcale jej na tym nie zależało. Z kolei kiedy ona usiłowała mu wyjaśnić, co się stało z dzieckiem, on stwierdził, że to stare dzieje, które jego nic nie obchodzą.

Na co ona warknęła: „Spadaj, szczeniaku”.

A on: „Sama sobie spadaj”.

Wtedy oznajmiła, że żałuje dnia, w którym go poznała.

On na to: „Nigdy więcej się do mnie nie odzywaj. Nawet o mnie nie myśl”.

Z wściekłości obrzuciła go najgorszymi wyzwiskami. Przed kościołem. W dzień Bożego Narodzenia. Tak głośno przeklinała, że słyszał ją ksiądz i większość parafian.

Piętnaście lat później, siedząc na piaszczystej plaży, Cameron uśmiechnął się po raz pierwszy od rana. Nie znał drugiej osoby, która miałaby w sobie tyle z księżniczki i tyle z awanturnicy co Lauren. Między innymi dlatego ją pokochał.

Po chwili uśmiech zgasł na jego twarzy. Czy naprawdę ją kochał? W wieku czternastu lat był wielkim romantykiem. Ale był też jurnym młodzieniaszkiem. Pożądania nie należy mylić z miłością. Czy cokolwiek o sobie wiedzieli? Byli tacy młodzi. Ich charaktery jeszcze się nie ukształtowały. Dziś był innym człowiekiem; podejrzewał, że ona również.

Odczuwał jednakże silny związek psychiczny z tym chłopcem, którym był przed piętnastu laty, a w Lauren dostrzegał tamtą dziewczynę, którą kochał jako nastolatek. Pomimo złości, rozczarowania i żalu, że sprzątnęła mu przed nosa Rockland, doznał ogromnej radości na jej widok. Nie miało to najmniejszego sensu, ale...

Westchnął głęboko. Ta radość nic nie znaczyła. Wiedział, że serce jest jak biblioteka pełna zarówno starych, zakurzonych tomów, jak i nowych, pachnących świeżością pozycji. Otrząsnął się; nie wolno mu myśleć o przeszłości. Powinien pamiętać o tym, że dziś Lauren stała się właścicielką jednego z najwspanialszych domów na wyspie. Nie znał jej planów dotyczących Rockland, lecz czuł, że nie należy jej ufać.

Jako przewodniczący rady zamierzał dopilnować, by dom zachował swój pierwotny wygląd. Oczywiście mógł liczyć na pomoc ojca, który zasiadał w komisji przy wydziale gospodarki przestrzennej, oraz na wsparcie Freda Gardinera z Towarzystwa Przyjaciół Harmonii. Miał nadzieję, że razem zdołają powstrzymać Lauren, zanim dokona nieodwracalnych szkód. Może, zniechęcona i zrezygnowana, uzna, że nie warto wkładać w remont Rockland tyle pieniędzy i wysiłku. Może sprzeda dom i zniknie z wyspy, a zatem również i z jego życia. O niczym nie marzył bardziej.

Tak? To dlaczego wyżej nie licytowałeś? W końcu by odpadła. I więcej byś jej nie widział.

Przeczesał ręką włosy, przez moment wpatrywał się w miękki, złocisty piasek. Nie chciałem korzystać z pieniędzy ojca, odpowiedział sam sobie. Wiedział jednak, że się oszukuje.

Po chwili dźwignął się na nogi, odeszła mu jednak ochota na jogging. Był zmęczony. Zresztą, co mu przyjdzie z biegu? Prędzej czy później wróci do punktu, w którym jest teraz. Na tym polegał problem z życiem na wyspie: że człowiek gania w kółko i ciągle natyka się na samego siebie.

Wolnym krokiem ruszył do domu.

## *Rozdział 5*

Lauren ponownie przybyła na Harmony dopiero na początku sierpnia, później niż zamierzała, bo zgodnie ze swymi przewidywaniami miała poważne trudności z otrzymaniem kredytu.

Eksperci bankowi, którzy jeździli na wyspę, by obejrzeć kupiony przez nią dom, byli zgodni: zapłaciła stanowczo za dużo, toteż pożyczka pod zastaw hipoteczny byłaby dla banku niekorzystna. W kilku bankach powiedziano jej, że mogłaby uzyskać pożyczkę, gdyby wykazała, że dom będzie przynosił dochód. Tego jednak nie potrafiła zrobić. Po pierwsze, nie wiedziała, ile można zarobić, prowadząc na Harmony pensjonat, po drugie, nie miała pojęcia, czy matka w ogóle będzie tym zainteresowana. Dość szybko uświadomiła sobie, że nie może ot tak scedować posiadłości na Audrey. Sama musi pozostać właścicielką i wymyślić jakiś sposób na to, żeby przynajmniej nie trzeba było dokładać do interesu.

W końcu kredyt dostała, ale tylko dlatego, że sprzedała - szybko i tanio - trzy domy, które wcześniej odnowiła, a pieniądze ze sprzedaży przeznaczyła na pierwszą ratę za Rockland. Miała nadzieję, że pożyczka bankowa, sporo niższa od tej, o którą początkowo zabiegała, pokryje wszystkie niezbędne koszty. Mimo kłopotów cieszyła się z powrotu na wyspę. Tym razem przywiozła z sobą samochód, komputer, materac z pościelą, sprzęty kuchenne i... zaprzyjaźnionego przedsiębiorcę budowlanego, Joego Giancomo.

Joe miał pięćdziesiąt jeden lat i traktował Lauren jak córkę. Ale ponieważ był rozwiedziony i w dodatku przystojny, zamiast narażać siebie i jego na plotki, wolała wynająć dwa pokoje w „Przystani”, niedużym hotelu przy nabrzeżu.

Z początku, kiedy Lauren poinformowała go o swym nowym nabytku, Joe zaczął marudzić. A to że wyspa leży na drugim końcu świata, a to że nie zna się na starych domach o znaczeniu historycznym. Od tego są specjaliści; on się do nich nie zalicza. Lecz Lauren była nieugięta.

- Co za różnica? Wytyczne Urzędu Konserwatora odnoszą się tylko do architektury zewnętrznej. Nie wolno używać sztucznych tworzyw, plastików i tak

dalej, ani dokonywać zmian w fasadzie domu. Trzeba stosować drewno, starać się zachować dawny wygląd i tyle. Żadna filozofia.

Teraz jednak poczuła, jak jej pewność siebie gwałtownie się kurczy. Było wczesne popołudnie, jaskrawe słońce oświetlało dom od frontu, ukazując każdą najdrobniejszą rysę, pęknięcie czy załamanie. Joe, który stał przy niej, złapał się za głowę i mruknął coś po włosku, co nie zabrzmiało jak komplement.

- Nie przesadzaj, Joe. Chyba nie jest aż tak źle?

Mimo pesymistycznego nastawienia Joe spędził pracowite popołudnie, dokładnie badając i opukując dom. Najpierw od zewnątrz, potem od wewnątrz, strych, piwnicę, hol, każdy pokój. Ku swemu zdumieniu przekonał się, że istotnie wcale nie jest tak źle. Owszem, kanalizacja i instalacje elektryczne były do wymiany, ale Lauren sama już to odkryła. Poza tym uważał, że należy od nowa zaprojektować kuchnię i łazienkę, z czym Lauren też się zgadzała.

- Ale tak ogólnie zwracam ci honor - rzekł po skończonych oględzinach. - Chałupa jest przepiękna.

Lauren potarła ręką ucho.

- Czy ja dobrze słyszałam? Powiedziałeś: przepiękna? Siedzieli w salonie, przy małym drewnianym stole, który znaleźli w piwnicy. Wdzierające się oknem promienie zachodzącego słońca oświetlały pusty karton po pizzie, wielokrotnie czytana książeczkę z wytycznymi rady, kalendarz oraz notes pełen szkiców i rekomendacji Joego.

- Jest to prawdziwe чудо - przyznał z uśmiechem mężczyzna. - Doskonały projekt, świetne wykonanie, solidna konstrukcja. Co nie znaczy, że zdołamy umknąć kłopotów. Po pierwsze, transport materiałów budowlanych będzie drogi. Po drugie, nie wiem, ilu chłopaków z ekipy zechce tu na dłużej przyjechać. Może będę im musiał zaproponować wyższą stawkę, co automatycznie zwiększy twoje wydatki. Do tego dojdzie koszt zakwaterowania...

Lauren jednakże nie zamierzała wpadać w przygnębienie.

- Dokooptujemy wyspiarzy. A twoi pracownicy mogą mieszkać tu na miejscu.

- W tym domu?

- Tak. Widziałeś pokoje na poddaszu, prawda? Możemy je śmiało przeznaczyć na sypialnie dla twojej ekipy.

- No dobrze. A co potem, kiedy zaczniemy prace wewnątrz? Kiedy odetniemy wodę i prąd?

Przygryzła wargi.

- Będziemy używać latarek i przenośnych toalet. Albo nie! Ustawimy w ogrodzie przyczepy i barakowozy.

- W porządku, jakoś to będzie. - Joe uśmiechnął się szeroko. - Najpierw jednak trzeba uzyskać pozwolenie.

- Ja się tym zajmę - obiecała Lauren. - A ty czym prędzej kończ robotę w Wrentham. - Sięgnęła po kalendarz. - Zastanówmy się. Dziś jest wtorek. Żeby moje podanie zostało rozpatrzone na najbliższym posiedzeniu... O rany, to znaczy, że do soboty muszę złożyć papiery. - Podniosła wzrok. - Wystarczą ci trzy dni na przygotowanie planów i listy potrzebnych materiałów budowlanych?

- Będę musiał podzwonić w kilka miejsc, ale powinienem zdążyć.

- Świetnie. Zrobimy też zdjęcia, żeby pokazać, w jakim stanie dom się obecnie znajduje.

- W porządku.

- Może by tak dołączyć rysunki zewnętrznych elewacji?

- Jak chcesz.

- Chcę.

- Słuchaj... - Joe zawahał się. - Nie sądzisz, że warto porozmawiać z członkami rady, zanim złożymy podanie? W tej swojej broszurce zachęcają do konsultacji...

Lauren przypomniała sobie propozycję Camerona, że może z nią przedyskutować kwestię remontu. Nie potraktowała tego poważnie.

- Nie. Wyznaczyliby nam termin najwcześniej za tydzień, a wtedy nie zdążylibyśmy z podaniem na najbliższe posiedzenie. Sprawa przeciągnęłaby się o miesiąc, a nie stać mnie na taką zwłokę. Zanim załatwimy wszystkie pozwolenia, zanim skompletujemy ekipę i dostaniemy materiały, już i tak będzie początek września. Nie, poradzimy sobie bez konsultacji.

- Dobra. - Joe wzruszył ramionami. - No to do roboty.

W piątek po południu Joe podrzucił do ratusza podanie adresowane do rady przy Urzędzie Konserwatora, po czym opuścił wyspę. Próbował namówić Lauren, aby także wyjechała, tłumacząc jej, że do czasu posiedzenia nie ma tu nic do roboty, ale nie chciała go słuchać. Nic do roboty? Dobre sobie!

Musiała choćby przygotować pokoje na poddaszu, żeby nadawały się do zamieszkania, kupić tanie łóżka, zamrażarkę, kilka kuchenek mikrofalowych, i zamówić w hurtowni większą ilość produktów spożywczych. Poza tym chciała dokładnie obejrzeć garaż oraz piwnicę i zastanowić się, czy nie można ich przerobić na mieszkania.

Głównie jednak chciała pobyć sama w Rockland. Wiedziała z doświadczenia, że w ten sposób najlepiej można poznać nowy dom, „poczuć” go. W sobotę rano wymeldowała się z hotelu i wprowadziła na Cliff Road.

Przebrawszy się w koszulkę i szorty, spędziła cały dzień na sprzątaniu. Najpierw zabrała się do kuchni i łazienki na parterze. Te dwa pomieszczenia, przynajmniej w początkowej fazie remontu, będą w stałym użyciu. Postanowiła je doprowadzić do takiego stanu, aby można było z nich korzystać.

Po zjedzonym naprędce drugim śniadaniu przeniosła się na piętro. Obeszła sześć znajdujących się tam sypialni i wybrała dla siebie pokój z oknem wychodzącym na północny wschód. Właściwie nie była pewna, co o tym zdecydowało. Widok na ocean? A może fakt, że akurat w tym pokoju nie czuła zapachu stęchlizny?

Przetarła na mokro szafę i ściany, usuwając wiszące w rogach pajęczyny, wyczyściła pozostawioną przez poprzedników komodę, po czym umyła leżące na podłodze linoleum. Nim się spostrzegła, wszystko było już suche. Wniosła na górę walizki, rozpakowała ubranie, nadmuchała materac i przygotowała pościel. Po chwili sypialnia była gotowa.

Porządkowała „gabinet”, kiedy nagle zaterkotał telefon komórkowy, który nosiła przy pasku.

- Lauren?

- Mama?

Serce podskoczyło jej do gardła. Ale w następnej sekundzie przypomniała sobie, że przecież Audrey nie wie, gdzie ona się podziewa. Z pomocą rodzeństwa i



swych współpracowników przekonała matkę, że w górach Berkshires kupiła niedawno kilka domów, że musi tam spędzić lato i zapewne całą jesień, nadzorując remont. A że miejsce leży na uboczu, z dala od cywilizacji, można się z nią skontaktować jedynie poprzez telefon komórkowy. Była z siebie bardzo dumna; mogła wszędzie podróżować, być w Berkshires, na Harmony lub na księżycu, utrzymywać z matką kontakt i nie wzbudzać jej podejrzeń.

Rozłączyła się po dziesięciu minutach.

- Paskudne ptaszyska! - powiedziała ze śmiechem, spoglądając na trzy szeroko otwarte okna.

Chwilę wcześniej, słysząc skrzek, Audrey spytała, czy w górach są mewy, na co Lauren bez wahania odparła, że tak.

O wpół do szóstej, spocona i zmęczona, przerwała pracę, zrobiła sobie wielką kanapkę z rostbefem, otworzyła puszkę coli i wyszła przed dom na werandę, by popatrzeć, jak słońce zachodzi nad wzgórzami i dolinami, którymi poprzecinana była wyspa. Przyłapała się na tym, że uśmiecha się od ucha do ucha. Nie było najmniejszego powodu, by sama musiała sprzątać dom, mogła śmiało wynająć kogoś do pomocy, ale cieszyła się, że nie wpadła na ten pomysł.

Ogarnął ją błogi spokój. Kiedy opowiedziała Joemu historię o Isabel i Johnie Grayach, Joe spytał żartem, czy nie boi się tu sama zostać. A nuż w domu naprawdę straszy? Wyśmiała go. Teraz nabrała pewności, że się nie myliła. To był ciepły dom, spokojny, przyjazny. Chociaż nikomu się do tego nie przyznawała, często, kiedy wędrowała po pokojach i korytarzach, szóstym zmysłem potrafiła wyczuć atmosferę danego miejsca. Jeżeli w Rockland mieszkają duchy - w co oczywiście nie wierzyła, bo kto by wierzył w duchy? - są one przyjaźnie nastawione do ludzi.

Wbiegła po schodach do szkoły, zakrywając żakietem głowę przed nadciągającą od strony oceanu mżawką, która sprawiała, że wszystko wkoło miało rozmazane kontury, zupełnie jak na akwareli. Gdy tylko weszła do budynku, w nozdrza uderzył ją znajomy zapach pasty do podłóg, kredy, farb plakatowych i przysmaku wszystkich dzieci - masła orzechowego.

Kiedy indziej, ze względów sentymentalnych, może miałyby ochotę połączyć po korytarzach, zwiedzić dawne kąty, bądź co bądź spędziła tu wiele lat swego życia. Ale



tego wieczoru taka myśl nawet nie powstała jej w głowie. Tego wieczoru rada miała ustosunkować się do jej podania i jedyne, o czym Lauren marzyła, to żeby ze zdenerwowania nie rozboleł jej brzuch.

Dotarła do wschodniego skrzydła i skręciła w korytarz, na którego końcu znajdowały się podwójne drzwi. Według informacji zawartych w liście właśnie tam, w szkolnej stołówce, odbywało się zebranie. Zerknęła w ciemne okno, odruchowo poprawiając włosy. Wyglądała świetnie; była umalowana, ubrana w bawełniane spodnie i żakiet, którego krój podkreślał jej figurę, a kolor idealnie współgrał z cerą. Tyle że nie czuła się świetnie; mięśnie miała spięte, usta nerwowo zaciśnięte.

Próbowała dodać sobie otuchy. Do podania nikt nie może się przyczepić. Z pomocą Joego przygotowała doskonały projekt. Poza tym ma wieloletnie doświadczenie; kilka razy w roku wyklóca się z członkami różnych komisji, rozmawia z inspektorami od spraw budowy, przekonuje urzędników. Zna się na swojej pracy.

Ale dziś było inaczej. Dziś miała zmierzyć się z członkami rady przy Urzędzie Konserwatora, której przewodniczył Cameron.

Minęły prawie dwa tygodnie, odkąd wróciła na wyspę, lecz w tym czasie ani razu nie zamieniła z nim słowa. Parokrotnie widzieli się na ulicy, każde siedziało za kierownicą swojego samochodu, ale nawet nie skinęli sobie głową na powitanie. Na targu i w drogerii też udawali, że się nie znają. Bardzo to Lauren odpowiadało, tyle że nie wróżyło nic dobrego.

Zdziwiła się na widok tłoku w stołówce. W powietrzu unosił się jednostajny szmer rozmów. Usiadłszy przy podłużnym stole, wyjęła z torebki kopię swego podania. Przy identycznym stole na niewielkim podwyższeniu siedziało siedmiu członków rady pogrążonych w dyskusji. Z tych siedmiu osób znała trzy: Beatrice Landry, która uczyła ją w ósmej klasie i z którą wiązały ją niezbyt miłe wspomnienia; Millie, nazwiska nie pamiętała, która prowadziła kwaciarnię; no i oczywiście Camerona. Siedział pośrodku, ubrany w spodnie koloru khaki i beżową koszulkę polo, i zagryzając w zębach ołówek, przerzucał papiery.

Korzystając z tego, że jest zajęty, Lauren przyglądała mu się z jawną ciekawością. Często dumiała nad tym, co takiego w nim widziała, kiedy miał czternaście lat. Teraz zrozumiała: widziała w nim zapowiedź faceta, na jakiego wyrósł.

Miał w sobie wszystko to, czego szukała w mężczyznach, a czego na ogół nie znajdowała. Zwykle było tak, że któryś miał odpowiednią budowę, ale nieodpowiednie oczy. Albo odpowiednie oczy, ale nieodpowiednie włosy. Cameron natomiast idealnie pasował do wizerunku, jaki sobie stworzyła. Zastanawiała się dlaczego. Czy była to sprawa jej predyspozycji psychicznych, czy raczej wpływu, jaki wywarł na nią ich dawny związek? Równie dobrze mogłaby zadać sobie pytanie: co było pierwsze, jajko czy kura?

Nagle Cameron podniósł głowę i powiódł wzrokiem po zebranych. Lauren czekała z napięciem. Po chwili ich spojrzenia się spotkały - i Lauren nie miała siły odwrócić oczu.

Po pewnym czasie kobieta siedząca koło Camerona pochyliła się i coś do niego szepnęła. Cameron obrócił głowę. W tym momencie Lauren poczuła się tak, jakby spuszczone ją z uwięzi. Zasłoniwszy ręką twarz, zbeształa się w duchu. Co innego dojść do wniosku, skądinąd słusznego, że Cameron to atrakcyjny mężczyzna, co innego zaś w tak jednoznaczny sposób reagować na jego widok. Wygląd o niczym nie świadczy. Powinna o tym pamiętać.

Kilka minut po siódmej Cameron otworzył posiedzenie. Na pierwszy ogień poszedł wniosek Komisji Rozwoju Miasta, by zbudować na wyspie nowy dwupiętrowy kompleks handlowo-mieszkaniowy. Było to już trzecie spotkanie członków komisji z przedstawicielami Urzędu Konserwatora.

Lauren zakładała, że w skład rady będzie wchodziła grupa ludzi na niczym się nie znających. Pomyliła się. Spośród czterech członków, których nie знаła, było dwóch architektów, jeden przedsiębiorca budowlany i jeden prawnik.

Najbardziej jednak zdumiał ją Cameron - był kompetentny, mądry, dorosły. Z drugiej strony, jaki miał być? Nic dziwnego, że przez tych piętnaście lat dorósł i zmądrzał. Jedyne w jej wspomnieniach pozostał śmiesznym, sympatycznym nastolatkiem.

Przysłuchując się coraz bardziej zafartej dyskusji, Lauren zorientowała się, że członkowie rady nadal mają mnóstwo zastrzeżeń do przedstawionych im projektów. Najostrzej sprzeciwiał się starszy z dwóch architektów. Cameron, który zachowywał spokój i rozwagę, starał się utemperować emocje dyskutantów. Nagle Lauren

uzmysłowiła sobie, że już jako chłopak był taki: opanowany, rozsądny, budzący zaufanie.

Właśnie na te cechy zwróciła uwagę tego dnia, gdy powiedziała mu, że jest w ciąży. Odruchowo skierowała spojrzenie tam, gdzie stała przed piętnastoma laty, nerwowo miętosząc w dłoni banknot...

Czując, jak się rumieni, zerknęła spod oka na Camerona, zastanawiając się, czy on też pamięta rozmowę, jaką odbyli w szkolnej stołówce. Był jednak całkowicie pochłonięty sprawami bieżącymi; przeszłość nie miała dla niego znaczenia. Postanowiła wziąć z niego przykład i również skupić na tym, co się dzieje na sali, lecz po chwili znów zalała ją fala wspomnień. Przypomniała sobie, jak po próbie chóru wracali do domów, chłopcy jedną stroną szosy, dziewczynki drugą; śmiali się, rzucali w siebie śnieżkami, popychali się w zaspę. Cóż to były za niewinne czasy! Dopiero budziła się w nich świadomość płci - wyczuwali, że wkrótce wszystko się zmieni, ale jeszcze niewiele rozumieli.

Poza nimi dwojgiem. Leżeli w śniegu, ona z rękami nad głową, przygnieciona jego ciężarem, on wypuszczając z ust kłęby pary. Nagle, nie zwracając uwagi na toczącą się wokół bitwę na śnieżki, wstali z ziemi, otrzepali się nawzajem i ruszyli przed siebie, trzymając się za ręce.

Wyrwała się z zadumy, przerażona tym, że się tak błogo uśmiecha, a jeszcze bardziej tym, że Cameron ją obserwuje. Speszona, wyszła na moment na korytarz, żeby napić się wody. Kiedy wróciła na miejsce, sprawa kompleksu handlowo-mieszkaniowego widocznie została załatwiona, bo członkowie Komisji Rozwoju Miasta właśnie opuszczali salę; tłum przerzedził się o połowę.

- Następny punkt obrad: podanie złożone przez państwa Andersonów.

Lauren siedziała, cierpliwie się wszystkiemu przysłuchując. Urząd Konserwatora decydował o najróżniejszych aspektach życia na wyspie: o tym, czy w danym miejscu można przybić tabliczkę informacyjną i o tym, czy nowo stawiany dom spełnia odpowiednie wymogi. Najbardziej zdumiewał Lauren fakt, że wpływ na decyzję rady często miawały argumenty z pozoru bardzo błahe. Na przykład, jeżeli budowa mogła zasłonić ładny widok, petent nie dostawał zgody.

Podanie Lauren rozpatrzono niemal na samym końcu. Podejrzewała, że Cameron specjalnie ustalił taką kolejność, by jak najdłużej musiała się denerwować. I faktycznie, nerwy miała napięte jak postronki.

- Lauren... - Dzieliło ich pięć pustych stołów. - Bądź tak miła i przesiądź się bliżej, żebyśmy nie musieli do siebie krzyczeć.

Zachowywał się uprzejmie, lecz mu nie dowierzała. Pamiętała, z kim ma do czynienia - z mężczyzną, który przegrał z nią licytację o dom i który przed laty bardzo boleśnie ją zranił. Postanowiła nie spuszczać gardy; owszem, też będzie uprzejma, ale jeżeli on uczyni najmniejszą aluzję do tematów osobistych lub w jakikolwiek inny sposób postąpi nie fair, wówczas ona natychmiast przystąpi do ataku.

- Mili moi - rzekł, zwracając się do członków rady - jak wiecie, sam chciałem kupić dom, który przypadł w udziale pannie DeStefano. W tej sytuacji, żeby nie być posądzonym o brak obiektywizmu, pragnę się wycofać i prosić Beatrice, naszą wiceprzewodniczącą, o poprowadzenie tej części posiedzenia.

Powiedziawszy to, wstał od stołu, zszedł z podium i usiadł na parapecie, pozwalając Beatrice Landry, ich dawnej nauczycielce, przewodniczyć dalszej części spotkania.

Lauren dosłownie zamurowało. Tego się nie spodziewała. A więc Cameron nie będzie jej zadawał żadnych pytań, nie będzie jej złościł, obrażał, nie będzie odrzucał jej próśb i propozycji? Profesjonalizm wziął górę?

Patrząc jednak na członków rady, uświadomiła sobie, że oni stoczą za niego tę walkę. To byli jego znajomi, sąsiedzi, przyjaciele. I wszyscy mieli zawzięte miny.

## Rozdział 6

- Witaj, Lauren - powiedziała neutralnym tonem pani Landry. - Miło cię zobaczyć po tylu latach. Kupiłeś wyjątkowo piękny dom. Wszystkim nam zależy, żeby został należycie odrestaurowany.

Kilku członków rady wierciło się nerwowo, raz po raz zerkając niepewnie na Camerona. Przypuszczalnie chcieli zachować się wobec niego lojalnie, a jednocześnie jak najlepiej wykonać powierzone im zadanie.

- Mnie również na tym zależy - oznajmiła Lauren i zanim ktokolwiek zdążył spytać, co konkretnie zamierza zrobić, dodała: - Jak napisałam w podaniu, chciałabym odnowić elewację, niczego jednak nie planuję dobudowywać ani usuwać...

Pani Landry uniosła rękę.

- Wiemy, kochanie; czytaliśmy twoje podanie. Ale jeśli pozwolisz, mamy kilka pytań.

- Oczywiście.

- Zacznijmy od jednego z większych problemów. Jednego z większych...?

Najwyższym wysiłkiem woli

Lauren zachowała spokój i uśmiech na twarzy.

- Od dachu. - Rozległ się szelest kartek; wszyscy przy stole odszukali właściwą stronę. Po chwili nauczycielka ciągnęła dalej: - Widzę, że zamierzasz pokryć go dachówką bitumiczną?

- Tak. W ładnym, ciemnoszarym kolorze. Zamieściłam wszystkie niezbędne informacje, które podał mi mój przedsiębiorca budowlany. Producent daje czterdziestoletnią gwarancję.

Sama stanowczo nalegała, żeby Joe wybierał materiały najwyższej jakości.

- No tak, ale obecny dach jest łupkowy.

Więc o to chodzi? Lauren pokręciła z uśmiechem głową.

- Z odległości może się tak wydawać, ale to nieprawda. Dach częściowo pokrywają łupki, częściowo płytki cementowe, z czego większą powierzchnię zajmują te drugie... Państwo chcą, żebym pokryła dach łupkami?

Chyba żartują, pomyślała. Ale pani Landry popatrzyła na nią przez okulary w różowych ramkach i skinęła głową.

- Jak najbardziej, kochanie. Skoro pierwotnie użyto łupków i skoro nadal pokrywają znaczną część dachu, uważamy, że są najbardziej odpowiednie.

- Przecież na całej wyspie nie ma ani jednego domu z łupkowym dachem! - sprzeciwiła się Lauren.

- Naszym celem wcale nie jest to, żeby wszystkie domy w miasteczku wyglądały identycznie - oznajmiła wiceprzewodnicząca.

Lauren zwilżyła wargi. Boże. Łupki. Pochłonie to mnóstwo czasu i pieniędzy. Kątem oka zerknęła na Camerona. Pewnie sądził, że siedzi z obojętnym wyrazem twarzy, ale ona dojrzała w jego spojrzeniu złośliwą satysfakcję.

- Doskonale - rzekła. Duma nie pozwoliła się jej wyklócać ani błagać o zmiłowanie. - Pokryję dach łupkami. Czy wystarczy państwu moje słowo, czy mam dostarczyć nową listę materiałów?

- Bardzo byśmy o nią prosili. Także o próbki starej i nowej dachówki. Teraz przejdźmy do następnego punktu. - Beatrice Landry przewróciła stronę. - Okna. Jeśli dobrze rozumiem, chcesz je wymienić?

- Tak. Są w opłakanym stanie. Niektóre w ogóle się nie otwierają, inne ledwo się trzymają; skrzypią i brzęczą przy najmniejszym podmuchu wiatru.

- Takim problemom łatwo zaradzić - rzekł zasiadający w radzie przedsiębiorca budowlany. - Zresztą zawsze lepiej zachować pierwotne elemen...

- Nowe szczelne okna pozwoliłyby mi zaoszczędzić na ogrzewaniu.

- To prawda. Należy jednak pamiętać, że domy budowane w tamtym czasie często miały wewnętrzne okiennice, które w razie chłódów czy burzy można było zamknąć. Świetnie zdawały egzamin.

Członkowie rady pokiwali głowami.

Lauren starała się zachować spokój. Wnętrze domu nie podlegało kompetencjom rady. Wahala się, czy zwrócić na to uwagę, a tym samym wzbudzić do siebie jeszcze większą niechęć, czy pokornie przystać na wszystkie propozycje.

- Porozmawiam o tym z moim generalnym wykonawcą.

- Dobrze. - Pani Landry zdjęła okulary i potarła oczy. - Przejdźmy dalej. Jeśli chodzi o werandę...

- Jak widać ze zdjęć, jest dość zniszczona, kolumny są popękane, a podłoga...

- Nam chodzi o dekoracyjny gzyms podsufitowy. Nie widzę tego w przedstawionych nam planach.

Lauren powoli traciła cierpliwość.

- Gdybyście państwo zechcieli spojrzeć na rysunek na stronie szóstej...

- Jest zbyt schematyczny. Wolelibyśmy widzieć powiększenia niektórych elementów. Gdyby można prosić...

- Nie ma sprawy. Dostarczę powiększenie.

- Przepraszam, Beatrice... - rzekł Charles Gordon, starszy z dwóch architektów.

- Chciałbym na moment wrócić do okien. Panno DeStefano, co znaczą te wielkie drzwi balkonowe?

- Przedsiębiorca budowlany, którego zatrudniam... informacje o nim podałam na stronie drugiej... wszystko dokładnie sprawdził. Ręczę panu, że konstrukcja wytrzyma. Nic się nie zawali.

- Nie w tym rzecz.

- Są całkowicie niewidoczne od frontu, a oferują wspaniały widok na morze.

Gordon pokręcił głową.

- Nie pasują do reszty domu.

Lauren była przeciwnego zdania, ale widząc, że pozostali przyznają architektowi rację, machnęła ręką na drzwi.

- W porządku. Nie muszę mieć wspaniałych widoków. Jeśli zaś chodzi o...

Przynajmniej do paru następnych punktów rada nie miała zastrzeżeń. Lauren wyjaśniła, że chciałyby pomalować dom na kolor jasnopopielaty, a okiennice na czarno.

Zasiadająca w radzie właścicielka kwaciarni spytała:

- A jaki był oryginalny kolor ścian?

- Nie mam pojęcia - przyznała Lauren. - Wydaje mi się jednak, że moja propozycja nie powinna budzić niechęci.

- Czy wolno spytać, co pani zamierza zrobić z oranżerią? - zainteresował się architekt.

- Przepraszam, nie bardzo rozumiem...

Wszyscy członkowie wymienili między sobą porozumiewawcze spojrzenia.

- Została dobudowana w latach pięćdziesiątych. Moim zdaniem, to pomyłka architektoniczna, którą należałoby usunąć. Ale w pani podaniu nie widzę słowa na ten temat.

- Na temat usunięcia oranżerii? Nie przyszło mi do głowy...

Siwowłosey architekt gotów był ciągnąć dyskusję, ale wiceprzewodnicząca Landry spojrzała na zegarek i oznajmiła:

- Zawsze kończymy o dziesiątej. Jest już kwadrans po. Faktycznie, zegar na ścianie też wskazywał kwadrans po dziesiątej. Lauren ogarnęło przygnębienie. Nic nie zdołała dziś załatwić. Ani jednej rzeczy.

- Sądzę, Lauren, że będziemy mieli jeszcze wiele okazji do rozmów. - Pani Landry uśmiechnęła się serdecznie. - Wpiszę cię na nasze kolejne spotkanie, które odbędzie się za miesiąc. Może dojdziemy wówczas do bardziej twórczych wniosków. A na razie podam ci parę przydatnych adresów.

Na odwrocie podania zaczęła zapisywać nazwiska: przewodniczącego Towarzystwa Przyjaciół Harmonii, dyrektora Muzeum Historycznego, różnych ludzi, którzy niedawno przeprowadzali remonty. Inni członkowie rady też dorzucili kilka nazwisk, a to malarzy, a to stolarzy, a to autorów książek, które powinna przeczytać. Im gorliwiej oferowali swą pomoc, tym gorszy miała humor. Wyczuwała w ich głosach wyższość. Traktowali ją jak wiejskiego przygłupa, któremu trzeba wskazać drogę, bo inaczej sam zabłądzi.

- Dziękuję. - Schowała podanie do torebki. Miała nadzieję, że rumieniec złości nie barwi jej twarzy na szkarłatny kolor.

- Przykro mi, kochanie, że nie zdążyliśmy dziś rozpatrzeć twojego podania. Dokończymy za miesiąc - obiecała wiceprzewodnicząca. - Masz może jakieś pytania?

- Tak. - Lauren z trudem opanowała drzenie. - Czy jest coś na mojej liście, do czego już mogę przystąpić? Trochę mi się spieszy...

- Tak? Dlaczego?



- Chciałabym zakończyć remont najdalej do połowy listopada. Więc... może chociaż ściany? Trzeba zeszkrobać odłóżącą farbę, oczyścić deski, wymienić kilka najbardziej popękanych, zaszpachlować ubytki...

Pani Landry skierowała wzrok w stronę Camerona. Musieli porozumieć się bez słowa, bo po chwili kobieta skinęła głową.

- Dobrze. Myślę, że możemy na to przystać. Zaraz poddam to pod głosowanie...

Lauren ogarnęła wściekłość. Cameron niby się wycofał, a jednak to on podejmował decyzje. Jakby chcąc potwierdzić swą bezstronność, zeskoczył z parapetu i wyszedł z sali.

Członkowie rady zagłosowali na jej korzyść. Mogła rozpocząć remont.

- Z samego rana przekazemy naszą decyzję Komisji Budowlanej - rzekła pani Landry.

- Dziękuję.

Czując, jak łyzy podchodzą jej do gardła, Lauren chwyciła torebkę i ruszyła do wyjścia. Chciała jak najszybciej wrócić do domu, wylizać się z ran. Energicznym krokiem doszła korytarzem do głównego holu, obiema rękami pchnęła drzwi - i niemal powaliła na ziemię swego dawnego kochanka.

Zachwiał się i osunął dwa stopnie, zanim odzyskał równowagę.

- Dlaczego atakujesz niewinnych ludzi? - spytał żartobliwym tonem.

Najwyraźniej porażka, jaką przed chwilą poniosła, wprawiła go w doskonały nastrój. Żałował, że nie widzi wyrazu twarzy Lauren, ale stała tyłem do światła. Ona natomiast widziała jego radosną minę. Nawet nie próbował ukryć zadowolenia. Och, jakże słodka bywa zemsta.

- No i co, Lauren? Jak wrażenia?

- Jakbyś nie wiedział - burknęła. Wzruszył ramionami.

- Nie wiem. Opuściłem wcześniej salę.

- Nie wygłupiaj się.

Zeszła po schodach, patrząc na niego z zimną pogardą. Kiedy próbowała go minąć, zastąpił jej drogę. Dopiero wtedy dojrzał łyzy zwisające jej z rzęs. Zdał sobie sprawę, że złośliwymi docinkami usiłuje wbić igłę w balon, z którego już dawno uszło

powietrze. Do diabła. Chciał w Lauren widzieć wroga, bezwzględną rywalkę, a nie kruchą, wrażliwą kobietę.

- Co ci jest? - spytał już poważniej.

- Nic. A co ma być? - Pociągnęła nosem, po czym przygryzła wargi. Broda jej drżała. - Wszystko potoczyło się zgodnie z twoim planem, prawda?

Zmarszczył czoło.

- Co masz na myśli?

- Nie udawaj niewiniątka, Cam. Trochę mi to wszystko brzydko pachnie.

Jej ostry, oskarżycielski ton sprawił, że znikła ta odrobina współczucia, jakie zaczął dla niej żywić.

- Hej, chwileczkę! Jeżeli implikujesz to, co myślę, to się grubo mylisz. Na nikogo nie naciskałem.

- Tak? To dlaczego stawiano mi tyle przeszkód?

Miał ochotę spuścić wzrok, ale byłaby to oznaka tchórzostwa. A przeszkody faktycznie jej stawiano. Członkowie rady jednogłośnie opowiedzieli się po jego stronie, chociaż naprawdę nikogo o nic nie prosił.

- Nie wywierałem żadnych nacisków. Wierz mi, to nie leży w mojej naturze.

Zacisnęła usta.

- I nie sugerowałeś im, co mają mówić?

- Świadomie na pewno nie. Owszem, rozmawialiśmy, ale nie analizowaliśmy punkt po punkcie twojego podania.

W trakcie jednej z rozmów istotnie wspomniał o łupkowym dachu i dobudowanej w latach pięćdziesiątych oranżerii, lecz nie miał złych zamiarów. Po prostu podzielił się informacjami, jakie posiadał.

- Czy... - Nagle zafrasował się. - Czy po moim wyjściu zagłosowali przeciwko tobie? Nie wyrazili zgody się na twoją prośbę?

- Zgodzili się.

- No więc?

- No więc powinni byli zgodzić się na całość. W moim podaniu naprawdę nie ma się do czego przyczepić.

- Nie byłoby, gdyby chodziło o zwykły dom. Ale twój jest wyjątkowy; ma znaczenie historyczne.

- I tym będziecie tłumaczyć wszystkie odmowne decyzje? Wyjątkowością mojego domu?

- Oczywiście.

Pokręciła z niedowierzaniem głową, po czym wybuchnęła śmiechem.

- To absurd. Zamierzacie mi stawiać jakieś bezsensowne, wygórowane żądania. Podejrzewam, że to jest niezgodne z prawem. Muszę zasięgnąć rady prawnika.

Cameron wzruszył obojętnie ramionami.

- Co konkretnie ci się nie podoba?

- Wiele rzeczy. Na przykład dach. Dlaczego upieracie się przy łupkowym? Ciemne bitumiczne płytki wyglądałyby równie ładnie i równie dobrze spełniały swoją funkcję.

- Tak, ale to nie to samo.

- Chcecie mnie zmusić, żebym odtworzyła pierwotny wzór.

- Ja bym tak zrobił.

- Ty! Ty! - Jej oczy ciskały iskry. - Czy wiesz, jak drogi jest dach łupkowy? Idiotka! Oczywiście, że wiesz! O to właśnie chodzi, prawda? Jeżeli za remont będę musiała zapłacić fortunę, to może się poddam? Otóż mylisz się! - Uniosła wyżej głowę. - Tak łatwo się mnie stąd nie pozbędziesz, Cameronie!

Zawsze podziwiał jej upór i siłę. Miał chęć się uśmiechnąć, ale w sytuacji, gdy Lauren zarzucała mu nieuczciwość i stronniczość, byłoby to całkiem nie na miejscu. Tak jak całkiem nie na miejscu były marzenia, które snuł podczas posiedzenia rady. Kilka razy przyłapał się na tym, że jest nieobecny myślami. Wszystko przez szkołę, z którą wiązało się tyle wspomnień. Gdyby zebranie odbywało się gdzie indziej, siedziałby skupiony...

- Członkowie rady kierują się ściśle określonymi zasadami, a nie chęcią zemsty - oznajmił, stając w ich obronie. - Nie powinnaś wątpić w szlachetność...

- Szlachetność, sprawiedliwość, uczciwość! To puste słowa! To...

- Uspokój się, Lauren - przerwał jej. - Policz do dziesięciu, a potem spróbuj zdobyć się na obiektywizm.

- Na obiektywizm? Obiektywnie widzę, że potraktowano mnie jak intruza, który...

- Potraktowano cię tak, jak na to zasłużyłaś. Oferowałem ci pomoc, odmówiłaś. Mogłaś porozmawiać z innymi członkami rady, nie chciałaś. Prędzej byś umarła, niż przyznała, że czegoś nie wiesz.

Wyprostowała ramiona.

- Nie możesz mi zarzucić braku przygotowania...

- Ani braku arogancji. Nawet teraz nie potrafisz pogodzić się z niepowodzeniem. Jeśli chcesz znać moje zdanie, rada potraktowała cię wyjątkowo łagodnie.

Rozwścieczona, przeklęła pod nosem, po czym spytała:

- Dlaczego tak mówisz? Moje podanie...

- Było nie dopracowane.

- Co takiego?

- Słyszałaś. Nie przedstawiłaś żadnego dowodu na to, że znasz historię Rockland, że ona cię interesuje. Nie zasługujesz na tak wspaniały dom, Lauren. To tak, jakby mieszkającemu pod mostem pijaczynie podarować dwunastoletnią whisky. Facet jej nie doceni.

Wciągnęła z sykiem powietrze.

- Jakim prawem... Boże, ale z ciebie zarozumiały sukinsyn!

- Nie, Lauren. To ty zadzierasz nosa. I ludzie to widzą.

Nie potrafił zrozumieć, dlaczego akurat te słowa tak bardzo ją ubodły. Przez kilka długich sekund wpatrywała się w niego z wrogością, po czym, nie mogąc powstrzymać drżenia brody, odparła:

- Może mam powody. A jeżeli nie pamiętasz jakie... Świadomość tego, co ich kiedyś łączyło, oraz plotek, które krążyły na ich temat, wypełniła powietrze. Unosiła się na słonym od morskiej wody wietrze, kapiała z wilgotnych liści, dryfowała na falach. Cameron zmrużył oczy, jakby usiłował dojrzeć coś na końcu ciemnej ulicy, Lauren wbiła wzrok w rabatę kwiatów.

Miała ochotę dać upust złości, czuła się bowiem skrzywdzona i upokorzona, lecz nagle miejsce złości zajęło znużenie. Kiedyś byli sobie tak bliscy, ona i Cameron;

od tamtego czasu minęło piętnaście lat, ale ból pozostał. Przeszłość zatruwała teraźniejszość. Gdyby można było temu jakoś zaradzić... Ale jak? Jak przebić się przez pokłady goryczy, zapomnieć dawne konflikty, niesnaski rodzinne?

Popatrzyła niepewnie na Camerona. Ich spojrzenia się spotkały. Podobnie jak ona, on też pragnął dać upust złości. Psiakość, nie miała prawa kupować Rockland. Zrobiła to wyłącznie z zemsty. Raptem poczuł, jak złość zanika, a jej miejsce zajmują wyrzuty sumienia. Bo co tu dużo mówić, Lauren sama nie zaszła w ciążę. Dla piętnastoletniej dziewczyny musiało to być koszmarnie przeżycie. Często myślał o tym, że należą się jej od niego przeprosiny - za ból, za strach, za cierpienie. Nie wiedział jednak, co powiedzieć, zwłaszcza po dzisiejszym posiedzeniu.

W tym momencie drzwi się otworzyły; ze szkoły wyszedł młodszy z dwóch architektów i właścicielka kwaciarni.

- Dobranoc - powiedzieli.

Lauren z Camem mruknęli coś w odpowiedzi. Po chwili wyłonił się Charles Gordon, który skinął im na pożegnanie, a Cameron westchnął.

- Powinienem chyba wrócić, poustawić krzesła i stoły... Lauren przewiesiła torebkę przez ramię.

- Słusznie. Tym bardziej że ta rozmowa do niczego nie prowadzi.

- To prawda.

Wolnym krokiem ruszył po schodach, czując potworny ucisk w piersi. Był na trzecim schodku, kiedy nagle Lauren zawołała:

- Cam?

- Tak? - Odwrócił się.

- Powiedziałeś, że zadzieram nosa i że ludzie to widzą. Czy ktoś coś mówił na mój temat?

- Parę osób narzekało, że jesteś strasznie tajemnicza. Zżera ich ciekawość, co zamierzasz zrobić z domem, jakie masz plany, no i w ogóle.

- Aha.

Czekał, ale nic więcej nie powiedziała.

- Dobranoc, Lauren. Przykro mi, że dzisiejsze zebranie poszło nie po twojej myśli.

Skinęła głową i zasznurowawszy usta, skierowała się pośpiesznie do samochodu.

Nazajutrz rano zadzwoniła do Joego i zdała mu relację. Joe wpadł w taką furję, że musiała odsunąć słuchawkę od ucha, żeby nie ogłuchnąć. Kiedy jednak ochłonął, przyznał, że spodziewał się kłopotów.

- Przykro mi, kochanie. Potrzebujesz raczej konserwatora, a nie zwykłego budowlańca.

- To nie chodzi o ciebie, Joe. - Wcześniej nie mówiła Joemu o Cameronie, bo nie widziała takiej potrzeby, ale teraz, słysząc, jak bierze na siebie winę za jej niepowodzenia, uznała, że należy mu się wyjaśnienie. - Chodzi o mnie.

Przewodniczącym rady jest ten sam facet, którego pokonałam podczas licytacji.

- Oho! No to mamy kłopoty.

- Nie przejmuj się. Poradzę sobie.

Oczywiście o Cameronie mogłaby mu jeszcze wiele opowiedzieć, ale doszła do wniosku, że tyle starczy.

- Chcesz coś na poprawienie humoru?

- Masz dla mnie dobrą wiadomość?

- Tak. Prawie skończyłem z remontem kuchni w Wrentham, co znaczy, że od przyszłego weekendu jestem wyłącznie do twojej dyspozycji.

- Cudownie. Nie zapomnij przywieźć paru pomocników. Mogą zacząć od ścian. Będzie spora pracy przy czyszczeniu drewnianych powierzchni, wymianie starych desek i tak dalej. Aha, i jeśli możesz, przywieź Briana Kinga.

King był młodym architektem, z którym często współpracowali.

- W porządku. Mam już przygotowany jego numer. A także hydraulika i elektryka. A ty skontaktuj się z ludźmi, których polecili ci członkowie rady.

Lauren westchnęła.

- Może masz rację.

- Nie może, tylko na pewno. Inaczej twoje kłopoty nigdy się nie skończą.

Po odłożeniu słuchawki naląła sobie trzeci kubek kawy i usiadła na werandzie za domem. Spoglądając na ocean, cała gotowała się w środku. Nienawidziła takich sytuacji. Mogłaby tak pięknie odrestaurować dom! Po swojemu, ale gustownie. W

stylu epoki, bez nowoczesnych uduziwnień. Może trochę inaczej, niżby to zrobił Cameron, ale... Tylko traci przez niego czas na jakieś pozwolenia, konsultacje, zgody. Niestety, on tu dyryguje ruchem, więc musi skręcać tam, gdzie jej kazał.

Wpatrując się w hipnotyczny połysk delikatnie migoczącej wody, uświadomiła sobie pewną rzecz, która od wczoraj nie dawała jej spokoju. Otóż na wczorajszym posiedzeniu chciała wypaść jak najlepiej, co było naturalne i zrozumiałe, tyle że nie chodziło jej o wrażenie, jakie wywrze na członkach rady, ale o wrażenie, jakie wywrze na Cameronie. Pragnęła mu zaimponować.

Chyba oszalałaś! - zganiła się w duchu. Co innego przed laty, kiedy byli parą zakochanych nastolatków, a co innego teraz! Tamte czasy minęły bezpowrotnie. Wiedziała, że powinna zapomnieć o przeszłości. Wtedy się kochali, gotowi byli skoczyć za sobą w ogień, a teraz Cameron chciał, żeby jej się nie powiodło. I zamierzał uczynić wszystko, aby jego marzenie się spełniło. Powzięła decyzję: będzie walczyć - i wygra. Wstała, przechyliła kubek nad balustradą otaczającą werandę, wylała kawę na trawnik, po czym weszła do domu, chwyciła torebkę i ruszyła do Muzeum Historycznego.

Ostatni raz zwiedzała muzeum, kiedy była małą dziewczynką. Od tego czasu zbiory bardzo się rozrosły, ale i tak rozpoznała wiele znajomych ekspozycji. Minęła „Wiek odkrywców”, na moment zatrzymała się przy dioramie przedstawiającej wioskę Indian z plemienia Wampanoag, następnie obejrzała artykuły gospodarstwa domowego z osiemnastego i dziewiętnastego wieku. Krążąc pomiędzy turystami, wędrowała od sali do sali w poszukiwaniu czegoś, co miałoby jakikolwiek związek z Rockland lub architekturą neoklasycystyczną. Nie znalazła nic.

W gabinecie na zapleczu zastała dyrektora muzeum. Był to mężczyzna w średnim wieku, w czerwonej muszce i okularach w cienkich, prawie niewidocznych ramkach, który pełnił funkcję dyrektora również wtedy, gdy ona chodziła na wyspie do szkoły. Skojarzyła sobie, że podczas licytacji kibicował Cameronowi.

Miała ochotę odwrócić się na pięcie i odejść, bo jak tu prosić o pomoc człowieka, który przyjaźni się z Camem? Ale po chwili się opamiętała. Z powodu Cama i postanowień rady musiała działać szybko. Chowając dumę do kieszeni, zapukała do drzwi.

- Dzień dobry. Pan Cote, prawda?

Stał pochylony nad kartonem pełnym starych ksiąg; ręce i koszulę miał brudne od kurzu. Na dźwięk kobiecego głosu podniósł głowę, kiedy jednak rozpoznał osobę czekającą w drzwiach, jego uśmiech powoli się rozplynął.

- Czym mogę pani służyć?

- Szukam informacji na temat domu, który niedawno kupiłam. Poradzono mi, żebym wybrała się do pana.

Wyprostowawszy się, mężczyzna otrzepał z kurzu dłonie.

- Chodzi pani o Rockland?

Podobało jej się, że przechodzi wprost do meritum.

- Tak. Interesuje mnie wszystko, co mogłoby mi przybliżyć pierwotny obraz domu. Zdjęcia, rysunki, opisy, jakieś wzmianki...

- Dotyczące samej tylko elewacji?

- Na razie tak - odparła. Boże, czy ci ludzie powariowali? Czy oczekują, że dokona również wiernej rekonstrukcji wnętrza? - Czy mogłabym poszperać w tutejszym archiwum?

- Kiedy indziej uznałbym to za doskonały pomysł, gdyż nasze archiwum faktycznie zawiera mnóstwo cennych informacji, ale jest mały problem. Większość ksiąg została wypożyczona...

- O psiakość. A kiedy się pan spodziewa zwrotu?

- Trudno powiedzieć.

Miała wrażenie, że unika jej wzroku.

- A kto je wypożyczył? Ktoś miejscowy? Może mogłabym się z nim skontaktować i jakoś dogadać?

W ciągu dosłownie paru minut dyrektor nabawił się z pół tuzina tików.

- Jest to jakieś rozwiązanie - przyznał, mrugając nerwowo. - Ale miejscowa biblioteka również posiada doskonały księgozbiór. Może...

- Przedstawiciele Urzędu Konserwatora polecili mi parę tytułów.

- Tak? Naprawdę?

- Mimo to wolałabym przejrzeć tutejsze archiwalia. Sądzę, że w nich prędzej znajdę potrzebne mi informacje.



- Jak pani sobie życzy. - Dyrektor wyjął z kartonu kilka tomów i położył je na biurku. - Osoba, która wypożyczyła nasze książki, jest Cameron Hathaway. Podobno państwo się znają...

- Owszem - odparła, starając się niczego po sobie nie okazać. Przez chwilę czekała, aż Cote się odezwie, ale on zajmował się wyjętymi z kartonu tomami i wyraźnie nie zamierzał ciągnąć rozmowy. - Dziękuję - rzekła. - Bardzo mi pan pomógł.

Prosto z muzeum pojechała z wizytą do Nancy Otis, czterdziestokilkuletniej kobiety, która wraz z mężem odrestaurowała, a właściwie niemal zbudowała od nowa dom liczący ponad dwieście lat. Kobieta z przyjemnością oprowadziła Lauren po swoim królestwie.

Po pięciu minutach Lauren wiedziała, że popełniła błąd. Nie powinna była tu przyjeżdżać. Nancy Otis była zagorzałą purystką, a jej dom stanowił arcydzieło sztuki konserwatorskiej. Tyle że jej, Lauren, problem polegał na czymś całkiem innym.

- To jak długo trwał remont? - spytała, kiedy siedziały w staromodnie urządzonej kuchni, popijając herbatę.

- Osiem lat. A jeszcze nie skończyliśmy.

- Osiem lat?! Boże! A skąd wiedzieliście, jak zrekonstruować wnętrze?

- Szperaliśmy, pytaliśmy, czytaliśmy, i tak pomału zebraliśmy konieczne informacje. Niezwykle pomocni okazali się ludzie z rady. Ale najwięcej zawdzięczamy Cameronowi Hathawayowi. Zna go pani?

Lauren skinęła w milczeniu głową.

- Otóż pan Hathaway pożyczył nam stare dokumenty, które leżały u niego na strychu. A ściślej, w domu jego rodziców. Ich dom to istny skarbiec miejscowej historii. Wprawdzie książki i dokumenty nie dotyczyły bezpośrednio architektury i budownictwa, ale pozwoliły nam zrozumieć, jak ludzie żyli przed dwustu laty. Dzięki lekturze czujemy więź z naszymi poprzednikami, z dawnymi właścicielami domu. - Spojrzenie kobiety stało się zamglone, rozmarzone. - Tak, koniecznie powinna pani zadzwonić do Camerona. Na pewno chętnie pani pomoże.

Następnie Lauren udała się do Studia Gardinera, w którym mieściła się również siedziba Towarzystwa Przyjaciół Harmonii. Zaparkowała samochód; akurat zamierzała

wysiąść, kiedy zobaczyła właściciela Studia, a zarazem przewodniczącego towarzystwa, Freda Gardinera, który zęgnął się w drzwiach z jakąś kobietą. Przypomniała sobie, że podobnie jak Cote'a, jego też widziała w grupie osób wspierających Camerona podczas licytacji. Przekreśliła z powrotem kluczyk w stacyjce i odjechała sprzed budynku. Nie chciała nikogo stawiać w niezręcznej sytuacji.

Postanowiła zajrzeć do biblioteki - od niej zresztą powinna była zacząć zbieranie informacji. Zapisła się, dostała legitymację, po czym wypożyczyła tyle pozycji, na ile zezwalał regulamin. Była wśród nich książka autorstwa Camerona zatytułowana „Rekonstrukcja Harmony”. Lauren długo się przy niej wahała, ale rzecz wydała się jej ciekawa; wprawdzie nie było w indeksie hasła „Rockland”, lecz książka zawierała mnóstwo zdjęć innych domów, opisywała ich historię i architekturę.

Pełna determinacji i zapału wróciła do domu. Cameron nie wierzył, że jej się uda. No to będzie miał niespodziankę! Skoro inni potrafią odnawiać stare domy, zachowując ich dawny styl, nic nie stoi na przeszkodzie, aby i ona się tego nauczyła. A remont na pewno nie zajmie jej ośmiu lat.

Wniosła dwie torby książek na górę do swojego pokoju, wyciągnęła się na materacu i przez następne dwa dni czytała non stop. Trzeciego dnia rano, z głową pękającą z bólu i czerwonymi jak królik oczami, pojechała z wizytą do Camerona.

## Rozdział 7

Mieszkał przy wąskiej żwirowej drodze prowadzącej na plażę, w domu podobnym do tysięcy innych domów letniskowych rozsianych po całej Nowej Anglii. Na ganku stała wiklinowa kanapa, a roszące pod ścianą ogromne krzaki róż sięgały niemal do samego dachu.

Lauren siedziała w samochodzie na poboczu drogi i spoglądając na dom swojego dawnego kochanka, całkiem poważnie zastanawiała się, czy nie oszalała. Doszła do wniosku, że nie; po prostu przyparta do muru szuka dla siebie ratunku.

- Wydaje mi się, że przesadzasz. Cameron nie jest takim potworem, za jakiego go masz - oświadczyła Cathryn, która wpadła do niej wczoraj i przywiozła domowej roboty zapiekankę. Najwyraźniej bała się, że Lauren raczej umrze z głodu, niż coś dla siebie ugotuje. - To naprawdę fajny facet.

Uwielbia swoją pracę. Zawsze chętnie służy ludziom radą. Jestem pewna, że tobie też by pomógł, chociażby ze względu na Rockland.

Boże, ależ Cathryn jest naiwna!

Zastała Camerona za domem, na końcu łagodnie opadającego trawnika, gdzie naprawiał kamienny mur. Czarna koszulka i sprane dżinsy opinały ciało, do którego wciąż nie mogła przywyknąć. Był nie ogolony; podobnie jak umięśniona sylwetka, ciemny zarost ocieniający jego policzki i brodę sprawił, że przeszły ją ciarki. Szyję i ramiona miał spalone na brąz i umazane ziemią, czoło i skronie zroszone potem.

Wędrowała przez ogród, kiedy nagle ogarnęły ją wątpliwości, czy słusznie robi. Chodziło jej nie tyle o przysługę, o którą zamierzała go poprosić, choć to też ją dręczyło, lecz o coś całkiem innego. O to, że za każdym razem, gdy go widziała, wydawał się jej coraz bardziej przystojny.

Zerknął na nią przez osuwające się na czoło ciemne kosmyki, po czym wrócił do pracy. Na ziemi, przy jego nogach, leżały narzędzia: łopaty, sekatory, łomy oraz dwie puszki sprayu przeciwko chwastom. Dopiero kiedy Lauren podeszła bliżej i jej cień padł na mur, ponownie podniósł głowę.

- Cześć - powiedziała, trzymając ręce w kieszeniach szortów. - Co robisz?

- A jak myślisz?

Przetarł koszulą twarz. Widok jego twardego, płaskiego brzucha zaparł Lauren dech. Odwróciła wzrok.

- Mniejsza o to... Czy moglibyśmy porozmawiać?

- Może. O czym? - spytał. Skrzyżowała ręce na piersi.

- Jak to o czym? O Rockland.

Zamrugął oczami, udając zaskoczonego.

- Chcesz porozmawiać o swoim nowym domu? Ze mną? Przytupując nerwowo nogą, popatrzyła w stronę niedużego stawu, po którym pływało kilka dzikich kaczek.

- Jesteś w posiadaniu wszystkich potrzebnych mi informacji. Więc twoim zdaniem do kogo powinnam się udać? - Głos uwiązał jej w gardle.

Nagle Cameron ryknął śmiechem, a ona miała ochotę zapaść się pod ziemię. Zapaść pod ziemię lub odwrócić na pięcie i pognać do samochodu.

Wciąż wpatrywała się w kaczki, żalując, że tu przyjechała, kiedy poczuła na plecach lekki dotyk dłoni.

- Wejźmy do środka.

Nie była w stanie wykonać ruchu - nie dlatego, że zaskoczyło ją jego zaproszenie, ale dlatego, że od piętnastu lat ani razu nawet ręki sobie nie podali.

- No, chodź - powiedział cicho, chyba zdając sobie sprawę, jakie to wszystko jest dla niej trudne.

Otrząsnęła się z dziwnego paraliżu, który na moment nią zawładnął, i z Cameronem u boku ruszyła w stronę ganku.

- To twój dom czy go wynajmujesz?

- Mój. Kupiłem go cztery lata temu z myślą, że go pomaluję, wyremontuję i sprzedam, a potem tak mi się tu spodobało, że postanowiłem zostać.

- Miejsce jest wspaniałe.

- To prawda. Ale dom trochę za mały. Weszli do środka kuchennymi drzwiami.

- Wezmę szybko prysznic - oznajmił Cameron, gdy drzwi się za nimi zatrzasnęły. - Rozgość się. Za chwilę wrócę.

Kiedy znikł na górze, odetchnęła z ulgą. Może nie będzie tak źle, jak się obawiała.

Dom był równie skromny wewnątrz, co z zewnątrz. Nieduży, nie zagracony, urządzony prosto i po męsku. Boazeria, belki pod sufitem, regały pełne kamyków, muszli, starych butelek, kompasów, świec, szkieletów rybich. No i książek. Tych były setki.

Na jednej ze ścian wisiało kilka grafik przedstawiających statki żaglowe; pod nimi stały dwa zegary, jeden w kształcie dzwonu, drugi, chyba z ubiegłego wieku, w kształcie banjo. Z okien, nie przysłoniętych żadnymi zasłonami czy żaluzjami, rozciągał się wspaniały widok. Kominiek sprawiał wrażenie często używanego. Na sosnowej komódce, która służyła za stolik, stała duża popielniczka z muszli małża i dzbanek z resztką soku pomarańczowego, obok leżała mapa prądów, magnetofon kasetowy, kasetka z napisem „Wywiady - Skarb kapitana Kidda” oraz nieduży notes.

Lauren przysiadła na skórzanej brązowej kanapie, usiłując powściągnąć ciekawość. Bezskutecznie. Tu, w tym domu, mieszka Cameron. Tu śpi, tu je, tu przyjmuje gości i tu pisze książki. Zapewne tu również się kocha. Cathryn wspomniała, że jego narzeczona mieszka w letnim domku swoich rodziców, ale chyba czasem pomieszkuje u Cama? Lauren rozejrzała się wkoło, szukając śladów kobiecej obecności. Niczego nie znalazła. Była zła na siebie z powodu własnej radości.

Cameron zszedł na dół w czystych dżinsach i koszuli w niebieską kratkę. Rękawy miał podwinięte do łokci, stopy bose. Włosy osuszył ręcznikiem, ale ich nie uczesał, więc sterczały mu zabawnie na wszystkie strony. Pod rozpiętą koszulą widać było krople wody połyskujące na piersi. W dalszym ciągu był nie ogolony. Najbardziej zdumiało Lauren to, że wydawał się całkiem nieświadomy własnej atrakcyjności.

- Masz ochotę się czegoś napić? - spytał, zapinając środkowy guzik koszuli.

- Nie, dziękuję. - Patrzyła, jak idzie do kuchni, wyjmując z lodówki butelkę wody i kilkoma haustami opróżnia ją do połowy. - Ładnie tu.

- Podoba ci się? Naprawdę? - Był zaskoczony. - Na widok tych wszystkich rupieci większość kobiet ucieka z krzykiem.

Lauren wzruszyła ramionami.

- Ten zegar to antyk?

- Jeśli pytasz o ten w kształcie banjo, to tak. Pochodzi z połowy ubiegłego wieku. - Wrócił do pokoju. - Chodźmy na górę. Do mojego gabinetu.

Cała przestrzeń na piętrze, podzielona między sypialnię, gabinet i łazienkę, mieściła się pod spadzistym dachem. Gabinet, mimo że zawalony książkami, papierami i stosami gazet, nie przytłaczał; wydawał się jasny i przestronny.

- Nowy komputer? - spytała, siadając w wiklinowym fotelu.

- Tak. Jeszcze nie miałem czasu na nim popracować. Nienawidzę tego nowoczesnego sprzętu. - Przekręcił krzesło obrotowe, tak aby być twarzą do swego gościa. - No więc czym ci mogę służyć?

Siedział pochylony do przodu, z łokciami wspartymi na kolanach. Lauren spoglądała w okno, które znajdowało się za jego plecami. Widok wydm i oceanu zawsze działał na nią kojąco, ale tym razem nic nie pomagało. Starła się wziąć w garść. Przerażała ją własna reakcja na bliskość Camerona i emocje, jakie w niej wzbudzał. Nie była jedynie pewna, czy te emocje wzbudza dorosły mężczyzna w koszuli w kratkę, czy może czternastolatek, który nadal żył w jej wspomnieniach. Prawdę mówiąc, nie robiło to żadnej różnicy. Wiedziała, że tak czy inaczej musi wyzwolić się spod jego uroku. Zbyt wiele dzieje się teraz w jej życiu; nie może się rozpraszać, dekoncentrować.

- Chodzi o to - zaczęła, zaciskając mocno dłonie - że od czasu naszego ostatniego spotkania przeczytałam mnóstwo książek, próbując znaleźć jakieś informacje o Rockland...

- Teraz rozumiem, dlaczego masz podkrążone oczy. Makijaż niewiele pomógł, przemknęło jej przez myśl.

- W każdym razie uznałam, że powinnam zwrócić się do kogoś o pomoc. - Czekala, aż się roześmieje albo oznajmi, że przyszła pod niewłaściwy adres. - Oczywiście, sama też bym sobie poradziła...

- Oczywiście.

- Ale nie chcę niepotrzebnie tracić czasu. Nie mogę sobie pozwolić na to, żeby miesiąc po miesiącu przychodzić na posiedzenia rady i kolejno omawiać poszczególne punkty. Muszę wiedzieć, na czym stoję. Muszę mieć jasny obraz sytuacji, żeby jakoś rozsądnie zaplanować remont.

Marszcząc z namysłem czoło, Cameron wyprostował się.

- Czego oczekujesz ode mnie?

- Podobno masz jakieś materiały dotyczące mojego domu. Chciałabym je pożyczyć. - Korciło ją, aby mu zarzucić, że stosuje nieuczciwe metody i świadomie pozbawia ją możliwości zapoznania się z historią Rockland. Ugryzła się jednak w język. Nie ma sensu jeszcze bardziej go do siebie zrażać.

Przez długą chwilę przyglądał się jej w milczeniu. Nie wytrzymała - odwróciła wzrok. Nie ze strachu, że Cameron jej odmówi. Nie dlatego, że było jej wstyd prosić go o pomoc, ale dlatego, że patrząc mu w oczy, myślała tylko o jednym: o tym, jak cudownie byłoby się z nim kochać na złocistych wydmach.

Pierwszy raz też kochali się na wydmach. Czy właśnie wtedy zaszła w ciążę? Niewykluczone. Wprawdzie Cameron miał przy sobie prezerwatywę, którą ukradł w sklepie, lecz z niej nie skorzystali. Byli zbyt przejęci, zbyt podnieceni. Wystarczyło im, że leżała na kocu, niczym talizman chroniący przed złem.

Podejrzewała, że nawet gdyby chcieli się zabezpieczyć, Cam i tak nie wiedziałby, co z tym fantem począć. Bo ona na pewno nie wiedziała. Z początku była trochę zawiedziona. Cameron posiadał ją, wykonał kilka szybkich ruchów i raptem było już po wszystkim. Ale kiedy odpoczął... to już całkiem inna historia. Kiedy odpoczął i znów zaczęli się kochać, zapomniała o strachu przed ciążą i prezerwatywie - po prostu ogarnęła ją rozkosz.

Teraz założył nogę na nogę, wrywając Lauren z zadumy. Odruchowo podniosła ręce do twarzy i potarła rozgrzane policzki, potem uszy i szyję, jakby chciała zetrzeć z siebie te grzeszne myśli.

- Zanim się na cokolwiek zgodzę - powiedział nieświadom jej zmieszania - mam pytanie.

- Słucham?

- Jakie masz plany wobec Rockland?

- Bo co?

- Do licha, Lauren. Przecież wiem, czym się zajmujesz. Kupujesz stare domy i przerabiasz je na biura. Albo mieszkania. Czy to samo zamierzasz zrobić z Rockland?

Ze zdziwienia wytrzeszczyła oczy.

- Nie!

- Nie?

- Absolutnie nie.
- Więc dlaczego kupiłaś tę posiadłość? Westchnęła głośno.
- Nie pomożesz mi, dopóki ci nie powiem?
- Zgadza się.

Ponownie westchnęła, chociaż tym razem zabrzmiało to jak jęk.

- No dobrze, ale niech to zostanie między nami. Przynajmniej na razie. Otóż kupiłam ją dla mojej mamy.

Cameron siedział bez ruchu, jakby był wykuty z brązu.

- Tęskniła za Harmony, odkąd stąd wyjechaliśmy. Pomyślałam sobie, że ucieszysz się z możliwości powrotu na wyspę. Śmierć taty była dla niej strasznym ciosem. Chciałabym podarować jej ten dom na Gwiazdkę, dlatego tak bardzo zależy mi na czasie. I dlatego tak niechętnie mówię o swoich planach, bo to ma być niespodzianka. A im więcej ludzi o niej wie, tym większe ryzyko, że i mama się dowie.

Cameron wreszcie ożył.

- Kupiłaś Rockland dla matki? - spytał z niedowierzaniem.

- Tak.

- W prezencie gwiazdkowym?

- Tak. Jednakże biorąc pod uwagę cenę, jaką zapłaciłam na licytacji, a także koszty remontu oraz późniejszego utrzymania, chyba będę musiała pozostać prawnym właścicielem i mieć nad wszystkim pieczę. Ale tak naprawdę dom będzie należał do mamy.

- Nie jest zbyt duży jak na jej potrzeby? Lauren zarumieniła się.

- Z początku chciałam kupić inny. Mniejszy. Ale potem wybrałam się na licytację i jakoś nie mogłam się opanować...

Nawet się nie uśmiechnął, ale nic dziwnego, skoro sprzątnęła mu dom sprzed nosa.

- Jeszcze masz czas, żeby się wycofać, Lauren. Możesz sprzedać Rockland i kupić dla mamy coś bardziej odpowiedniego.

- Nie mogę. - Z trudem przełknęła ślinę. - Nikt mi nie da tyle, ile zapłaciłam. - Niełatwo jej było to z siebie wydusić.



- Hm. I myślisz, że skończysz remont do Bożego Narodzenia?

- Mam nadzieję.

- Do najbliższych świąt Bożego Narodzenia?

- Tak.

- Wnętrze też?

- Też.

- Zwariowałaś. Musiałby się zdarzyć cud. Wzruszyła ramionami.

- Podobno wiara je czasem czyni. Nagle coś go tknęło.

- Chyba... chyba nie zamierzasz usunąć stiuków i...

- Jakbyś zgadł! - weszła mu w słowo. - Na co komu jakieś stiuki, gzymsy, listwy, rozsypujące się boazerie? - Widząc, jak Camowi krew odpływa z twarzy, roześmiała się: - Przecież nie mówię poważnie. Chryste, naprawdę masz mnie za taką idiotkę?

Odetchnął z ulgą, choć wciąż spoglądał na nią podejrzliwie. Wiedziała, że jej nie ufa. No cóż, może słusznie. Nie jest purystką, jak Nancy Otis.

- Mogę ci zadać jeszcze jedno pytanie? Po co twojej mamie tak wielki dom?

- Po co? Po to, że ma dużo dzieci. Kiedy zjedziemy się wszyscy, nie będzie wolnego pokoju.

- Czyli Rockland zachowa swoją obecną funkcję, tak? Nadal będzie domem jednorodzinny?

- Na ile sposobów mam ci mówić, że tak? *Si, si, señor. Jawohl. Yes, sir.*

Naturalnie. W rzeczy samej.

Uśmiech zadrżał na jego wargach, lecz szybko nad nim zapanował. Szkoda, pomyślała. Dawniej lubiła go rozweselać, zwłaszcza odkąd się dowiedziała, że w jego domu salwy śmiechu należą do rzadkości.

- Cały czas podejrzewam, że coś knujesz - rzekł. - Że masz jakiś plan zdobycia pieniędzy.

- Nigdy nie twierdziłam, że nie mam.

- Aha! Wiedziałem!

- Nie denerwuj się, Cameron. Chcę jedynie podsunąć mamie pomysł, że część domu można przeznaczyć na pensjonat.

Minę wciąż miał niepewną.

- To nie pokryje kosztów za prąd, ogrzewanie...

- Pokryje, pokryje. Zwłaszcza jeśli umiejętnie wykorzystamy tę starą legendę.

Ludzie będą walili drzwiami i oknami, żeby tylko ujrzeć kołyszący się na wodzie, wypełniony białym ogniem szklany szkuner oraz krążącego po Rockland ducha nieszczęśliwej wdowy. Można by umeblować jeden pokój w dziewiętnastowiecznym stylu i nazwać go Komnatą Lady Gray, można by też wynajmować ogród na przyjęcia ślubne. Oczywiście, trzeba by wtedy wstawić do piwnicy kuchenkę i lodówkę.

Zresztą, chyba tam była kiedyś kuchnia, prawda?

Cameron wciągnął z sykiem powietrze.

- Owszem, tak zwana kuchnia letnia. Latem w piwnicy było chłodniej. Z historycznego punktu widzenia...

- Na razie mówimy o teraźniejszości, nie o historii. W bibliotece na dole można by otworzyć mały sklepik, w którym sprzedawano by koszulki z wizerunkiem lady Gray, kubki z wizerunkiem lady Gray, popielniczki z wize... No co? - Wybuchnęła śmiechem, widząc przerażenie malujące się na twarzy Camerona. - Nie podoba ci się pomysł pensjonatu i sklepiku? W porządku. Mam inne pomysły.

- Na przykład?

- Wokół domu jest mnóstwo wolnej przestrzeni. Można by postawić kilka ładnych parterowych...

- Wiedziałem! Wiedziałem, że się nie powstrzymasz. Że pokusa okaże się zbyt silna...

- Rany boskie! Mówisz tak, jakbym chciała otworzyć lokal ze striptizem w starym opuszczonym kościele.

- Bo pomysł mieszkań na wynajem jest równie obrzydliwy co pomysł striptizu w kościele.

- No dobrze. Skoroś taki mądry i szlachetny, co ty byś zrobił na moim miejscu?

- Ja? - Założył nogę na nogę i po chwili ciągnął z namaszczeniem: -

Przywróciłbym Rockland do dawnej świetności, tyle że zajęłoby mi to trzy lata, a nie trzy miesiące, i urządziłbym w nim muzeum. Odbywałyby się tu zajęcia dla dzieci, wykłady dla dorosłych, wystawy, imprezy charytatywne, z których dochód

przeznaczony byłby dla Muzeum Historycznego i Towarzystwa Przyjaciół Harmony. Może nawet raz w tygodniu sam oprowadzałbym grupy zwiedzających...

- Pomysł ładny, lecz całkowicie niepraktyczny. Niewiele byś zarobił.

Popatrzył na nią z rozdrażnieniem.

- Nie taki byłby mój cel.

- No tak. Bogaczy stać na wielkoduszność. - Pokręciła głową. - Powiedz mi, Cam, a gdzie byś mieszkał?

- Jak to gdzie? Miejsca tu pod dostatkiem!

- Nie przeszkadzałoby ci chodzenie do wygodki i mycie się w balii?

Zmarszczył czoło.

- Nie rozumiem...

- Bo gdybyś zdecydował się na wierną rekonstrukcję...

- Ale nie aż tak wierną.

- A więc nie istnieją żadne sztywne reguły dotyczące tego, co koniecznie trzeba zachować, a co można zmodernizować?

- Jeżeli chodzi ci o sprawę twojego podania...

- Owszem, chodzi.

- To proponuję, żebyśmy zaczęli od początku.

- Czyli?

- Od twojej prośby, żebym pożyczył ci materiały na temat Rockland.

- Dobrze. Pożyczysz?

W milczeniu świdrował ją wzrokiem, jakby usiłował odgadnąć, co się dzieje w jej sercu i głowie.

- Wiesz co, Lauren? - powiedział po chwili. - Dam ci za Rockland równy milion. Pięć tysięcy więcej, niż za niego zapłaciłaś. Parę minut temu sama wspomniałaś, że byłabyś stratna, sprzedając dom. A tak wyjdiesz na swoje. I pomyśl, ile zaoszczędzisz sobie kłopotów. To co? Milion dolarów...

Nawet się nie zawahała.

- Pocałuj mnie w nos, Hathaway. Po pierwsze, Rockland mi się podoba. A po drugie, kłopoty nigdy mnie nie przerażały.

Westchnął głośno.

- No dobrze... - Przeszedł na drugi koniec pokoju; po chwili wrócił z pudłem, które postawił na biurku. - Nie mogę ci tego dać na wynos, ale...

- Ale...?

- Możesz wszystko przejrzeć na miejscu, a w razie potrzeby skorzystać z mojego kseroksu.

Odetchnęła z ulgą.

- Dziękuję.

- Nie dziękuj. Robię to tylko dlatego, że im szybciej zaczniesz remont, tym szybciej zabraknie ci pieniędzy i może wtedy zdecydujesz się na sprzedaż.

- Nie licz na to, Hathaway, bo się rozczarujesz.

- Jestem optymistą.

Lauren ze zdumieniem stwierdziła, że chociaż się kłóca, to jednak wymiana ciosów jest bezbolesna. Przypominało to raczej sparing niż prawdziwą walkę. Zbyt często posyłali sobie przeciągłe spojrzenia i zalotne uśmiechy. Wyglądało na to, że całkiem nieświadomie opuścili gardę i...

- Jeśli mam być szczerą - rzekła, zdobywając się na odwagę - przychodząc tu, liczyłam na coś więcej niż książki.

- Mogłem się tego spodziewać. - Uśmiech wykrzywił mu usta. - W porządku. Mów. Czego jeszcze chcesz?

- Czy istnieje jakikolwiek sposób na przyśpieszenie całego procesu? Następne posiedzenie rady jest dopiero za miesiąc. Nie można by zastosować jakiegoś trybu pilnego?

- Nigdy tego nie praktykowaliśmy.

- A nie moglibyście?

- Nie bardzo. Lepiej nie stwarzać precedensów.

- Psiakość. - Podrapała się po głowie. - No dobra. Mam drugą prośbę.

- Słucham?

- Chodzi mi o robocze spotkanie. O konsultację. Moglibyśmy się umówić?

- My? To znaczy ty i ja?

- Tak.. - Starła się nadać głosowi obojętny ton, by nie zdradzić się z tym, jak bardzo zależy jej na jego poparciu.

- Myślę, że moglibyśmy - odparł cicho.

Miała wrażenie, jakby ściany się zacieśniły, a powietrze stało się tak ciężkie, że ledwo można było nim oddychać.

- Świetnie. Trzymam cię za słowo. - Sięgnęła po torebkę. - Nie będę ci dłużej przeszkadzać...

Zerknął za siebie na zegar ścienny, który tykał głośno nad jego lewym ramieniem.

- Za pół godziny jestem umówiony z ojcem...

Lauren wstała. Cameron również zaczął się podnosić, nagle jednak zmienił zdanie; ujął Lauren za nadgarstki i ruchem głowy wskazał jej z powrotem krzesło.

- Jeszcze chwila - poprosił.

Usiadła. Serce łomotało jej jak oszalałe. Cameron przez moment usiłował zebrać myśli; potem oparł łokcie na kolanach i utkwivszy wzrok w zaciśniętych dłoniach, rzekł:

- Powinienem być ci to powiedzieć dawno temu, ale lepiej późno niż wcale... - Wziął głęboki oddech; nadal nie patrzył jej w oczy. - Chciałem cię przeprosić za to, co się stało, kiedy byliśmy dziećmi. Za to, że przeze mnie zaszłaś w ciążę. Wiem, jak bardzo cierpiałaś i wiem, jak bardzo ci to skomplikowało życie.

Była tak zaskoczona, że nawet nie zauważyła, kiedy torebka wysunęła się jej z rąk i spadła na podłogę. Nie miała pojęcia, co powiedzieć ani jak zareagować.

- Cięża to sprawa dwojga osób, Cam. Ja też cię przepraszam. Tobie także nie było lekko.

Próbował machnąć lekceważąco ręką, ale odgadła prawdę. Tak, on również cierpiał.

- Przepraszam - szepnęła.

- Nie, przecież to nie była twoja wina.

- Twoja też nie. Nigdy cię nie winiłam.

Przez chwilę siedzieli w milczeniu. Co za ironia losu, pomyślała Lauren; to, co ich dzieliło przez piętnaście lat, było tym, co ich dzisiaj połączyło. I to dzięki Cameronowi, który wspaniałomyślnie pierwszy wyciągnął rękę do zgody. Lauren poczuła, jak broda drży jej ze wzruszenia.

- Nie wiem, co jeszcze mógłbym powiedzieć. Zbyt wiele narosło pretensji, nieporozumień...

- To prawda - przyznała. - I nie znikną ot tak, z dnia na dzień.

Przysunął się bliżej i zacisnął ręce na jej dłoniach.

- Wierz mi, żałuję bólu, który ci sprawiłem. Byliśmy tacy młodzi...

- Za młodzi. Dzieci nie powinny doświadczać tego, czego my doświadczyliśmy.

Zmarszczył czoło.

- Boże, aleśmy sobie pokomplikowali życie.

- Niestety. - Skierowała wzrok na ich złączone ręce. Jego były duże, opalone, gdzieś otarte na kostkach, jej przez kontrast wydawały się drobne, blade, delikatne. - Cam... czy moglibyśmy chwilę o tym porozmawiać? Jeżeli uznamy, że temat jest za bolesny albo zaczniemy sobie skakać do oczu, zawsze możemy przerwać.

Widać było, że ma opory, ale postanowił zaryzykować.

- Od czego chcesz zacząć? - spytał.

- Może od tego dnia, kiedy powiedziałam ci, że jestem w ciąży. Wtedy wszystko się zawaliło.

Z początku rozmowa toczyła się jak po grudzie. Pod cienką warstwą uprzejmości kryła się złość, ból, pretensje. Po paru minutach poczuli się trochę pewniej, nabrali do siebie zaufania i z nieco większą swobodą zaczęli snuć wspomnienia. Cameron opowiedział Lauren o swoim wyjeździe z Harmony i o tym, jak bardzo nienawidził tych lat spędzonych na przymusowym zesłaniu, z kolei ona opowiedziała mu o tym, jak ciężko było jej żyć dalej na wyspie, udając, że wszystko jest w porządku.

- Miałam żal, że zaoszczędzono ci tego piekła, które ja przeżywałam - rzekła, świadomie pomijając rolę, jaką w jej cierpieniach odegrali jego rodzice.

- A ja miałem żal, że przez ciebie odesłano mnie na kontynent.

Przeprosił ją za to, że nie dzwonił ani nie pisał, wyjaśniając restrykcje, jakim podlegał.

- Próbowałeś mi to wytłumaczyć, kiedy po raz pierwszy wróciłeś na święta - oznajmiła. - Ale nie chciałam cię wtedy słuchać...

- Ja ciebie też nie. Usiłowałaś mi powiedzieć o tym, jak straciłaś dziecko. -  
Ściągnął z namysłem brwi. Z jego spojrzenia wycierały wyrzuty sumienia.

- Nadal uważasz, że usunęłam ciążę? Przyłożył palec do jej ust.

- Nie mówmy o tym. Oboje wiemy, że stąpamy po niebezpiecznym gruncie.

Odsunęła się.

- Nie usunęłam, Cam.

- Nieważne. Miałaś prawo postąpić wedle swojego sumienia.

Patrząc mu prosto w oczy, rzekła:

- Pokażę ci dokumenty ze szpitala. Sam się przekonasz. Siedział bez ruchu, świdrując ją intensywnie wzrokiem.

- Boże, powinienem był się domyślić...

Oboje zgodzili się, że zarówno nieplanowana ciąża, jak i burza, jaka się potem rozpełtała, na zawsze odmieniły ich życie.

- Szkoła z internatem miała jednak parę pozytywnych skutków - ciągnął Cameron. - Poszerzyła moje horyzonty myślowe. Stałem się bardziej samodzielny, tolerancyjny.

Swojemu zesłaniu przypisywał to, że zaczął się interesować historią wyspy. Po prostu kiedy przyjeżdżał do domu na ferie świąteczne i wakacje, czuł się bardzo osamotniony; dawne przyjaźnie szkolne się pourywały. Większość czasu spędzał więc w domowej bibliotece i na strychu, czytając wszystko, co mu wpadło w ręce.

Lauren zauważyła, że z każdym słowem uchodzi z niego napięcie; ciało miał coraz bardziej odprężone, na twarzy malował się spokój. Ona też była znacznie bardziej zrelaksowana niż na początku.

- Inną dobrą stroną zesłania było to, że nauczyłem się nie chować głowy w piasek, tylko odważnie bronić siebie i swoich racji. Pamiętasz Kenny'ego Kuzaca? Takiego draba, który pracował na stacji benzynowej? Otóż ciągle przezywał mnie „kochasiem”. Potwornie mnie to denerwowało. Prosiłem, żeby tego nie robił. Wreszcie któregoś dnia nie wytrzymałem, chwyciłem go za koszulę, potrząsnąłem nim tak, że świat zawirował mu przed oczami i zagroziłem, że jeśli się ode mnie nie odczepi, wyląduje z własnymi jajami na głowie.

Lauren wybuchnęła śmiechem. Po chwili Cam się do niej przyłączył.

- Boże, jakie to miłe. Śmiać się na wspomnienie Kenny'ego.

- Wiesz, co mnie sprawiało największą trudność? - spytała, ocierając z policzków łzy.

- No?

- Randki.

- Wiem coś o tym.

Zdumiało ją, że nawet po rozstaniu przeżywali te same problemy.

- Właściwie dopiero po wyjeździe z Harmony, kiedy już byłam na studiach, zaczęłam umawiać się z chłopcami. Nie potrafiłam się jednak zachowywać naturalnie. Byłam ostrożna, nieufna...

- Ale przynajmniej studiowałaś.

- Tak. A ty nie. Kiedy się o tym dowiedziałam, wprost nie mogłam uwierzyć. Co się stało? Dlaczego...

- Kiedy w końcu wróciłem na wyspę, uparłem się, że nigdy więcej jej nie opuszczę. Potem jednak uznałem, że nie ma sensu na złość babci odmrażać sobie uszu. Zapisalem się do college'u. Przez dwa lata chodziłem na różne wykłady i seminaria, ale tylko te, które mnie interesowały. Nie zależało mi na dyplomie, tylko na wiedzy.

- A wracając do spraw męsko-damskich...

- To był koszmar. Zapraszałem dziewczynę na kolację i zamiast się odprężyć, cały wieczór zastanawiałem się, czy wszyscy już o nas plotkują. Po pewnym czasie uodporniłem się...

- Słusznie. Inaczej byś zwariował. - Na moment zamilkła, jakby wahając się, czy nie za dużo chce mu zdradzić. - Wiesz, że zrywałam znajomość, kiedy tylko zaczynała przeradzać się w coś poważniejszego?

- Bałaś się seksu? Skinęła głową.

- Tak. W dodatku czułam się winna za to, co się stało. Za kłopoty, jakich przysporzyłam rodzinie. Za zawód, jaki sprawiłam ojcu. Nie mogłam sobie poradzić z wyrzutami sumienia.

- A mnie moja matka przez trzy lata przysyłała różne broszury kościelne. Stałem się ekspertem od piątego przykazania. Dziś teologowie z całego świata przybywają do mnie na konsultacje. Pewnie o tym nie wiedziałaś, co?



Ogarnęła ją wesołość.

- Boże, Cam, jaka szkoda, że wcześniej nie umieliśmy z sobą rozmawiać. Od lat unikałam przyjazdu na wyspę... z wielu powodów, ale głównie bałam się spotkania z tobą.

- Ja też unikałem niektórych uroczystości, żeby przypadkiem się na ciebie nie natknąć. Dlatego nie byłem na ślubie Julii i Bena Grantów, choć bardzo ich lubię.

- Wprost nie do wiary, jakie konsekwencje może mieć błąd popełniony w młodości.

- Najważniejsze, że wyszliśmy z tego cało. Że zdołaliśmy ułożyć sobie życie.

- To prawda. Podobno jesteś zaręczony?

Spojrzał w dół; nie była w stanie wyczytać nic z jego oczu.

- Tak. Z Eryką Meade. Chyba jej nie znasz.

- Chyba nie.

- To wspinała dziewczyna. Na razie jest na kontynencie; zapisała się na letnie kursy dla nauczycieli, więc widujemy się tylko w weekendy. Został jej jeszcze tydzień...

Lauren ze zdumieniem stwierdziła, że czuje zazdrość.

- Masz szczęście, że znalazłeś kogoś, kto gotów jest zamieszkać na Harmony.

- A ty, Lauren? Masz kogoś?

- Spotykam się z różnymi ludźmi, ale z nikim nie jestem na stałe związana.

Jakoś nie mam czasu na życie prywatne...

Oboje czuli się skrępowani, rozmawiając o sprawach tak osobistych. Szybko zmienili temat. Ona opowiedziała Camowi o tym, jak zaczęła pracę w agencji nieruchomości, on jej o tym, co go skłoniło do pisania. Wypytywali się nawzajem o znajomych i krewnych, kto się ożenił, kto wyszedł za mąż, komu się urodziły dzieci, a kto umarł. Starali się uzupełnić luki, zdobyć o sobie jak najwięcej informacji. Chociaż usta im się nie zamykały, Lauren miała wrażenie, jakby z każdą chwilą przybywało pytań.

- Naprawdę powinnam już iść - rzekła, spoglądając na zegarek. - Jesteś spóźniony ponad godzinę. Ojciec będzie się zastanawiał, gdzie się podziewasz. -

Wstała i ruszyła w stronę schodów. - Jeśli chodzi o te książki, nie wiem, kiedy...

- Nie przejmuj się. Skseruję odpowiednie strony i jutro ci wszystko podrzucę.  
- Nie chcę ci sprawiać kłopotu...  
- Żaden kłopot. Znam te książki niemal na pamięć. Wiem, gdzie czego szukać i co ci będzie potrzebne.

Przystanęła na ganku.

- Dzięki za wszystko, Cam - powiedziała. - Czuję się znacznie lepiej. Jakbym zrzuciła z siebie wielki ciężar.

Skinął głową; on też się tak czuł. W jego oczach dojrzała dziwną tkliwość, której przed godziną na pewno nie było.

- Nie zmieniłem zdania w sprawie Rockland - oznajmił, pociągając ją za rudy kosmyk. - Zamierzam tam kiedyś zamieszkać.

- Wiem. Niestety, ten dom będzie stanowił między nami kość niezgody. Ale cieszę się, że przynajmniej zdołaliśmy wyjaśnić sobie niektóre rzeczy.

- Ja też. Myślę, że nie będziemy już tacy spięci w swoim towarzystwie.

Idąc do samochodu, popatrzyła na wydmy przy końcu drogi i jasnosrebrzystą tafłę oceanu. Jakie to dziwne, pomyślała, że rozmawiali o jej ciąży i o tym, jak zaważyła na ich życiu, natomiast ani słowem nie wspomnieli o tym, co było wcześniej. O młodzieńczej miłości. O fascynacji sobą. O seksie. Jakby chcieli wymazać to z pamięci albo bali się przyznać, iż taki fakt w ogóle miał miejsce. Może to i lepiej. W końcu co by to dało? Zwłaszcza teraz, po latach.

Wsiadła do samochodu, przekręciła kluczyk w stacyjce i słuchając cichego szumu silnika, obejrzała się za siebie. Cameron stał w drzwiach domu, jedną ręką wsparty o framugę, w jasnoniebieskiej koszuli zapiętej na jeden guzik. Lauren wolno przesunęła po nim wzrokiem, poczynając od ciemnych potarganych włosów, a kończąc na bosych stopach. Nie ulegało wątpliwości, że chudy czternastolatek wyrósł na kawał przystojnego mężczyzny.

Może dlatego wołała nie poruszać na głos tematu seksu. Cały czas bowiem dumiała o tym, jak by to było teraz. Skoro seks z czternastoletnim Camem był tak ekscytujący, to z dorosłym...

Tak, mądrze zrobili, obchodząc ten temat z daleka.

## Rozdział 8

Nazajutrz Cameron ruszył do Rockland z silnym postanowieniem, że zastuka do drzwi, zostawi skserowane materiały i zaraz się pożegna.

Owszem, był zadowolony z wczorajszej rozmowy. Cieszył się, że wreszcie miał okazję przeprosić Lauren za cierpienie, które jej sprawił. A jaką odczuł ulgę, kiedy powiedziała: „Nigdy cię nie winiłam”! Wiedział jednak, że nie ma sensu próbować czegokolwiek naprawiać. Jeszcze się zaprzyjaźnią i co wtedy?

Po pierwsze, w skrytości ducha wciąż liczył na to, że odkupi od Lauren dom. Po drugie, rodzice poczuliby się oszukani i zdradzeni. A po trzecie, musiał myśleć o Eryce. Jak miałby jej wytłumaczyć odnowioną po latach przyjaźń z Lauren? „Eryko, chciałbym ci przedstawić Lauren DeStefano, z którą kiedyś się kochałem i która zaszła ze mną w ciążę. Ale to dawne dzieje, więc chyba możemy się od czasu do czasu spotykać w trójkę”?

Skręcił w podjazd i zaparkował samochód za fordem prelude. Niespodziewane bicie serca uświadomiło mu, że jest jeszcze jeden powód, dlaczego powinien trzymać się od Lauren z daleka.

Pół nocy walczył ze wspomnieniami, które zalewały go niczym fale. Przypomniawszy sobie pierwszy nieśmiały pocałunek w usta. Pierwszy raz, kiedy dotknął ręką jej piersi. Tamto popołudnie, kiedy przytulali się na piasku i nagle ich ciała zaczęły ruszać się rytmicznie... Nie mógł sobie tego wybaczyć. Przecież byli dziećmi. Głupimi, niezdarnymi dzieciakami, którym buzujące hormony odebrały rozum. Wczoraj, po powrocie do domu, położył się spać, ale nie mógł zasnąć. Patrzył, jak wskazówki zegara odmierzają czas - północ, pierwszą, drugą. One odmierzały czas, a on leżał, przywołując w pamięci upalne lato...

Tak, przywita się, zostawi pudło z odbitkami i natychmiast się pożegna. Wszedł na werandę i zastukał do drzwi. Nikt nie odpowiedział, lecz z głębi domu dobiegły go głosy. Ruszył w ich kierunku. Zastał Lauren w kuchni rozmawiającą z miejscowym hydraulikiem, Toddem Corym.

- Proszę, co za niespodzianka! - zawołał na jego widok Todd. - A co ty tu robisz?

- Przywiozłem materiały, o które prosiła mnie pani DeStefano - wyjaśnił tonem nie pozostawiającym wątpliwości, że przywiodły go tu sprawy służbowe.

- Dzięki. - Lauren wzięła od niego pudło i postawiła na szafce. - Zaoszczędziłeś mi mnóstwo czasu.

- Widzę, że jesteście zajęci, więc...

- Już skończyliśmy - zaproponował Todd. - Właśnie zbierałem się do wyjścia.

Cameron został w kuchni, Lauren zaś odprowadziła hydraulika do drzwi.

- Odezwę się, jak tylko będę miał kosztorys.

- Doskonale. Cieszę się, że pan przyszedł. Cameron nie krył zdziwienia, kiedy wróciła do kuchni.

- Zatrudniasz wyspiarzy?

- Muszę. Mój przedsiębiorca budowlany ma trudności z namówieniem do przyjazdu na wyspę swoich pracowników - odparła. - Co sądzisz o Corym?

- Jest... niezły.

- A ty byś komu powierzył prace hydrauliczne?

- To zależy. Co konkretnie masz na myśli?

- Wszystko. Wymianę starych rur, zainstalowanie nowego ogrzewania, przeróbkę istniejących łazienek, dobudowanie trzech nowych.

- Aż trzech?

- Tak. Jeżeli mama ma wynajmować pokoje, dodatkowe łazienki są niezbędne. A jeżeli nie będzie chciała prowadzić pensjonatu, to i tak się przydadzą.

- Zamierzasz przestawiać ściany? - W głosie Cama zabrzmiała nuta przerażenia.

- Tylko trochę. Cały tydzień przestawiałam je na papierze, ale oczywiście zdam się na opinię fachowców. Nawet sobie nie wyobrażasz, jakie niesamowite rzeczy architekci potrafią wymyślić. - Zamilkła; po chwili, przechyliwszy w bok głowę, spytała: - Dlaczego masz taką zmartwioną minę? Może chcesz wejść na górę i obejrzeć moje projekty?

- Bardzo chętnie.

- Świetnie. - Wzięła pudło i wyszła z kuchni.

Deptał jej niemal po piętach, choć prawdę mówiąc, to nie na pięty patrzył. Miała na sobie szorty ciasno opinające biodra, które kołysały się przy każdym kroku. Boże. Powinien jak najszybciej stąd uciec! I ucieknie, ucieknie, tylko najpierw się dowie, jakie zniszczenia Lauren zamierza poczynić.

Chodzili od pokoju do pokoju, a odgłos ich kroków niósł się echem po pustych pomieszczeniach. Lauren, wskazując na przyczepioną do podłogi taśmę, tłumaczyła, gdzie mają być drzwi, gdzie dodatkowe ściany.

- Jakiego zatrudniłaś architekta? - spytał ponuro Cameron, kiedy minęli próg jednej z istniejących łazienek.

Zmarszczyła czoło.

- Nazywa się Brian King. Bo co?

- Czy jest specjalistą od dawnej architektury?

- Jest doskonałym fachowcem. Nigdy nie miałam najmniejszych zastrzeżeń do jego projektów.

- Nie odpowiedziałaś na moje pytanie.

Wsparała ręce na biodrach i przechyliła głowę. Niesforny rudy kosmyk zasłonił jej prawe oko.

- Słuchaj, a może miałbyś ochotę go poznać? Przyjedzie w poniedziałek. Joe, mój generalny wykonawca, również. Mógłbyś przedstawić im swój punkt widzenia...

- Chcesz, żebym pełnił funkcję doradcy?

- Może. - Pomyśl najwyraźniej przypadł jej do gustu.

O niczym bardziej nie marzył, ale czuł, że są pewne granice, których nie powinien przekraczać. Co innego konsultacja, co innego... Pokusa jednak była zbyt silna.

- W porządku, zobaczymy.

- Mam nadzieję, że nie przyślesz mi rachunku za usługi.

- Nie wygłupiaj się. Przyjrzała mu się podejrzliwie.

- Coś taki chętny do pomocy?

- Chcę ograniczyć do minimum szkody, jakie możesz poczynić.

Wrócili do pokoju, który Lauren tymczasowo przeznaczyła na swe biuro i sypialnię. Tu, na starej zniszczonej komodzie pamiętającej czasy Wielkiego Kryzysu, stało przyniesione z dołu pudło z odbitkami. Lauren otworzyła je i zajrzała do środka.

- Ojej, nie spodziewałam się czegoś takiego... - Wyjęła leżący na wierzchu album fotograficzny.

Cameron wzruszył ramionami. Wiedział, że powinien pożegnać się i wyjść. Nie miał tu nic więcej do roboty. Ale ociągał się; ciekaw był miejsca, w którym Lauren sypia i trzyma swoje rzeczy osobiste, w którym czyta i obmyśla plany dotyczące przebudowy Rockland. Sądząc po komputerze i stosach skoroszytów ułożonych nieopodal kominka, zapewne z tego pokoju prowadziła również interesy.

- O rany! - zawołała cicho. - To niesamowite.

- Co?

Zbliżywszy się, zobaczył, że ogląda starannie zabezpieczone zdjęcie domu wykonane, jak głosił napis, w lipcu 1897 roku.

- Na dachu była kopuła?

- Tak. Zniszczył ją huragan. W trzydziestym ósmym roku.

- Aż dziw, że twoi przyjaciele z rady nie kazali mi jej odbudować.

- Mówiłem ci, że potraktowali cię łagodnie.

Przewróciła stronę.

- O, a tu widać południową stronę domu. Muszę przyznać, że bez oranżerii rzeczywiście wygląda ładniej.

- Ale wiesz, że jeżeli rozbierzesz oranżerię, powinnaś odbudować kominek, który dawniej się tam znajdował?

- Oczywiście - powiedziała zamyślona.

Przeszła z albumem do łóżka, którym był rzucony na podłogę materac przykryty pomiętym żółtym prześcieradłem, i usiadła z brzegu. Cameron tymczasem kucnął przy stosie książek leżących koło poduszki.

- Przejrzałaś je, czy służą za stolik nocny? - spytał. Wziął do ręki pierwszą z wierzchu, „Poradnik konserwatora”, a pod nią ujrzał jedną z własnych pozycji.

- Jeśli chcesz wiedzieć, przeczytałam prawie wszystkie. Nawet twoją. Ale najbardziej przyda mi się ten album. - Roześmiała się wesoło.

Zerknął na pozostałe tytuły. „Chrońmy zabytki”, „Życie wśród antyków”, „Neoklasycyzm w Ameryce”. Nagle poderwał głowę.

- Co to znaczy, nawet moją?

Popatrzyła na niego, uśmiechając się szelmowsko.

- Jest naprawdę dobra, Cam. Mądra, zawierająca mnóstwo informacji, a zarazem napisana ludzkim językiem. Momentami bardzo śmieszna. Zaimponowałeś mi.

Speszona, opuściła oczy i wróciła do przeglądania albumu. Włosy niczym lśniąca miedziana kurtyna zasłoniły jej twarz.

Cam otworzył książkę o antykach, starając się ukryć, jak dużą przyjemność sprawiły mu jej słowa. Cały czas myślał o tym, na jak wspaniałą kobietę wyrosła Lauren. Już wczoraj to dostrzegł, kiedy zdradziła mu, że chce podarować dom swojej mamie. Wzruszyła go jej szczodrość i wielkoduszność.

A także jej upór, kiedy odrzuciła jego ofertę odkupienia domu za milion dolarów. Oczywiście pamiętał, że jest to ta sama kobieta, która chciała sprzedawać koszulki z wizerunkiem Isabel Gray, a na poddaszu i w garażu wynajmować gościom pokoje. Mimo to, patrząc jak pożera wzrokiem zdjęcia, czuł, że nie kieruje nią chęć wzbogacenia się.

- Cam, w ilu rękach był Rockland? Ilu miał właścicieli? - spytała, nie podnosząc głowy.

- Sześciu lub siedmiu. Bo co?

- Nic. Pamiętam oczywiście Addie i Doca Smithów...

- A wiesz, że za ich czasów, od późnych lat trzydziestych do wczesnych sześćdziesiątych, mieściła się tu przychodnia?

- Serio?

- Tak. Dopiero później powstała ta nowa. Smithowie oddali miasteczku nieocenioną przysługę. To im się liczy na plus. A na minus to, że sprzedali znaczną część oryginalnego wyposażenia domu, stare meble, żyrandole, rzeczy, które kiedyś należały do Isabel.

- Szkoda. A to kto? - spytała, wskazując na fotografię jakiejś kobiety.

- Sophronia Peavy. Odziedziczyła dom po ojcu w 1912 roku. To ona zelektryfikowała Rockland. Ona jako pierwsza na wyspie miała w domu telefon. I jako pierwsza z tutejszych kobiet usiadła za kierownicą samochodu.

Lauren rozciągnęła usta w uśmiechu.

- Chybabym ją polubiła.

- O, jestem tego pewien. - Na wszelki wypadek postanowił zataić fakt, że w latach dwudziestych Sophronia prowadziła w Rockland pensjonat. - Jej ojciec też był barwną postacią. I miał niesamowitą głowę do interesów. Korzystając z rozwoju turystyki, jaki nastąpił pod koniec ubiegłego wieku, zbudował na Harmony kolej żelazną. Pociąg okrążał wyspę, przystając w kilku najbardziej malowniczych miejscach.

- Naprawdę? Po wyspie jeździła ciuchcia?

- Tak. Cieszyła się ogromną popularnością. Latem przewoziła średnio dwa tysiące osób dziennie, a w święta nawet i trzy tysiące. Stary Jack sporo na tym zarobił. I oczywiście wszystko wydał. Pieniądze się go nie trzymały. Lubił luksus. Te dębowe podłogi na parterze to jego zasługa. Marmurowe kominki też.

Lauren skierowała wzrok na kominek w sypialni. Był niezwykle skromny, otoczony prostą, drewnianą ramą.

- Nie, ten jest oryginalny - wyjaśnił Cameron. - Isabel chciała, żeby niczego nie zmieniano w jej pokoju. Sprzedając dom Peavy'emu, adwokat przekazał mu jej życzenie. Widzę jednak, że któryś z późniejszych właścicieli dobudował sobie szafę. - Pokręcił z dezaprobatą głową. - Ale poza tym pokój wygląda tak, jak powinien.

Rumieniec podniecenia zabarwił policzki Lauren.

- Tu była... sypialnia Isabel?

Cameron skinął głową; obserwowanie reakcji Lauren sprawiało mu autentyczną frajdę.

- O rany! - Rozejrzała się wokół. - Wiedziałam, czułam, że coś... Dlaczego adwokat sprzedawał dom? Dlaczego nie ona sama?

- Nie mogła. Była już na tamym świecie.

- No tak. - Lauren zaśmiała się cicho. - To wszystko wyjaśnia.

- Mieszkała w Rockland aż do śmierci.



- Dziwi mnie, że nie zdecydowała się na powrót do Maine.

- Na wyspie pochowała męża i dziecko...

- Dziecko?

- Tak. Nie wiedziałaś? Była w ciąży, kiedy statek się rozbił. Wkrótce potem miała poronienie. Skoro tu zginęli jej najbliżsi...

- Nie chciała ich opuszczać, to rozumiame. - Lauren ponownie rozejrzała się wokół. - I to był jej pokój? Jej sypialnia?

- Tak. - Cameron podszedł do okna wychodzącego na północ. - Chciała widzieć zarówno skały, na których rozbił się szkuner, jak i port. Ale moim zdaniem, sypialnia w północno-wschodnim narożniku to niezbyt dobry pomysł. Zimą zimno...

- Za to latem jak przyjemnie. - Lauren odłożyła album na materac i podeszła do drugiego okna, tego z widokiem na ocean. - Tylko spójrz, Cam. Czy może być coś piękniejszego?

Staął za nią; w nozdrza uderzył go zapach jej włosów. Pachniała cudownie, mydłem, mleczkiem kokosowym, esencją kobiecości. Pochylił się, przysuwając bliżej nos. Nagle, świadom tego, co robi, odskoczył gwałtownie. Przypomniał sobie swoje wcześniejsze postanowienie: że zostawia odbitki i do widzenia.

Szukał pretekstu, by się pożegnać, kiedy Lauren pchnęła do góry pordzewiałą siatkę w oknie i zaproponowała, aby wyjść na zewnątrz.

- Jak? Gdzie?

- Przez okno. Na dach werandy. - Przerzuciła nad parapetem jedną nogę, potem drugą.

- Na miłość boską, uważaj. Jeszcze sobie coś zrobisz. Ten dach jest pochyły...

- I przy krawędzi trochę się zapada. Wiem, bo już wcześniej go sobie obejrzałam. Robiłam zdjęcia, które chcę pokazać na posiedzeniu rady.

Przeszła ostrożnie kilka kroków i usiadła. Wzdychając z rezygnacją, Cameron poszedł za jej przykładem.

- Cudownie, prawda? - spytała.

Musiał przyznać jej rację. Wiatr znad morza leciutko mierzwił im włosy. Z dołu dobiegał chłopot fal zalewających skalisty brzeg. Dzień był słoneczny, powietrze czyste, a widoczne w oddali wysepki wyglądały tak, jakby dryfowały na wodzie.

- Chciałabym mieć tu taras - powiedziała rozmarzonym głosem. - Zamontowałabym szklane drzwi, na zewnątrz ustawiła wygodne leżaki...  
- Wiesz co, Lauren? Lepiej kup sobie inny dom.  
- A tobie sprzedać ten? - Parsknęła śmiechem. - Spryciarz z ciebie, Hathaway.  
Odchyliła się do tyłu i wystawiła twarz do słońca. Była jedyną rudowłosą osobą, jaką znał, która nie bała się opalać.  
- To niesamowite, jak wiele macie z sobą wspólnego. Ty i Isabel.  
- Nieprawda! - oburzyła się. - Ona żyła w świecie fantazji, miała przywidzenia, snuła romantyczne wizje...  
- Wszystko się zgadza. Ale była również kobietą niezwykle dumną, silną i upartą.

Lauren uśmiechnęła się zadowolona.

- Serio?

- Tak. W pewnym sensie ten dom to jej pomnik.

- Nie rozumiem...

Ciekawość Lauren ogromnie go cieszyła.

- Niewiele osób o tym wie, ale Isabel uważała, że tubylcy są winni katastrofy szkunera. Że specjalnie dawali światłem znać...

- Słyszałam o tych niecnych praktykach - przerwała mu. - Podczas sztormów ludzie wychodzili z latarniami na plażę, licząc na to, że załoga przepływającego statku weźmie je za światła portu. Kiedy statek rozbijał się na przybrzeżnych skałach, lądowi piraci najspokojniej w świecie czekali, aż fala wyrzuci towar na brzeg.

- Zgadza się. Tak było w czasach, kiedy po tych wodach pływało mnóstwo statków handlowych. Każdego dnia widać było co najmniej kilka żagli na horyzoncie.

Lauren skierowała wzrok na ocean, a Cameron skierował oczy na nią. Miała najpiękniejszy profil, jaki kiedykolwiek w życiu widział.

- Co za barbarzyński zwyczaj. - Wzdrygnęła się. - Nie zdawałam sobie sprawy, że mieszkańcy wyspy też go stosowali.

- Nie ma na to żadnych dowodów. Choć krąży opowieść o starym Willu Sloanie, który podczas sztormów obwieszał latarniami swojego konia i wyruszał na cypel Sandy Point. Pewnego wieczoru przyływ odciął mu drogę powrotną.

Wystraszony koń puścił się galopem, unosząc Willa do morza. Po dziś dzień marynarze, którzy opływają cypel w trakcie burzy, twierdzą, że czasem widzą białego konia galopującego po falach.

Lauren wybuchnęła śmiechem.

- Różne słyszałam tu opowieści, ale tej nigdy.

- No widzisz? Musisz przy okazji nadrobić zaległości w miejscowym folklorze. A wracając do „Lady Gray”, nic nie wskazuje na jakiegokolwiek sztuczki. Mieszkańcy Harmony cieszyli się opinią najdzielniejszych ratowników w okolicy. Nie znaczy to, oczywiście, że nie doceniali darów morza, gdy im się trafiały. Ale co innego przywłaszczanie towarów wyrzuconych na brzeg, rumu, tranu, bel płótna, a co innego świadome naprowadzanie statków na podwodne skały. Nie wierzę, żeby się tak zabawiali.

- Ale Isabel była innego zdania?

- Tak. Miała mieszane uczucia w stosunku do tutejszych mieszkańców. Kochała ich, a jednocześnie nienawidziła. Uratowali jej życie, otoczyli opieką, przywrócili do zdrowia, i za to była im wdzięczna. Z drugiej zaś strony winiła ich, a przynajmniej część z nich, za śmierć swojego Johna. Postanowiła zostać na wyspie, żeby być blisko męża i dziecka, ale także dlatego, żeby ci, którzy wyszli na plażę z latarniami, stale odczuwali wyrzuty sumienia. Chciała, żeby wiedzieli, że statek to nie tylko żagle, drewno i metal, nie tylko rum, tran i bele materiału, ale również ludzie z krwi i kości. Ludzie tacy jak ona, której dane było przeżyć, i tacy jak jej mąż, którego pozbawiono życia.

- Więc zbudowała dom...

- Ale nie jakiś dom, tylko ten. Rockland. Tego typu rezydencje były popularne w bogatych portach wielorybnych, lecz nie na Harmony. Miejscowi farmerzy i rybacy mieszkali w skromnych domach zbudowanych w stylu kolonialnym. Dom Isabel Gray odstawał od reszty; był wielki, wspaniały, luksusowy. Chciała, żeby kłuł tubylców w oczy.

- I uważasz, że jestem do niej podobna?

- Absolutnie - odparł. - Przyznaj się, o czym myślałaś, kupując Rockland? Nie miałaś ochoty zagrać nam na nosie?

Uśmiechnęła się speszona, jakby przyłapano ją na gorącym uczynku.

- Myślałam, że to będzie wspaniały prezent dla mojej mamy.

- Akurat! - Cameron nagle spowaźniał. - Wiesz, co w tym wszystkim wydaje mi się najbardziej niezwykle? Fakt, że większość drewna użytego do budowy Rockland pochodziła z „Lady Gray”. Szkuner przewoził deski i bale.

W zielonych jak morskie głębiny oczach Lauren zagościł smutek.

- Nie do wiary!

- Prawda? Ludzie tak bardzo współczuli Isabel, że oddali jej wszystko, co morze wyrzuciło na brzeg. A trzeba ci wiedzieć, że wtedy, w latach czterdziestych ubiegłego wieku, na wyspie prawie nie było drzew. Osadnicy wycięli wszystkie, część na budowę domów, a część, żeby mieć ziemię pod uprawę. Drewno było na wagę złota, a mimo to ludzie oddali Isabel każdą najmniejszą deseczkę.

- Skąd to wszystko wiesz?

- Z listów, pamiętników, wycinków prasowych.

- Isabel zostawiła pamiętnik?

- Nie. Zostawiła go moja prapraprababka.

Lauren oparła brodę na kolanach i jak zahipnotyzowana wpatrywała się w lśniąca w słońcu wodę, po której pływały zarówno małe łodzie rybackie, jak i wspaniałe jachty oraz motorówki. Ogarnął ją błogi spokój. Uwielbiała opowieści Camerona, a jeszcze bardziej uwielbiała brzmienie jego głosu.

- Podobno co jakiś czas Isabel widywała męzowski szkuner. Myślisz, że oszalała z rozpaczy i miała zwidy?

Wzruszył ramionami.

- Nie wiem. Pod każdym innym względem była całkiem normalna. Prowadziła dom, miała wielu przyjaciół, często przyjmowała gości. Zresztą wiele osób twierdziło to samo. Że też widziało „Lady Gray”.

Lauren westchnęła głośno.

- Lubisz historię, prawda?

- Tak. Przeszłość mnie fascynuje, zwłaszcza dzieje wyspy. To zamknięty obszar, w pewnym sensie odizolowany od reszty świata. Wydarzenia nabierają tu innej wagi. Ludzie są jednostkami, a nie bezimiennym tłumem.

Cameron mówił dalej, ale Lauren go nie słuchała. Wpatrywała się intensywnie w horyzont, serce waliło jej młotem. Co to może być? Czyżby odbijające się od wody promienie słońca tworzyły jakąś dziwną fatamorganę? Zamknęła oczy, otworzyła je. Choć znajdował się z dziesięć mil morskich od brzegu, widziała go wyraźnie - wielki dwumasztowy szkuner z lśniącymi w słońcu żaglami!

Przejęta, wyciągnęła rękę i chwyciła Cama za nadgarstek. Chciała coś powiedzieć, lecz nie była w stanie wydobyć z siebie głosu.

- Co się stało? - Przyglądał się jej z rosnącym niepokojem. - Lauren! Co ci jest?

- Spójrz. - Drżącą ręką wskazała przed siebie. Posłusznie skierował wzrok tam, gdzie kazała. Zmrużył

oczy. Po chwili tak się trząśł ze śmiechu, że aż opadł na wznak.

- Co cię rozbawiło? - spytała, zbita z tropu.

- To tylko „Shenandoah” - odparł, rechocząc wesoło. - Zawsze cumuje na Martha's Vineyard.

- Wiedziałam. - Uniosła butnie brodę.

- No jasne.

Chciała dać mu kuksańca, ale złapał ją za rękę i pociągnął do siebie. Oparła się na łokciu. Kiedy tak leżeli na dachu werandy, ni stąd, ni zowąd Cameron przypomniał sobie pewien mroźny zimowy dzień. Leżeli w podobnej pozycji, tylko że wtedy prószył śnieg, a Lauren nie miała tylu krągłości co teraz. I nagle stało się coś dziwnego; mimo iż słońce prażyło go w plecy, na policzkach poczuł igiełki mrozu.

Lauren spostrzegła zmianę w wyrazie jego twarzy. Spoglądał na nią uważnie, czule, tęsknie. Po chwili w jej oczach też pojawiła się tęsknota. Dzielili ich dosłownie kilka centymetrów. Patrzyła na gęste ciemne włosy, proste brwi, pięknie wykrojone usta. Kiedy je zbliżył, nie cofnęła się.

Pocałunek. Ich pierwszy od piętnastu lat. Delikatny jak płatek śniegu, rozkoszny jak letni wietrzyk. Jego usta mówiły: „Cześć, brakowało mi ciebie”. Jej odpowiadały: „Mnie ciebie także”. Wreszcie rozsądek wziął górę nad emocjami i, przerażeni własnym zachowaniem, odskoczyli od siebie. Cameron objął ramionami kolana; na jego twarzy malowała się konsternacja.

- Ciekawość - rzekł, odpowiadając na zadane w myślach pytanie. - Zwykła ciekawość. Nic więcej się za tym nie kryje.

Lauren również usiadła i opierając łokcie na kolanach, przeczesała rękami włosy.

- Nic a nic - potwierdziła. - Tylko zwykła ludzka ciekawość.

- Przepraszam.

- Ja też.

- Po prostu... - Cameron westchnął głośno. - Na twój widok ożywają we mnie wspomnienia.

- Wiem.

- A w tych wspomnieniach... - zawahał się.

- Jesteśmy namiętną parą nastolatków.

- No właśnie. - Roześmiał się cicho. - Ale wspomnienia to przeszłość. Nie wolno ich mylić z rzeczywistością.

- Możesz być spokojny. Nikt się nie dowie o naszej dzisiejszej chwili zapomnienia.

- Dzięki za wyrozumiałość - rzekł.

Skierowała wzrok na wodę, szukając „Shenandoah”. Ledwo odnalazła żaglowiec, gdy znikł na horyzoncie.

- Pójdę już.

- Może masz ochotę się czegoś napić? - spytała, wychodząc z założenia, że skoro mają puścić pocałunek w niepamięć, powinni zachowywać się tak, jakby nic się nie stało.

- Nie, dzięki. Eryka przyjechała na weekend. Jesteśmy umówieni na lunch.

No tak, Eryka. Narzeczona Cama. Lauren poczuła się tak, jakby ktoś wylał jej na głowę kubek zimnej wody.

- To leć. Nie chcę, żebyś się spóźnił przeze mnie. Wrócili przez okno do sypialni, a potem zeszli na dół.

Lauren nie zamykała się usta. Nie mogła się już doczekać remontu. Chociaż lubiła spokój i ciszę, marzyła o tym, by wreszcie dom zaroił się od robotników. W

drzwiach przypomniała Camowi, żeby zajął w poniedziałek; będzie miał okazję pogadać z architektem.

Odprowadziła go wzrokiem do samochodu.

- Ciekawość - szepnęła. - Zwykła ludzka ciekawość...

Zamykając drzwi, cofnęła się myślami do tej chwili na dachu, kiedy zdawało jej się, że czas się zatrzymał. Nagle spostrzegła, że drży na całym ciele.

Wcale nie był umówiony z Eryką na lunch. Wymyślił to na poczekaniu, w odruchu samoobrony. Byli jednak umówieni wieczorem na kolacji u jego rodziców. Rodzice często ich zapraszali; matka uwielbiała Erykę - i to tak bardzo, że zanim jeszcze przystąpili do głównego dania, trzykrotnie napomknęła o ślubie. Najlepiej, żeby się odbył na Boże Narodzenie.

Podczas posiłku Cameron rozważał w myślach tę możliwość. Spotykał się z Eryką od ponad roku, mieli więc czas, żeby się dość dobrze poznać. Byli seksualnie dobrani, nie nudzili się z sobą, pochodzili z podobnych środowisk, mieli wiele wspólnych upodobań. Lubił Erykę, była naprawdę sympatyczną dziewczyną. Zawsze chętnie zgadzała się na wszystkie jego propozycje, nigdy się nie kłóciła. Anioł - tak najczęściej o niej mówiono. Złociste loki i twarz w kształcie serca sprawiały, że nawet jak anioł wyglądała.

A poza tym umiała świetnie gotować i kochała dzieci. Zobacysz, będzie doskonałą żoną, powtarzała synowi Prudence Hathaway.

Przyznawał matce rację. Wiedział, że Eryka potrafiłaby uszczęśliwić każdego mężczyznę. Więc skąd jego rozterki? Dlaczego ciągle się wahał?

Słuchając, jak narzeczona wyjaśnia nowe podejście do nauki czytania, ze zdziwieniem uświadomił sobie, że jego zainteresowanie Eryką wygasło. Owszem, jest miła, może nawet za miła, za chętna, za uległa. Podejrzewał, że dlatego tak bardzo przypadła do gustu matce. Próbował sobie wyobrazić Erykę w Rockland. Nie potrafił; Eryka i jego wymarzony dom jakoś do siebie nie pasowały.

- Co się z tobą dzieje? - spytał ojciec, kiedy kobiety udały się do łazienki, by przypudrować nos. - Bujasz w obłokach, a Erykę traktujesz, jakby była paprotką w doniczce.

- Przepraszam, tato. Faktycznie myślami jestem gdzie indziej. - Odłożył widelczyk na talerz. - Właściwie mogę ci powiedzieć, bo prędzej czy później i tak o tym usłyszysz. W przyszłym tygodniu mam się spotkać z Lauren, z jej architektem i generalnym wykonawcą.

Clayton Hathaway odchylił się na krześle.

- W sprawach służbowych, mam nadzieję?

Wystarczyłoby zwykłe „tak”, ale wystarczyłoby na tydzień, może na miesiąc. Na Harmony bowiem sprawdzało się stare przysłowie, że prawda jak oliwa zawsze na wierzch wypływa.

- Nie - odparł Cam. - Będą omawiać plany dotyczące wnętrza domu. To nie podlega moim kompetencjom, ale uznałem, że warto posłuchać, doradzić...

Twarz ojca - jak należało się spodziewać, bo działo się to za każdym razem, gdy Cameron wspominał o Lauren lub jej rodzinie - przybrała odcień karmazynowy. Tak samo było wczoraj, kiedy powiedział ojcu, że Lauren chce podarować dom matce.

- Zgodziłeś się jej pomóc? - W głosie Clayтона pobrzmiwało niedowierzanie.

- Będę miał wpływ na ostateczny kształt domu, nie wydając na to własnych pieniędzy.

- Wcale mi się to nie podoba - rzekł ojciec i zaklął cicho pod nosem.

- Wiedziałem, że tak będzie. Dlatego nic ci wcześniej nie mówiłem. - I faktycznie, podczas kolacji na zmianę myślał to o reakcji ojca, to o swoich uczuciach do Eryki.

- Pewnie wiesz, co robisz. Ale bądź ostrożny.

- Dobrze, tato.

- Swoją drogą, mógłbyś poświęcić trochę więcej uwagi swojej narzeczonej.

Cały tydzień dziewczyna pilnie uczęszcza na kursy, potem przyjeżdża na weekend, a ty...

Cameron poczuł wyrzuty sumienia. Istotnie, zaniedbywał Erykę, i to nie tylko dzisiejszego wieczoru. Był tak zajęty licytacją, posiedzeniami rady oraz zbieraniem materiałów do książki, nad którą obecnie pracował, że od dobrych dwóch miesięcy traktował narzeczoną jak kulę u nogi. Może to była jego, a nie jej wina, że ich związkowi brakowało świeżości, romantyzmu.



- Postaram się, tato.

Starał się do samego końca wieczoru. Odprowadziwszy Erykę do domu, stał w mrocznym korytarzyku, całując ją na dobranoc.

- Może wejdiesz? - spytała z nadzieją w głosie. Powinienem, pomyślał. Minęło już tyle czasu...

- Chętnie.

Kiedy byli w środku, ponownie wziął ją w ramiona i zaczął całować. Jak zawsze, Eryka zareagowała z entuzjazmem. To, że miała duży temperament, stanowiło jedną z jej niewątpliwych zalet. Pocałunek się jednak skończył, a Cameron nadal nic nie czuł. Żadnej iskry, żadnego podniecenia, żadnego zainteresowania. Postanowił spróbować jeszcze raz - może za słabo się przykładał? Oddychając szybko, Eryka pociągnęła go w stronę kanapy. Po chwili, dysząc z podniecenia, zaczęła rozpinąć mu pasek u spodni. On w dalszym ciągu nie czuł nic.

- To nie ma sensu - rzekł, delikatnie ją odpychając. - Nie mogę.

- Co? - spytała, bardziej zmieszana niż urażona.

- Przykro mi. - Usiadł. - Jestem wypompowany.

- Och, mój biedaku. - Pogładziła go po włosach. - Możemy zwolnić tempo...

- Nie. - Odsunął się. - Nic by z tego nie wyszło. - Pocieszał się, że przynajmniej jej nie okłamuje. Naprawdę był wypompowany; próbował wskrzesić w sobie ogień pożądania, niestety bezskutecznie. - Wynagrodzę ci to... w następny weekend.

- A może by tak jutro?

- Obiecałem Fredowi, że pojedę z nim po meble - odparł, usiłując zagłuszyć wyrzuty sumienia. Poderwawszy się na nogi, zaczął chować koszulę z powrotem do spodni. - Przepraszam cię.

- W porządku. - Mimo malującego się na twarzy rozczarowania, uśmiechnęła się słodko i odprowadziła Camerona do drzwi. - Wyśpij się dobrze.

- Obiecuję.

- I śnij o mnie! - zawołała, kiedy szedł do samochodu.

- Obiecuję.

Starał się spełnić obie obietnice, jednak w obu wypadkach poniósł klęskę. Była trzecia nad ranem, gdy wreszcie zmorzył go sen, ale osoba, którą widział przed

oczami, miała włosy o barwie miedzi i mieszkała w wielkim starym domu nad brzegiem morza.

## *Rozdział 9*

Joe Giancomo wrócił na wyspę w niedzielę po południu, przywożąc furgonetkę pełną narzędzi oraz trzech pracowników. Architekt Brian King przyleciał samolotem dwie godziny później. Cała piątka urządziła sobie na poddaszu miejsce do spania, w jadalni ustawiono na kozłach długą deskę, tworząc wygodny stół. Nagle cudowna oaza spokoju przeistoczyła się w gwarny dom.

W poniedziałek dołączył do nich Cameron.

Lauren oczekiwała jego przybycia z dużym niepokojem. Czy będzie zadzierał nosa? A może okaże się laikiem i swoimi uwagami wzbudzi niechęć pozostałych? Oczywiście, nie miała żadnych złudzeń, co się kryje za jego ofertą pomocy. Jak sam powiedział, im szybciej rozpocznie się remont, tym prędzej zabraknie jej pieniędzy. Pomagając jej, przyspieszał ten proces. Oby tylko nie dawał złych rad i nie narażał jej na zbędne koszty.

Cameron zjawił się ubrany w dżinsy, które ciasno opinały mu biodra, i oliwkową koszulę, podkreślając szerokość jego ramion. Był świeżo ogolony i uczesany. Przyglądając mu się, natychmiast przypomniała sobie ich pocałunek na dachu werandy.

- Dzień dobry - rzekł z uśmiechem.

Odetchnęła z ulgą. Nic nie wskazywało na to, że chwila słabości i zapomnienia, jakiej ulegli w sobotni poranek, wywarła na Camie trwałe wrażenie. Najwyraźniej przeszedł nad wszystkim do porządku dziennego.

- Wejdz - powiedziała. - Joe i Brian są z tyłu na werandzie. Zaraz ich zawołam.

Wkrótce okazało się, że niepotrzebnie się o cokolwiek martwiła. Cameron nie zadzierał nosa, nikogo nie krytykował ani nie pouczał. Siedząc przy prowizorycznym stole przykrytym papierowym obrusem, na którym stały pączki i kawa, zachowywał się uprzejmie i skromnie. Po paru minutach zdawkowej rozmowy, kiedy wszyscy

usiłowali się choć trochę wyczuć i poznać, Lauren zaproponowała, aby przeszli do rzeczy.

- Uważam, że powinniśmy wyznaczyć sobie jakąś cezurę. Mnie osobiście odpowiada rok 1890. Chciałabym usunąć wszystkie dodane po tym czasie elementy i unowocześnienia. Mam nadzieję - popatrzyła na Cama - że nie jesteś bardzo zawiedziony? Pewnie wolałbyś wcześniejszą datę, ale serce by mi pękło, gdybym musiała zrywać tę piękną dębową posadzkę.

Potrząsnął głową.

- Nie, nie. Rok 1890 też mi w zupełności odpowiada.

Widziała jednak w jego oczach znużenie i brak wiary w to, że ona, Lauren DeStefano, dotrzyma słowa.

Podniosła notes, długopis i wstała od stołu.

- Zaczniemy od frontu. Od drzwi wejściowych.

Cztery godziny później, gdy ponownie zebrali się przy stole, by coś zjeść, nie mogła wprost uwierzyć w zmianę, jaka we wszystkich zaszła. Dołączyli do nich trzej pomocnicy Joego, którzy cały ranek pracowali na zewnątrz.

Cameron sprawiał teraz wrażenie znacznie bardziej rozluźnionego niż na początku. Lauren uśmiechnęła się; potrafiła dokładnie wskazać moment, kiedy napięcie z niego odpłynęło. Było to wtedy, gdy poprosiła Joego, by zrekonstruował wewnętrzne okiennice. Oczywiście kilka razy się starli. Na przykład Cameronowi nie podobał się pomysł zburzenia ściany między kuchnią a jednym z przyległych do niej pokoi.

- Po co ci druga jadalnia? - zdenerwował się. - Jedna ci nie wystarczy? Przecież jest ogromna! A poza nią masz jeszcze dwa salony!

- One są idealne dla gości, Cam. A mama będzie potrzebowała własnego kąta, gdzie mogłaby zjeść w spokoju, posiedzieć, odpocząć. I właśnie ten pokój przy kuchni i łazience jest po prostu w sam raz.

- Ale musiałybyś zburzyć ścianę! - zawołał z przerażeniem.

- To prawda - przyznała, zachęcona poparciem, które dostrzegła w spojrzeniu architekta. - Domy są dla ludzi, nie ludzie dla domów.

- Ale ta ściana... stoi tu od samego początku!

- I co z tego? Po pierwsze, nie jestem niewolnicą historii, a po drugie, Isabel by to nie przeszkadzało.

- Skąd wiesz? - Kąciki ust mu drgnęły. - Pytałaś ją?

- Nie musiałam, sama mi powiedziała - odparła rozbawiona, ze zdziwieniem zdając sobie sprawę, że nawet kiedy się kłóca, nie ma między nimi dawnej wrogości.

Brian i Joe poparli Lauren, więc chcąc nie chcąc, Cameron przestał się sprzeciwiać. Od tej chwili podsuwał im pomysły, jak najlepiej zintegrować tę nową przestrzeń z resztą domu.

Patrząc na prowizoryczny stół i siedzących wokół niego mężczyzn, Lauren uświadomiła sobie, dlaczego - pomimo ogromnego ryzyka - zaprosiła Camerona do wzięcia udziału w dzisiejszej sesji. Po prostu pokochała ten dom i zamierzała dołożyć wszelkich starań, by jak najwierniej go odtworzyć. Żeby osiągnąć cel, musiała otoczyć się fachowcami. Potrzebowała pomocy Camerona, jego wiedzy, rad i sugestii. Miała do niego zaufanie. Może życzył jej źle, może wolałby, aby jej się nie powiodło, ale wiedziała, że na pewno nie uczyni nic, co mogłoby zaszkodzić odbudowie Rockland.

- Facet ma anielską cierpliwość - mówił o stolarzu, którego polecił Joemu. - Jest idealny do takich żmudnych prac.

- Skontaktuję się z nim - odparł Joe, chowając do kieszeni kartkę z nazwiskiem i numerem telefonu.

Cameron podziękował za lunch, wytarł serwetką usta i odsunął krzesło.

- Już idziesz? - spytała Lauren, próbując ukryć zawód.

- Obawiam się, że muszę - rzekł, po czym zwracając się do Briana, dodał: - Jeżeli chcesz obejrzeć jacht, wpadnij później na przystań. Będę tam do wieczora.

- Dobra. Wpadnę na pewno.

Lauren odprowadziła Camerona do samochodu.

- Dzięki, że przyszedłeś.

- Cała przyjemność po mojej stronie - odparł. - Miło spędziłem rano.

Skinęła z uśmiechem głową.

- Uwielbiam takie twórcze spotkania, kiedy powietrze aż iskrzy się od pomysłów.

- Porządnych dobrałaś sobie fachowców - pochwalił ją. - Sprawiają wrażenie bardzo kompetentnych.

- I tacy są. - Przygryzła wargi. - Nie masz mi za złe kuchni? Zburzenia ściany?

- Jakoś to przeboleję. Ale tylko dlatego, że poza tym jednym głupim pomysłem miałaś kilka naprawdę świetnych.

- A widzisz? Zaskoczyłam cię! - Dźgnęła go palcem w brzuch.

Przytrzymał jej rękę.

- Na razie wstrzymam się z opinią - oznajmił z uśmiechem.

Chciała coś powiedzieć, zażartować, ale nie była w stanie; cały czas myślała o swojej ręce przyciśniętej do jego brzucha i o tym, że ten brzuch, twardy i ciepły, poruszał się rytmicznie przy każdym oddechu. Po chwili Cameron puścił ją i otworzył drzwiczki. Najwyraźniej nie targały nim te same pragnienia co nią. Och, ty niemądra, zganiała się w duchu.

- Zajrzysz jutro? - spytała.

- Tak. Joe chce omówić szczegóły dotyczące elewacji.

- A pojutrze?

- Na pewno nie przeszkadza ci moja obecność?

- Na pewno.

- To dobrze. Bo Brian wspomniał, że ma jakiś program graficzny, który może mnie zainteresować.

- A propos programów. Mogłabym wpaść do ciebie i nauczyć cię obsługi nowego komputera.

Zdziwiony, uniósł brwi, a ona usłyszała w głowie cichy głos: uganiaś się za nim. Nonsens, odpowiedziała sama sobie; bo co by było, gdybym go złapała?

- Przypuszczam, że na tym polega problem - dodała. - Że nie umiesz się nim posługiwać i dlatego go nie lubisz.

- Nawet nie potrafię draństwa uruchomić. Ale nie szkodzi. Mogę pracować na starym sprzęcie...

- To dla mnie żaden kłopot. Naprawdę. Zresztą wyświadczysz mi wielką przysługę. Nie lubię być nikomu nic dłużna, a w ten sposób odpłacę ci za twoją pomoc.

Roześmiał się pod nosem.

- Z czego się śmiejesz?

- Z tego, że jeszcze tydzień temu skakaliśmy sobie do oczu, a teraz prześcigamy się w uprzejmościach.

- Zawsze mówiłam, że darcie kotów jest piekielnie męczące.

- W dodatku potwornie nudne. - Westchnął głęboko. - No dobrze. Masz czas w środę rano?

- Jasne.

Wsiadł do auta, włączył silnik i pomachał Lauren na pożegnanie, ruszył w stronę portu.

Kilka następných dni minęło na wytężonej pracy. Najpierw na wyspę przyleciał elektryk, z którym Joe stale współpracował, a potem zjawił się hydraulik, którego polecił im Cameron. Brian przygotowywał szkice łazienki i kuchni. Na zewnątrz ustawiono rusztowania, by ekipa mogła przystąpić do czyszczenia i wyrównywania ścian. A jakby tego było mało, trzygodzinną wizytę złożył Lauren miejscowy inspektor budowlany.

Gdyby przypuszczała, że będzie tak zajęta, nie oferowałaby pomocy przy komputerze, przynajmniej nie w środę. Nie żałowała jednak swej decyzji. Najpierw zainstalowała program i pokazała Cameronowi, jak się go używa, a potem wybrali się na plażę. Od południowej strony wyspy fale zawsze były największe; w szortach i bluzce - bo kostiumu nie wzięła - Lauren pływała i nurkowała, śmiejąc się radośnie. Cztery godziny później wróciła do Rockland i ponownie rzuciła się w wir pracy.

Widok uśmiechniętej twarzy Cathryn, która nieoczekiwanie zastukała do jej drzwi w czwartek wieczorem, ucieszył ją niepomiernie. Nalała sobie i przyjaciółce po kieliszku wina, po czym zaproponowała, aby wyszły przed dom, póki jeszcze świeci słońce.

- Co słyhać w twoim zakątku świata? - spytała Cathryn, gdy wędrowały trawnikiem w stronę urwiska.

- Praca, praca, praca. Prowadzenie interesów przez faks, telefon i Internet jest znacznie bardziej czasochłonne, niż sądziłam. Ale nie narzekam. Na szczęście mogę polegać na siostrach, które mnie zastępują.

- A mama?

- Wciąż myśli, że jestem gdzieś w Massachusetts.

- No a tu? - Cathryn wskazała ręką dom. - Co się dzieje?

- Na razie robimy szkice, plany, kosztorysy, składamy podania, występujemy o zgody i tak dalej. Zmudne wstępne czynności. Marzę o tym, żeby wreszcie zaczął się prawdziwy remont. Czekanie mnie wykańcza.

Cathryn przyjrzała się jej z z troskaniem.

- To widać. Jesteś blada, masz podkrążone oczy...

- Stale odkrywamy coś nowego, co trzeba naprawić. - Lauren westchnęła głośno. - Wstępne kosztorysy są już dawno nieaktualne. Cały ten remont pochłonie sporo więcej, niż zakładałam.

- Nie chcę ci zaglądać w kieszeń, ale... poradzisz sobie?

- A mam wybór?

Usiadły na zalanej słońcem ławce i odstawiły na moment kieliszki. Na wprost siebie miały południową ścianę domu; opadające na zachodzie słońce barwiło na ciepły złocisto-czerwony odcień sześć okien na piętrze.

- Może byłoby ci łatwiej, gdybyś wyznaczyła sobie inny termin. Niekoniecznie na Boże Narodzenie.

- Właśnie go zmieniłam. Teraz planuję skończyć na Święto Dziękczynienia.

- Co? Chyba upadłaś na głowę!

- Nie. Pomyślałam sobie, że te dwa czy trzy tygodnie poprzedzające Boże Narodzenie są najsympatyczniejsze. Chodzą kolędnicy, odbywają się koncerty, festyny... Chciałabym, żeby mama mogła się tym nacieszyć.

- W pewnym sensie masz rację. W dodatku to wielki dom. Potrzeba ci będzie choćby paru dni, żeby go świątecznie przystroić. - Cathryn pociągnęła łyk wina i wyciągnęła przed siebie nogi. - A gdybyś na razie zrobiła tylko te pokoje, w których się będzie mieszkało? Inne możesz dokończyć później.

- W ostateczności. Wolałabym mieć całość gotową.

- W każdym razie, gdybyś potrzebowała pomocy, zawsze możesz na mnie liczyć.

- Dzięki, Cath. - Na usta Lauren wypłynął uśmiech. - Ale nie przejmuj się, poza problemami miewam też w życiu drobne przyjemności. Oglądam katalogi, wybieram różne... - Urwała. - Wiesz, że można kupić wannę w kształcie muszli, wyposażoną w specjalne urządzenia i natryski, które masują ciało?

- Serio?

- Drogie to jak cholera, ale pomyśl, co za frajda!

- Zwłaszcza jeśli podczas kąpieli towarzyszy ci jakiś miły, dobrze zbudowany przystojniaczek.

Wybuchnęły śmiechem. Po chwili zapadła cisza, a one siedziały pogrążone w myślach, wsłuchując się w cykanie świerszczy i jednostajny szum fal. Wreszcie Cathryn nie wytrzymała.

- Przyznaj się. Co jest między tobą a Cameronem?

- Nic.

- Nic? Stale się tu kręci.

- Służy mi radą. Pomaga.

- I to wszystko?

- Tak. Ma bzika na punkcie tego domu, więc stara mi się pomagać, żebym narobiła jak najmniej szkód.

Cathryn skrzywiła się, wyraźnie zawiedziona.

- Cath, nie wygłupiaj się. Pomijając wszystko inne, facet ma narzeczoną.

- Wiem, ale... Stanowiliście taką cudowną parę. Nawet jako dzieci. Byliście dla siebie stworzeni.

- Chyba jednak nie...

Oparłszy się wygodnie o ławkę, patrzyły na dom. W oknach już nie odbijały się promienie słońca; niebo przybierało odcień szarości,

- Ciekawe, jak zareagowała wiedźma Pru-Pru, kiedy dowiedziała się, że jej ukochany synuś służy ci radą?

Lauren roześmiała się cicho. Zapomniała o tym, że przed laty właśnie w ten sposób przeżywała znienawidzoną przez siebie Prudence Hathaway.

- Nie wiem. I prawdę mówiąc, nic to mnie nie obchodzi. Po prostu cieszę się z pomocy Cama. Wiesz, że na jednej ze ścian odkrył fragmenty oryginalnej tapety?



Znalazł też... - mówiła z rosnącym przejęciem - kolczyk, który naszym zdaniem należał do Sophronii Peavy.

- A kimże jest Sophronia Peavy?

- Osiemdziesiąt lat temu była właścicielką Rockland.

- Rozumiem. - Cathryn odchyliła głowę, spoglądając na gwiazdy, które powoli zapalały się na niebie. - Ma taki zmysłowy, łobuzerski uśmiech, nie sądzisz?

- Kto? - spytała Lauren. Przyjaciółka kopnęła ją w kostkę.

- Nie udawaj, że nie wiesz.

- No dobrze. Owszem, Cam ma niezwykle pociągający uśmiech, który niewątpliwie się podoba Eryce Meade.

- Poznałaś ją?

- Nie.

- Nie masz czego żałować. Jest głupia jak but.

- Tylko tak mówisz, żeby mnie pocieszyć - powiedziała ze śmiechem Lauren.

- Aha! Czyli jednak coś was łączy!

- Absolutnie nic - rzekła Lauren, poważniejąc. - Przestań, Cath, proszę. Wiem, że żartujesz, ale to nie jest śmieszne.

- Masz rację, przepraszam. Jak pomyśle, ile przez niego wycierpiałaś...

Lauren szybko zmieniła temat.

- Wiesz, że odwiedziłam Gertę Dumont?

Opowiedziała Cathryn o wizycie, jaką złożyła dawnej przyjaciółce swej matki, i o przyjęciu gwiazdkowym, jakie wspólnie zaplanowały dla Audrey. Cathryn, zapaliwszy się do pomysłu, zaczęła wymyślać potrawy świąteczne, proponując, że sama chętnie przygotowuje faszerowane pieczarki. Do tematu Camerona już nie wróciły.

I słusznie, pomyślała Lauren. Bo naprawdę nic jej z Camem nie łączy. Zupełnie nic.

Święto Pracy, obchodzone w pierwszy poniedziałek września, zwykle oznaczało na wyspie koniec sezonu turystycznego. W tym roku, ponieważ dopisywała ciepła, słoneczna pogoda, w piątek poprzedzający długi świąteczny weekend wszystkie hotele i pensjonaty były zajęte. W sobotę tłumy turystów wyległy na plaże, zappełniły sklepy z pamiątkami i restauracje. Łodzi i jachtów było tyle, że ruch w

porcie przypominał szosę w godzinach największego szczytu. Na całej wyspie dzieci grały w badmingtona i w baseball, dorośli odpoczywali na kocach lub przy stołach piknikowych, a znad rusztów unosiły się kłęby dymu. Późnym popołudniem bary były przepelnione; goście siedzieli w środku i na zewnątrz, słuchając głośnej muzyki i pochłaniając ogromne ilości piwa.

Jedynie na wzgórzu, na którym stał dom Lauren, panował spokój. Lauren siedziała u siebie w pokoju, nie zwracając uwagi na wpadający przez otwarte okna przytłumiony warkot motorówek. Wszyscy robotnicy wyjechali, by spędzić weekend z rodzinami.

Ona też mogłaby wyjechać, pobyć kilka dni z matką i rodzeństwem, nie chciała jednak zostawić domu bez opieki. Zresztą miała parę nie dokończonych spraw na głowie, choćby projekt nowej, poprawionej wersji podania do rady.

Po raz ostatni przejrzała podanie, sprawdzając, czy niczego nie pominęła. Następnie wsunęła je do dużej brązowej koperty i napisała krótki liścik, w którym prosiła Camerona o wyrażenie opinii na temat tej ostatniej wersji. Podejrzewała, że Cameron będzie zajęty w ten weekend, zwłaszcza że Eryka skończyła kurs i wróciła już na wyspę. Postanowiła, że przejedzie koło jego domu i wrzuci kopertę do skrzynki na listy, a potem zajrzy do miasteczka, wstąpi do paru sklepów. Do tej pory unikała części portowej; nie chciała, żeby się za nią oglądano i wytykano ją palcami, ale dziś nikt jej nie zauważy w tłumie.

Włożyła ulubioną letnią sukienkę z zielonej żorżety, tę samą, w której była na licytacji, uczesała się, umalowała i wyszła z domu. Przejechała zaledwie kilkanaście metrów Water Street, kiedy przed Studium Gardinera spostrzegła Camerona rozmawiającego z właścicielem sklepu. Wprawdzie nie tak dawno temu twierdziła, że nic ją z nim nie łączy, serce jednak zabiło jej mocniej. Nie okłamała Cathryn, rzeczywiście nic ich nie łączyło, ale...

Zwolniwszy, nacisnęła na klakson. Obaj mężczyźni spojrzeli w jej stronę - Gardiner z zaciekawieniem, a Cameron z tak promiennym uśmiechem, że przeszył ją dreszcz.

- Nie odchodźcie! - zawołała. - Tylko zaparkuję...

Zostawiła samochód w wąskiej bocznej uliczce i wróciła tam, gdzie stali. Ignorując Camerona, wyciągnęła rękę do jego towarzysza.

- Pan Fred Gardiner, prawda? - spytała. - Cieszę się, że mam okazję pana poznać.

- Hm. - Gardiner, który jej zdaniem był niesamowicie podobny do aktora Ernesta Borgnine'a, zaczerwienił się po uszy.

- Jestem Lauren DeStefano. Ale pewnie pan to wie... Mężczyzna uśmiechnął się, zerkając na Cama.

- Słyszałam od przyjaciół - ciągnęła - że jest pan człowiekiem, do którego powinnam się udać, kiedy zacznę urządzać dom. - Nigdy dotąd nie korzystała z pomocy projektanta wnętrz i teraz, z powodów finansowych, też nie miała na to ochoty, ale podejrzewała, że Fred może się jej przydać.

- Czuję się zaszczycony. I serdecznie zapraszam do Studia... Swoją drogą, nie myślała pani o tym, żeby zapisać się do Towarzystwa Przyjaciół Harmony?

Cameron pochylił się do niej i wyjaśnił teatralnym szeptem:

- Wszyscy to robią, żeby za darmo korzystać z usług Freda.

Lauren wybuchnęła śmiechem.

- Chętnie bym się zapisała, gdybym miała dłużej zostać na wyspie, ale ponieważ nie planuję przeprowadzki...

Skłamała. Nie interesowała ją przynależność do żadnych stowarzyszeń. Co innego w Bostonie, a co innego na Harmony. Wyspa była nieduża, można więc przypuszczać, że Pru Hathaway należy co najmniej do połowy istniejących tu organizacji.

Fred wydał się zmartwiony.

- Jeśli zmieni pani zdanie, to terminy naszych spotkań drukowane są w „Island Record”. Oj, przepraszam, ktoś właśnie wszedł do sklepu.

Kiedy Fred podążył do środka za potencjalnym klientem, Cameron popatrzył na Lauren z nie ukrywanym zachwytem w oczach.

- Co słyhać?

- Właśnie chciałam ci to wrzucić do skrzynki - odparła, udając sama przed sobą, że to nie jej serce tak głośno bije.

- No, no. Nie próżnujesz.

- Tak, to był pracowity tydzień. Wiele zostało zrobione, ale jestem już dość zmęczona.

Skinął głową.

- To widać.

- Nieładnie bić leżącego.

Śmiejąc się, wziął kopertę i zaczął ją otwierać.

- Och, nie czytaj tego teraz. Jest sobotnie popołudnie. Na pewno masz jakieś plany...

- Żadnych. W czwartek zmarł dziadek Eryki, więc pojechała do Connecticut na pogrzeb. A ty? Dokąd się wybierasz? Jesteś umówiona?

- Nie. - Czują narastające podniecenie. - Miałam zamiar połączyć sobie bez celu.

- Świetnie. Wstąpmy gdzieś na drinka, a przy okazji omówimy podanie.

Ujął ją pod łokieć i ruszył w stronę mieszczącej się nieopodal „Mosiężnej Kotwicy”. Zajęli stolik za przepierzeniem i zamówili po piwie. Dopijali drugie, kiedy wreszcie skończyli omawiać poprawioną wersję podania. Do tego czasu wszystkie stoliki zostały zajęte, a na niedużej scenie trzyosobowy zespół zaczął stroić instrumenty.

- Koniecznie upieraj się przy nowych oknach - rzekł Cameron, wprawiając Lauren w zdumienie.

- Chcesz mnie narazić na kolejną zwłokę? Popatrzyl na nią urażony.

- Skądże. Zresztą potwierdzą, w jak oplakany stanie są te obecne. Tylko pamiętaj, to muszą być tradycyjne okna, normalnie otwierane. Żadnych udziwnień.

- Wiem. Najlepiej weneckie. Coś jeszcze?

- Nie. Teraz rada nie powinna mieć żadnych zastrzeżeń. Wiesz, Lauren, jeśli uda ci się dokonać tego, co tu proponujesz, będziesz miała naprawdę wspaniały dom.

Kamień spadł jej z serca.

- Dopracuję to stylistycznie i na początku tygodnia podrzucę ci do biura. - Wsunęła kopertę do torebki, a torebkę przewiesiła przez ramię. - Dzięki za pomoc - powiedziała, wstając. - I przepraszam, że zajęłam ci tyle czasu.

Cameron również wstał.

- Odprowadzę cię do samochodu.

Na dworze zdziwiła się, że niebo tak bardzo pociemniało. Z każdym dniem słońce zachodziło coraz wcześniej. Nagle przyłożyła rękę do gardła; miała wrażenie, jakby coś utkwilo jej w przetyku, utrudniając oddychanie.

- Co ci jest? - spytał Cameron.

- Pewnie mi te dwa piwa zaszkodziły.

- I życie w ciągłym stresie. - Pokręcił z niezadowoleniem głową. - Czym się tak martwisz? Remontem?

- Trochę - przyznała. Już miała zwierzyć się Cameronowi ze swych kłopotów finansowych, czego, jak wiedziała, absolutnie nie powinna robić, kiedy z parku koło przystani promowej dobiegła ją muzyka. - Co się tam dzieje? - spytała zaintrygowana.

- Jest sobota wieczór... - odparł takim tonem, jakby to wszystko wyjaśniało.

- Tańce na nabrzeżu? Wciąż są organizowane?

- Nie wiedziałaś?

- Nie. - Cały czas siedziała w Rockland, żyjąc własnymi sprawami.

- Przez kilka lat zainteresowanie słabło, ale w tym roku impreza znów ożyła.

Dziś powinno być tłoczno.

Lauren wyteżyła słuch.

- Co to za dziwna muzyka?

- Kowbojska. Od paru lat cieszy się tu dużą popularnością. Nawet powstał klub miłośników tańców kowbojskich, którzy w sobotnie wieczory występują w parku. Należy do niego też twoja przyjaciółka, Cathryn McGrath.

- Cathryn? Ta, co ma dwie lewe nogi? Muszę to zobaczyć! - Zamaszystym krokiem ruszyła przed siebie. W połowie jezdni przypomniała sobie o Cameronie; obejrzała się, żeby mu pomachać na do widzenia, ale okazało się, że depcze jej po piętach. - Ojej, nie musisz mi towarzyszyć.

- Tak łatwo się mnie nie pozbędziesz. - W jego oczach migotały wesołe iskierki.

Powinna była pomyśleć o konsekwencjach. Powinna była poskromić ciekawość i wrócić do samochodu. Zamiast tego wzruszyła jedynie ramionami i rzekła:

- Rób, jak chcesz. Nie mam prawa ci niczego zabraniać.

## Rozdział 10

W parku roiło się od ludzi, zarówno wyspiarzy, jak i turystów. Za jej czasów głównie przychodziła młodzież, ale teraz widziała w tłumie osoby starsze, a także rodziny z małymi dziećmi. Jedni kręcili się przy straganach z jedzeniem, inni siedzieli na kocach lub składanych krzeselkach, słuchając muzyki i obserwując występy.

Lauren natychmiast rozpoznała Cathryn. Przyjaciółka, ubrana w kolorową, suto marszczoną spódnicę, która na pewno nie odejmowała jej kilogramów, jak zwykle myliła kroki. Ale mimo to bawiła się doskonale. Kiedy muzyka ucichła, tancerze ukłonili się, a zachwycona publiczność nagrodziła ich występ gromkimi brawami. Najmocniej ze wszystkich klaskała Lauren; po chwili włożyła dwa palce do ust i zagwizdała tak głośno, że kilka stojących obok osób aż podskoczyło.

- Nie poznaję cię - rzekł Cameron, patrząc na nią spod oka.

Tancerze zeszli ze sceny; kiedy wmieszali się w tłum, Lauren skierowała się do wyjścia.

- Nie chcesz się przywitać?

Chciała, ale wolała nie stawiać ani jego, ani siebie w niezręcznej sytuacji. Po chwili jaskrawe światła na scenie przygaszono, włączono kolorowe światełka na drzewach... W pamięci Lauren odżyły dawne czasy, kiedy to, łamiąc zakazy rodziców, spotykali się z Camem potajemnie na tańcach. Cameron, jakby czytając w jej myślach, pokiwał głową. Ruszyli w stronę bramy - i niemal zderzyli się z Julią oraz Benem.

Lauren jęknęła w duchu. Los postanowił z niej zadrwić, wystawić ją na pośmiewisko. Źle jednak oceniła swych przyjaciół. Nikt się nie wyśmiewał, nikt z nikogo nie drwił.

- Co tu robicie? - spytała Julia, nie kryjąc zaskoczenia.

Lauren wyjaśniła, że spotkali się przypadkiem, gdy jechała zostawić Camowi w skrzynce projekt swego podania, a potem wstąpili do baru i omówili wszystko na miejscu. Julia o nic więcej nie pytała. Cathryn też nie, kiedy w końcu do nich dołączyła, choć widać było, że pęka z ciekawości. Próbując odwrócić od siebie uwagę, Lauren pochwaliła przyjaciółkę:

- Świetnie sobie radziłaś, Cath. Dlaczego mi nic nie wspomniałaś o swoich zdolnościach tanecznych?

Cathryn miała policzki czerwone jak dwa dojrzałe jabłka. Po chwili do grupy przyjaciół doszedł jej mąż, Dylan, który obserwował tańce z dziećmi i teściami. Przez parę minut rozmawiali z ożywieniem, po czym Julia przeprosiła wszystkich, mówiąc, że wzywają ją obowiązki.

- Ale nie odchodź, Lauren - poprosiła. - Za dwadzieścia minut będę z powrotem. Koniecznie chcę usłyszeć o twoim nowym domu.

Lauren zerknęła niepewnie na Cama. Rozmawiał z Benem o mających się odbyć jesienią wyborach.

- No dobrze - zgodziła się.

- Skoro tak - powiedziała Cathryn - to poproszę mamę, żeby wzięła dzieci, i my z Dylanem też zostaniemy. - Oddaliła się pośpiesznie, wypatrując w tłumie swych rodziców.

Jak się Lauren wkrótce przekonała, Julia była doskonałym didżejem; to dzięki niej tańce w parku stały się tak popularne. Puściwszy kilka szlagierów z lat sześćdziesiątych, wprowadziła ludzi w taneczny nastrój, po czym przekazała mikrofon swemu kilkunastoletniemu pomocnikowi.

Ku niezadowoleniu Lauren, Cameron w dalszym ciągu dyskutował z Benem i nic nie wskazywało na to, że zamierza wrócić do domu. Julia zeszła ze sceny, kręcąc rytmicznie biodrami i nie zważając na to, że mąż zajęty jest rozmową, wzięła go za rękę i pociągnęła na parkiet. Lauren posłała Cathryn błagalne spojrzenie, aby przypadkiem nie zrobiła tego samego z własnym mężem. Cathryn mrugnęła do niej porozumiewawczo.

- Chodź, przystojniaku - powiedziała, biorąc pod ramię Camerona. - Zatańcz ze mną.

Nie całkiem o to Lauren chodziło, ale cóż... Po chwili ona i Dylan przyłączyli się do reszty. Tańczyli w kółku, nic jej nie groziło, mimo to czuła się spięta. Rozglądała się wkoło, pewna, że połowa ludzi w parku ją obgaduje. Cameron też sprawiał wrażenie spiętego.

Początkowo była zła na przyjaciół, że postawili ją w tak niezręcznej sytuacji, lecz potem zobaczyła, jak cudownie się wszyscy bawią, i ogarnęła ją złość na plotkarzy. W końcu jednak zrozumiała, że nikt na nią nie patrzy i nie plotkuje, że wyobraźnia płata jej figła, a nawet jeśli faktycznie ludzie plotkują, to co z tego? Nie zamierzała się tym przejmować. Miała prawo tu być, tańczyć z przyjaciółmi, miło spędzać wieczór.

Wkrótce udzieliła się jej radosna atmosfera, napięcie ją opuściło. Po paru minutach wraz z innymi szalała na parkiecie, wesoła, odprężona, roześmiana. Niestety, wszystko co dobre, szybko się kończy. Didżej puścił wolny kawałek. Julia i Cathryn zerknęły na nią przepaszająco i zaczęły tańczyć ze swymi mężami. Lauren znów ogarnął dziwny niepokój. Cameron stał gdzieś z boku. Nie widziała go, ale czuła jego obecność. Po chwili naprawdę go poczuła - jego oddech na swojej szyi, dotyk jego ręki na plecach.

- Zatańczysz? - spytał.

- One tego nie zaplanowały - powiedziała.

- Nieważne. - Objął ją lekko w pasie. - Doskonale się bawię. A ty nie?

Rozmawiali o dużej rozpiętości wieku obecnych w parku ludzi, o świetnym nagłośnieniu i o tym, czy zgodnie z zapowiedzią meteorologów w poniedziałek spadnie deszcz. A potem tańczyli w milczeniu, grzecznie, przykładowo, zachowując między sobą przepisową odległość. Lauren spostrzegła Julię i Bena, przytulonych, zakochanych, pogrążonych we własnym świecie. A nieco dalej Cathryn i Dylana, którzy również tańczyli przytuleni.

- O czym myślisz? - Głos Camerona wyrwał ją z zadumy.

- Kiedy miałam kilkanaście lat - rzekła, patrząc na kołnierz jego koszuli - właśnie tak wyobrażałam sobie moje życie. Że mieszkam na Harmony, że bywam na takich imprezach jak dzisiejsza, że nadal przyjaźnię się ze szkolnymi przyjaciółkami. - Z trudem przełknęła ślinę. - Czasem marzenia się spełniają...

- Jedne się spełniają, a inne nie. - Utkwił w niej wzrok, jakby chciał jej przypomnieć, że kiedyś mieli wspólną wizję przyszłości, i że w tej wspólnej wizji byli małżeństwem.



- Byliśmy za młodzi, Cam - szepnęła. - Musielibyśmy chodzić ze sobą jeszcze kilka ładnych lat, zanim byśmy się pobrali.

- Wiem. - Na jego twarzy pojawił się dziwny wyraz. Czyżby żalu? - I pewnie byśmy się wcześniej rozstali.

Pewnie tak, pomyślała. Chociaż niekoniecznie. Ponownie skierowała spojrzenie na McGrathów. Cathryn zaczęła spotykać się z Dylanem, kiedy miała piętnaście lat.

- Ich sytuacja była całkiem inna - powiedziała, widząc, że Cameron też na nich patrzy. - Dylan jest starszy. Nie musieli tak długo czekać.

- Rodziny nie czuły do siebie wrogości.

- Cathryn nie zaszła w ciążę.

- Wszystko się przeciwko nam sprzysięgło.

- To prawda. Widocznie małżeństwo nie było nam pisane. Zmieńmy temat, co?

- Czują, jak dławi ją złość, ale nie była pewna, kto lub co jest jej powodem.

Utwór dobiegł końca, ale większość par pozostała na parkiecie. Po chwili dźwięki muzyki znów wypełniły powietrze.

- Zatańczymy strzemiennego?

Strzemiennego? Już koniec?

- Chętnie - odparła z ulgą, a zarazem z żalem.

Położyła rękę na jego ramieniu, on przysunął brodę do jej skroni. Tak lepiej, pomyślała; nie musieli na siebie patrzeć ani czuć obowiązku prowadzenia rozmowy. Cały czas świadoma była bliskości Camerona: zapachu jego wody kolońskiej, dotyku policzka pokrytego jednodniowym zarostem, oddechu, który łaskotał ją w ucho. Starła się myśleć o innych rzeczach, na przykład o Eryce, ale to nie pomagało.

Odchyliła nieco głowę i utkwiała wzrok w twarzy mężczyzny, z którym tańczyła, usiłując odgadnąć, o czym myśli. On też przyglądał się jej z powagą i namysłem, jakby próbował przeniknąć ją na wylot. Kiedy przytulił ją odrobinę mocniej, w jej głowie rozległ się sygnał alarmowy. Zignorowała go. Ich ciała promieniowały żarem. Powoli zaakceptowali nieuniknione. Dystans między nimi zniknął. On delikatnie pogładził brodą jej policzek, ona zbliżyła palce do jego szyi. Czują się jak pływak, który nabiera powietrza, a potem znów idzie na dno. Starła się utrzymać na powierzchni, ale prądy i wiry były zbyt silne...

Światła na drzewach zlewały się, ludzie na parkiecie wydawali się zamazani, jakby widziała ich przez tafelę wody. Zamknęła oczy i oparła głowę na ramieniu Camerona. Gdy poczuła na policzku lekkie muśnięcie jego warg, wtuliła się w niego jeszcze mocniej. Wtem muzyka ucichła. Przez chwilę stali złączeni w uścisku, chcąc, by ten moment trwał jak najdłużej. Potem jednak odsunęli się od siebie, wracając na ziemię.

- Powinnam jechać do domu.

- Odprowadzę cię do samochodu.

Opuściwszy razem parkiet, ruszyli trawnikiem w kierunku bramy.

Towarzyszyła im jakaś romantyczna melodia, którą wkrótce zagłuszyły dźwięki jazzu wypływające z „Mosiężnej Kotwicy”. Czy naprawdę minęło zaledwie kilka godzin, odkąd stąd wyszli?

- Wiesz co? Pojadę za tobą. W ten sposób dopilnuję, żebyś dotarła bezpiecznie...

- Dzięki, nie trzeba.

- Wszyscy twoi pracownicy wyjechali na weekend, a dom stoi na uboczu...

Wzruszyła ramionami. Wiedziała, że jeżeli cokolwiek jej grozi, to raczej ze strony dawnego kochanka. Wyjęła kluczyk, ale zanim zdołała włożyć go do zamka, Cameron oparł się o drzwi.

- Poczekaj, Lauren. Musimy porozmawiać.

- O czym? Obrócił ją do siebie.

- O tym, co czuliśmy w tańcu.

- Lepiej o tym zapomnij - rzekła, przełykając ślinę.

- Nie mogę.

Rozejrzała się. Byli sami; ludzie spacerowali po Water Street, ale tu, na bocznej uliczce, gdzie zaparkowała samochód, poza nimi dwojgiem nie było nikogo.

- Lauren, odkąd przyjechałaś na wyspę, oboje próbujemy coś w sobie stłumić. Już nie mam siły... - Zacisnął dłonie na jej ramionach, chcąc przyciągnąć ją bliżej.

- Nie, Cam. - Oparła się rękami o jego klatkę piersiową.

- Co nie? Nie próbujemy stłumić w sobie pożądania? Czowała się uległa, bezradna; nie potrafiła się sprzeciwić.

- Nie zastanawiałaś się, jak by to było teraz, kiedy już nie jesteśmy dziećmi? -

Głos miał głęboki, zmysłowy.

Skinęła głową. Oczywiście, że się zastanawiała.

- Zatem... - Objął ją w pasie i przytulił do siebie.

Jęknęła cicho, nie protestując, kiedy czubkiem palca uniósł jej brodę i przywarł ustami do jej ust. Nie powinniśmy, pomyślała; nie powinniśmy. Ale po chwili zamknęła oczy i było jej najzupełniej obojętne, co powinni, a czego nie powinni.

Pocałunek, jaki ich połączył parę dni temu na dachu werandy, był słodki i niewinny. Ten dzisiejszy trwał znacznie dłużej. Nie spieszyli się. Powoli rozkoszowali się sobą, przypominali sobie zapomniane smaki, dotyki, wrażenia...

- Nareszcie - wyszeptał Cameron, odchylając lekko głowę.

Nareszcie, powtórzyło z radością jej serce. Ale sumienie i rozsądek wzięły górę.

- Źle robimy, Cam.

- Może, ale co z tego? - spytał, wsuwając ręce w jej lśniące włosy. - Myśmy jeszcze nie skończyli, Lauren. Ten rozdział naszego życia wciąż jest otwarty. Nie zaznamy spokoju, dopóki nie uporamy się z przeszłością.

Chciała zaprotestować, wytknąć mu brak logiki, ale nie potrafiła. Doskonale rozumiała, o co mu chodzi; może dlatego nie sprzeciwiła się, kiedy ponownie zniżył głowę. Tym razem pocałunek był gorący, namiętny. Ich ciała splotły się w uścisku. Cameron wolno przesunął dłonie z talii Lauren na jej żebra, potem wyżej... Rozkosz, jaka ją przeszła, odniosła jednak przeciwny skutek do zamierzonego. Lauren oprzytomniała.

- Chwileczkę. - Wciągając głęboko powietrze, położyła ręce na ramionach Camerona. Czekala, aż jej się przejaśni w głowie. Wreszcie spytała: - Co miałaś na myśli, mówiąc, że jeszcze nie skończyliśmy? Że nie zaznamy spokoju, dopóki... dopóki co? Nie prześpiemy się z sobą? Nie zaspokoimy ciekawości?

Zmarszczył czoło i pokręcił głową.

- Nie... - Zdradziło go wahanie w głosie.

- Cameron! To podłe!

- Tak sądzisz? - Kąciki jego ust zadrżały. - Ale może konieczne? Może wyszłoby nam na zdrowie?

Wyszarpnęła dłoń i cofnęła się o krok, uwalniając z jego hipnotycznego wpływu.

Oparł się o samochód i skrzyżował ręce na piersi.

- Mam wrażenie, że idealizujemy przeszłość - rzekł. - To się zdarza, zwłaszcza gdy wspomnienia dotyczą pierwszej miłości. Seks by nas z tego wyleczył. Po paru miesiącach namiętność by wygasła i przeszlibyśmy nad przeszłością do porządku dziennego.

Zatkało ją. Przez moment patrzyła na Camerona z niedowierzaniem, po czym wybuchnęła śmiechem.

- Różne teorie słyszałam w życiu, ale coś tak niedorzecznego słyszę po raz pierwszy.

- Przecież sama to zaproponowałaś.

- Oszalałaś!

- Nie wykręcaj się.

Zgiął nogi w kolanach, tak by oczy mieli na jednej wysokości i uśmiechnął się łobuzersko. Uśmiech Cama... to była ta jedna rzecz, której Lauren nie umiała się oprzeć.

- W każdym razie ja jestem chętny. A ty?

- Ja... - Chwyciwszy się obiema rękami za głowę, jęknęła: - Chyba zwariuję.

- Poczulałabyś się jak nowo narodzona. Szczęśliwa. Wolna i swobodna jak ptak.

- Zawsze się tak czuję.

- Tak? To dlaczego nie wyszłaś za mąż?

- Myślisz, że przez ciebie? Twoje zadufanie... Roześmiał się.

- Lauren, popatrz na mnie. - Ujął ją pod brodę i zmusił, by podniosła wzrok. -

Przecież żartuję.

Przyglądała mu się z powątpiewaniem.

- Naprawdę. Słowo honoru.

- To dobrze. Bo to wcale nie jest śmieszne. Wzdychając głęboko, pochylił się i oparł czoło o jej czoło.

- Masz rację. To wcale nie jest śmieszne.

Nagle zrozumiała, że on też cierpi. Że od lat prześladują go uczucia, z którymi nie umie sobie poradzić. Chciała się pożegnać i wrócić do siebie, ale ogarnął ją smutek. Objęła Cama za szyję i zapłakała w duchu nad tym, co być może stracili.

Od strony Water Street rozległ się klakson. Najpierw jeden krótki, potem drugi długi. Powoli, wciąż objęci, obrócili głowy, by sprawdzić, co zakłóca ich spokój... i odskoczyli od siebie jak oparzeni. Kilka metrów dalej, za kierownicą volkswagena garbusa siedziała, wychylając się przez okno, Eryka Meade; usta miała otwarte ze zdumienia.

- Cameron?! - zawołała.

- Eryka! Co tu robisz?

W słabym blasku latarni ulicznej Lauren zobaczyła, że twarz Cama przybiera odcień purpury. Podejrzewała, że jej własna ma podobny kolor. Eryka nie odpowiedziała. Wydawała się zbyt zmieszana, zbyt upokorzona zachowaniem narzeczonego.

- Przepraszam... - zaczęła Lauren i zamilkła. - To... - podjęła po chwili, zwracając się do dziewczyny w samochodzie - to nie jest tak, jak myślisz.

Eryka prychnęła pogardliwie, ale w następnej sekundzie pociągnęła nosem.

- Nie bądź zła na Camerona - kontynuowała Lauren.

- On i ja jesteśmy starymi przyjaciółmi.

- Dobrze wiem, kim jesteś - oznajmiła Eryka, każdą sylabę wymawiając wolno i dobitnie.

- Proszę, nie pozwól, żeby to, co widziałaś... co sądzisz, że widziałaś... wpłynęło na wasz związek.

Ignorując Lauren, Eryka zacisnęła usta; z całej siły starała się nad sobą zapanować.

- Cameron - rzekła - wracam do domu. - Broda drżała jej ze zdenerwowania, w oczach pojawił się błysk gniewu.

- Jeżeli masz mi coś do powiedzenia, czekam przez godzinę. Później drzwi będą zamknięte.

Gdy odjechała, Lauren zakłęła pod nosem.

- Cholera jasna, czuję się jak świnia. Biedna dziewczyna... - Spojrzała na Camerona, który stał z ręką przyciśniętą do czoła, wpatrując się w puste skrzyżowanie.

- Cameron...?

- Co? - spytał rozkojarzony.

- Nic. Ja też wracam do domu.

- Poczekaj. Musimy pogadać.

- O czym?

- O nas.

- Nie ma żadnych „nas”! - krzyknęła.

- Ale...

- Przestań! - Przyłożyła palec do jego ust. Wciąż miała przed oczami zrozpaczoną twarz Eryki. - Nie chcę słyszeć żadnych przeprosin, wymówek, wyjaśnień. Tak jak sam powiedziałaś, idealizowaliśmy przeszłość. To, co było, jest nie do odtworzenia. Zresztą, nie mogłabym żyć z myślą, że zdradzasz ze mną swoją narzeczoną...

Zamyślony, potarł czoło, po czym opuszczając rękę, spytał:

- A gdyby Eryka nie była moją narzeczoną?

Serce Lauren zaczęło bić szybciej, ale po chwili zreflektowała się.

- Nie, Cam. Nie jestem masochistką. Wszyscy znów by wzięli nas na języki, a twoi rodzice... - Potrząsnęła głową. - Jak mówi przysłowie: kto się na gorącym sparzy, ten na zimne dmucha.

Uśmiechnął się tak smutno, że miała ochotę wziąć go w ramiona i pocieszyć. Zamiast tego postanowiła obrócić wszystko w żart.

- Zresztą szybko byśmy się sobie znudzili.

- No, piękne dzięki.

- Mówię serio. Oboje kiepsko byśmy na tym wyszli.

- Nie rozumiem...

Wyciągnęła rękę, pragnąc dotknąć go po raz ostatni; poprawiła mu kołnierzyk, wygładziła fałdę z przodu koszuli.

- Ty straciłbyś narzeczoną, a ja... swoją ulubioną fantazję. - Speszona wyznaniem, wsiadła szybko do auta. - Mam prośbę - powiedziała, otwierając okno. -

Nie przychodź do mnie więcej. Jestem ci wdzięczna za pomoc, ale myślę, że po dzisiejszym incydencie lepiej będzie się nie widywać.

- Boże, co za paskudna sytuacja... - Potarł ręką kark.

- Nie będziesz przychodził? Obiecujesz?

Po chwili wahania skinął ponuro głową.

- Dziękuję. - Przekręciła kluczyk w stacyjce. - Chętnie porozmawiam z Eryką, jeśli sądzisz, że to cokolwiek da.

- To miłe z twojej strony, ale nie trzeba. Poradzę sobie. Stał z ręką na dachu auta, jakby nie chciał jej puścić.

- Idź, Cam - powiedziała. - Idź do Eryki. Ona czeka.

- To nie w porządku - szepnął. - Wobec ciebie. Wobec nas.

- Wierz mi. Nic nas nie łączy. Jeśli jeszcze miałam jakieś wątpliwości, to znikły, kiedy zobaczyłam Erykę.

Opuścił rękę i cofnął się o krok. Lauren ruszyła wolno przed siebie. W głębi duszy pragnęła, by ją zatrzymał, lecz nic takiego się nie stało. Kiedy zerknęła do lusterka, oddalał się w kierunku Water Street.

Dobrze będzie, powtarzała w myślach, próbując dojrzeć cokolwiek poprzez lzy. Dobrze będzie. Ale uwierzyła w to dopiero wtedy, gdy skręciła w podjazd przed domem.

Na widok Rockland w głowie jej się przejaśniło: przybyła na Harmony po to, żeby kupić mamie dom; po to, żeby mama odzyskała dumę i poczucie godności. Ale nie tylko. Sama także chciała odzyskać utraconą dumę.

Niestety, trochę niefortunnie się do tego zabrała. Naprawi jednak swój błąd. Odtąd będzie postępowała w sposób mądry i odpowiedzialny. Czas najwyższy zapomnieć o przeszłości, o Cameronie, i skoncentrować się na planach na przyszłość.

## *Rozdział 11*

Nastała jesień. Większość turystów opuściła wyspę na początku września, tuż po długim weekendzie. Od tej pory prom kursował już tylko raz dziennie, częściej jedynie w soboty i niedziele. Ale za kilka tygodni i to się miało zmienić. Na drzwiach niektórych punktów usługowych pojawiły się tabliczki „Zamknięte do wiosny”. Młodzież zatrudniona w barach i kafejkach wróciła na studia, ucichł warkot motorówek. Nawet przyroda wydawała się bardziej przyciszona: mgły zalegały dłużej, słońce świeciło słabiej, przekwitły róże o jaskrawych, soczystych barwach, a ich miejsce zajęły stonowane w kolorze astry i rozchodniki. W Rockland wraz z nastaniem jesieni wszyscy rzucili się w wir pracy. Lauren nie posiadała się z radości. Zajęta budową, nie myślała o Cameronie, Eryce i tym koszmarnym incydencie, który miał miejsce po zabawie w parku. Tamtego wieczoru wróciła do domu i nazajutrz rano, po bezsennej nocy, opuściła wyspę; resztę świątecznego weekendu spędziła z rodziną.

Po powrocie na Harmony musiała się oczywiście wypowiadać przed Julią i Cathryn, które wprost umierały z ciekawości, odkąd zobaczyły ją tańczącą z Cameronem. Opowiedziała im wszystko, o pocałunku też, na koniec wyjaśniając, że popełnili jednak błąd i doszli do wniosku, że powinni się unikać. O tym, że zostali przyłapani na gorącym uczynku przez Erykę, nie wspomniała; prędzej zapadłaby się pod ziemię ze wstydu, niż komukolwiek do tego przyznała.

Czas mijał, a nikt nie wytykał jej palcem. Na poczcie, gdzie załatwiała jakieś sprawy, nikt nie obrzucił jej wyzwiskami. W sklepie, gdy poszła uzupełnić zapasy, nikt nie oskarżył jej o to, że rozbiła związek popularnej na wyspie pary. Wyciągnęła z tego dwa wnioski. Po pierwsze, że Eryka też wolała zachować ten niefortunny incydent w tajemnicy, a po drugie, że Cameron zdołał ubłagać narzeczoną, by mu wybaczyła.

Brak reperkusji powinien był uspokoić Lauren, pozwolić jej zapomnieć o Cameronie i jego narzeczonej. Okazało się jednak, że tylko praca daje jej pociechę. Na szczęście zajęć miała w bród.



Wstępną zgodę na remont otrzymała tuż po długim wrześniowym weekendzie. Dołączyli kolejni robotnicy i wkrótce ekipa była cztery razy większa niż na początku. Praca wrzała zarówno na zewnątrz, jak i wewnątrz domu. Po wyłączeniu wody i elektryczności mężczyźni przenieśli rzeczy Lauren do przyczepy, którą pożyczyła od swojej siostry Michelle, po czym rozebrali starą kuchnię i łazienkę - usunęli oświetlenie, kontakty, zlewy, krany, zerwali glazurę, boazerię, pozdejmowali nowoczesne drzwi, usunęli kilka warstw tapet, odpadający tynk, zburzyli parę ścian. W trakcie tego chaosu przybył specjalny zespół w odpornych na azbest skafandrach oraz inspektorzy z Agencji Ochrony Środowiska, żeby usunąć stary piec.

Mniej więcej po tygodniu Rockland był jak ząb, z którego usunięto próchnicę. Rozpoczął się żmudny proces rekonstrukcji.

Ale przynajmniej sprawy ruszyły z miejsca. Lauren, ubrana w kombinezon i buty o stalowych noskach, pracowała wraz z ekipą, wśród której były trzy kobiety. Niestety, ciągle pojawiały się jakieś niespodziewane problemy. Na przykład kominki. Joe uznał, że są w tak fatalnym stanie, iż trzeba wyposażyć je w specjalne wkładki, by zapobiec pożarom. Lauren zgodziła się, chociaż wiązało się to z dodatkowymi kosztami.

Spędzała wieczory w niedużej przyczepie, z kartką papieru i ołówkiem w ręku, ale bez względu na to, jak bardzo starała się być oszczędna, wydatki rosły w galopującym tempie. Jej niepokój również. Jediną ucieczką od problemów stanowiły krótkie wyjazdy do Bostonu, ale nawet tam była zajęta od rana do wieczora. Z Brianem Kingiem omawiała projekty, z prawnikiem - skargi od lokatorów, poza tym sporo czasu spędzała w biurze, no i zawsze starała się choć parę godzin poświęcić matce.

Siostry Lauren, Michelle i Kim, próbowały wypełnić Audrey czas, a to prosząc ją o opiekę nad wnukami, a to zabierając ją po zakupy. Bracia, David i Mark, też robili, co mogli, żeby matka się nie nudziła - na przykład ilekroć przyjeżdżali do domu, przywozili z sobą torbę rzeczy do uprania i uprasowania. Mimo to Lauren zauważyła, że matka staje się coraz bardziej przygaszona. Któregoś dnia, kiedy poszły razem na lunch do restauracji, przyznała się córce, że męczy ją bezczynność i całkiem poważnie zastanawia się, czy nie poszukać sobie pracy.

Lauren była zachwycona. Uznała, że skoro matkę męczy dotychczasowe życie, może tym chętniej zamieszka na wyspie i zaakceptuje zmianę, jaką ona dla niej szykowała.

- Trochę się boję - dodała matka. - Całymi latami zajmowałam się tylko domem i dziećmi. Nie mam specjalnych kwalifikacji.

Lauren podniosła do ust szklanekę mrożonej herbaty i uśmiechnęła się w duchu.

Mimo nawалу pracy bała się posiedzenia rady, na którym ponownie miano rozpatrzyć jej podanie. Tamtego wieczoru, zanim udali się do parku, Cameron zapewnił ją, że poprawiona wersja zyska akceptację, ale... Może zmienił zdanie? Może nie będzie chciał jej iść na rękę? Jeśli tak, to remont na pewno nie skończy się do świąt.

Posiedzenie rady wyznaczone było na ostatni poniedziałek września. Wędrując korytarzem w stronę szkolnej stołówki, Lauren obawiała się zarówno przebiegu posiedzenia, jak i spotkania z Cameronem. Nie widzieli się prawie od miesiąca, ale nie było dnia, żeby o nim nie myślała. Targały nią mieszane uczucia. Ilekroć przypominała sobie, jak tańczyła w jego ramionach, a potem jak się całowali, ogarniały ją wyrzuty sumienia: jak mogła być tak słaba? Ale nie tylko do siebie miała pretensje, również do Camerona. Dlaczego nie wykazał więcej rozsądku, więcej opanowania?

Odczuwała też koszmarny wstyd; na miłość boską, dlaczego mu powiedziała, że jest jej ulubioną fantazją? A także złość. O tak, była wściekła. Prześpijmy się? Zaspokójmy ciekawość? Za kogo on ją uważał?

Najgłupsze było jednak to, że czuła się zdradzona i porzucona, a przecież nie miała żadnych praw do Camerona. Był narzeczonym Eryki. Z drugiej strony, czy można z taką pasją i namiętnością całować jedną kobietę, po czym odejść do drugiej? On tak zrobił. Minęły trzy tygodnie, a oni wciąż byli razem. Zeszłej soboty Cathryn widziała ich na kolacji, w szóstkę, razem z rodzicami Eryki i rodzicami Camerona.

Z rosnącym zdenerwowaniem zbliżała się do drzwi stołówki. Nie wiedziała, jak zareaguje na widok Cama, czy gestem lub spojrzeniem nie zdradzi czegoś, co wolałaby ukryć, i czy zdoła normalnym głosem odpowiadać na pytania członków rady.

Skup się, Lauren, przykazała sobie w duchu. Głowa do góry, plecy prosto, i pamiętaj o tym, co chcesz osiągnąć. Biorąc głęboki oddech, pchnęła drzwi.

W środku było jeszcze więcej ludzi niż poprzednio. Nic dziwnego, pomyślała; zazwyczaj jesienią przeprowadza się remonty. Zająwszy miejsce, natychmiast utkwiała wzrok w siedzącym przy stole Cameronie. I nagle zdała sobie sprawę z jeszcze jednego uczucia, które tkwiło w niej od tych paru tygodni, a które starała się wyprzeć ze świadomości: tęsknoty. Najzwyczajniej w świecie tęskniła za Camem.

Na moment ich spojrzenia się spotkały, lecz nie potrafiła odgadnąć, o czym on myśli. Wyraz twarzy miał nieprzenikniony. Potem odwrócił oczy i więcej na nią nie patrzył, nawet wtedy, gdy wyczytał nazwisko DeStefano.

Jej podanie było rozpatrywane w pierwszej kolejności. Tak jak i poprzednio, Cameron przekazał prowadzenie zebrania Beatrice Landry, a sam usunął się na bok. Lauren nastawiła się na to, że znów wszyscy będą czepiać się szczegółów, wymieniać ironiczne uwagi, zadawać dziesiątki pytań, lecz ku jej zdumieniu projekt, który przedstawiła, został szybko zaakceptowany, a próśb o dodatkowe wyjaśnienia było dosłownie kilka.

- To wszystko? - spytała zaskoczona.

- To wszystko - odparła ze śmiechem wiceprzewodnicząca Landry. - Jutro wyślemy naszą rekomendację do wydziału budownictwa. Za kilka dni otrzymasz zaświadczenie.

- Dziękuję - powiedziała Lauren. - Bardzo dziękuję.

Zerknęła w stronę okna, ale Cameron nie odwzajemnił jej spojrzenia. Wrócił do stołu i po chwili kontynuował zebranie.

- Przechodzimy do następnej sprawy. Właściciel restauracji „Kapitan Toby” prosi o zgodę na wykucie drugiego wejścia...

Lauren wybiegła w podskokach, szczęśliwa, że te prawnobiurokratyczne formalności ma już za sobą. Teraz ze zdwojoną energią będzie można przystąpić do prac zewnętrznych. Cała naprzód! Zanim jednak dotarła do końca korytarza, ogarnął ją nastrój przygnębienia. Tyle czasu przygotowywała się do tego zebrania i co? Już po wszystkim?

Gdy wsiadła do samochodu, nastrój przygnębienia się pogłębił. Nie miało to najmniejszego sensu. Przecież z radości powinna wywijać koźiołki. Po pierwsze, wreszcie zdobyła wymagane zezwolenie, po drugie, nie musi się już więcej spotykać z Cameronem. Mimo to nie czuła radości.

Siedziała z ręką na kierownicy, popadając w coraz większą depresję. Po minucie czy dwóch z wściekłością przekręciła kluczyk w stacyjce. Do diabła, Lauren, co się z tobą dzieje? Otrząśnij się! Można tęsknić, można kochać, ale nie można być idiotką! Kiedy wreszcie zmądrzejesz? Kiedy wreszcie zapomnisz o tym facecie?

- Teraz - oznajmiła na głos. - W tej sekundzie.

Postanowiła sobie, że to koniec. Że odtąd nie będzie już myślała o Cameronie. Całą energię poświęci na remont domu.

Nacisnęła stopą na pedał gazu; samochód ruszył przed siebie niczym rączy rumak.

Siedząc przy swoim stoliku przy oknie w „Water Diner” Cameron obserwował zmieniające się pory roku bez tej radości i entuzjazmu co dawniej. Na ogół uwielbiał ciszę i spokój po wyjeździe turystów, kiedy wyspa wracała we władanie tubylców. Tym razem jednak, cztery dni po posiedzeniu rady, w restauracji huczało; wszyscy z podnieceniem omawiali to, co się działo na terenie zakupionej przez Lauren posiadłości. Burzono werandy, usuwano oranżerię, zrywano dachówki! A wewnątrz? Rozbierano ściany! Gruz było tyle, że wywoziły go nie jedna, nie dwie, ale trzy wywrotki! Ed Hayes, inspektor budowlany, który nadzorował remont Rockland, siedział pośrodku sali, dzieląc się swoimi wrażeniami. Wszyscy słuchali go z zapartym tchem.

Cameron nie mógł otrząsnąć się ze zdumienia, że tak swobodnie rozmawiają w jego obecności o Lauren i jej nowym domu. Nie było śladu po ich początkowym speszeniu. Ale sam ich z tego wyleczył; brał udział w dyskusji nawet wtedy, gdy łatwiej byłoby mu milczeć. Po prostu chciał pokazać, że nic do Lauren nie czuje i nie ma do niej pretensji o to, że wygrała przetarg o dom.

Odsunął talerz z plackami kukurydzianymi, których prawie nie tknął, i podniósł do ust kubek z kawą. Nie był w Rockland od miesiąca, a ta rozmowa o remoncie doprowadzała go do szału.

Rozległo się wycie syreny; do portu wpływał prom.

Dwóch klientów zapłaciło za siebie i skierowało się do drzwi, mówiąc, że chcą sprawdzić, jakie materiały budowlane dziś przywieziono promem. Cameron też wyszedł, wsiadł do wozu i ruszył w stronę przystani. Wraz z nastaniem jesieni kutry wracały z połowów. Robotnicy portowi zatrudnieni przez Claytona ledwo nadążali z pracą. Cameron często im pomagał.

Ale po przejechaniu kilkunastu metrów zwolnił. Nie ciągnęło go na przystań. Od długiego weekendu na początku września stosunki między nim a ojcem były dość napięte. Wprawdzie się nie kłócili, ale... Minał doki, rampy, hangary, po czym zaciskając zęby, nadepnął mocniej na gaz.

Clayton Hathaway dowiedział się, że jego syn był w parku z Lauren DeStefano. Nazajutrz rano wezwał go na rozmowę. Na szczęście dla Camerona, żadnych więcej informacji nie miał. Po trwającym mniej więcej dziesięć minut monologu o tym, jak swoim bezmyślnym zachowaniem Cameron upokorzył rodziców, Clayton w końcu spytał:

- Jak do tego w ogóle doszło, że byliście tam razem?

- Wiesz, tato... - Cameron podniósł z biurka drewniany model statku. - Jestem już na tyle dorosły, że nie muszę tłumaczyć się tobie i mamie ze wszystkiego, co robię. Wyprowadziłem się z domu ponad dziesięć lat temu.

- W porządku. - Clayton westchnął. - Rozumiem więcej, niż ci się zdaje. Ale wierz mi, synu, naprawdę nie warto. Nie narażaj swojego związku z Eryką dla paru minut uciech cielesnych. Eryka to miła, porządna dziewczyna. Najwyższy czas, żebyś się z nią ożenił i postarał się o potomstwo. - Jak zwykle nie omieszkał przypomnieć Cameronowi, że jest ostatnim z rodu i że trzysta lat tradycji spoczywa na jego barkach.

- Nie wiem, czy ją kocham, tato.

- Kocham, kocham! Nie bądź dzieckiem. Miłość nie trwa wiecznie. Ważne jest przywiązanie, poczucie odpowiedzialności. Mówię z doświadczenia, chłopcze. Myślisz, że twoja matka i ja od trzydziestu trzech lat jesteśmy w sobie zakochani? - Roześmiał się. - Mieliliśmy różne okresy w swoim życiu, lepsze i gorsze; te gorsze należy po prostu przeczekać. Wiesz, ile byśmy stracili, gdybyśmy kierowali się samym głosem serca?

Cameron nigdy nie rozumiał tego, co łączy jego rodziców. Owszem, sprawiali wrażenie dobrego małżeństwa. Zawsze się wspierali, stawali w swojej obronie. Czasem jednak ojciec wydawał się smutny i przeraźliwie samotny. Kiedyś wspomniał mimochodem, że chętnie miałby więcej dzieci. Cam zapamiętał to na całe lata. Rodzice mieli oddzielne sypialnie. Twierdzili, że tak jest im wygodniej, ale czy rzeczywiście? Kiedyś ich jedenastoletni syn wstał w nocy, żeby pójść do kuchni, i zobaczył ojca pukającego cicho do drzwi żony. „Pru, wpuść mnie”. Chłopcu zrobiło się go bardzo żal.

- A może ja nie chcę żenić się bez miłości? - zezłościł się Cameron. - Może nie chcę trwać w małżeństwie z poczucia obowiązku lub ze strachu? Może pragnę poślubić kobietę, którą będę kochał do końca życia?

- Z całego serca ci tego życzę. Chodzi mi tylko o to, żebyś nie zadawał się z tą małą, bo narobisz sobie kłopotów. Czy mam ci przypominać, ile przez nią wszyscy wycierpieliśmy?

- Nie musisz, tato. Nic mnie z Lauren nie łączy. Zresztą wspólnie uzgodniliśmy, że nie będziemy się więcej kontaktować. Jesteś zadowolony?

- Tak... Bardzo.

- Co nie zmienia faktu, że nie jestem pewien swoich uczuć wobec Eryki. Ojciec zmarszczył czoło.

- Chcę cię prosić o jedno, Cam. Oczywiście zrobisz, jak zechcesz, ale przynajmniej mnie wysłuchaj.

Cameron odstawił na biurko model statku i skrzyżował ręce na piersi.

- Słucham, tato.

- Wytrwaj jeszcze miesiąc. Ty i Eryka prawie wcale się tego lata nie widywaliście. Pobądźcie chwilę razem. Dajcie sobie szansę, zanim podejmiesz decyzję. Spotykacie się od roku, miesiąc dłużej chyba wytrzymasz?

Cameron podszedł do dużych, szerokich okien wychodzących na doki. Czy wytrzyma jeszcze miesiąc? Pewnie. W końcu nigdzie mu się nie spieszy. Dobrze pamiętał słowa Lauren, że to koniec, że więcej nie życzy sobie go widzieć.

- Dobrze, tato. Jeden miesiąc. I zobaczymy, co dalej.

Ojciec poklepał go po ramieniu i pochwalił za powzięcie mądrej decyzji. Cameron był pewien, że miesiąc zleci szybko i bezboleśnie. Ale w miarę upływu dni coraz łatwiej wpadał w irytację i coraz częściej złościł się na ojca.

Minął przystań; wiedział, że jeśli nie pojawi się dziś w pracy, pogorszy to jego stosunki z ojcem, ale było mu wszystko jedno. Ostatnio jakoś nic go nie cieszyło.

Zastanawiał się, czy nie zajrzeć do szkoły, nie przywitać się z Eryką, nie umówić z nią na kolację. Ale z Eryką też nie najlepiej mu się układało. Był już zmęczony udawaniem, że wszystko jest w porządku. Oczywiście po tamtej scenie, której była świadkiem, pojechał za nią do domu i przeprosił ją. Miał świadomość, że ją skrzywdził i chcąc zmniejszyć jej ból, usiłował jej wmówić, że pocałunek, który widziała, był całkiem niewinny. Rozmawiali z Lauren o śmierci jej ojca. Ona się wzruszyła i rozplakała, on próbował ją pocieszyć.

Niestety, nie umiał kłamać, a Eryka nie była naiwna. Od tego dnia ich relacje uległy zmianie; nic już nie było takie jak dawniej. Żałował swojego postępowania. Naprawdę. Narzeczeństwo stanowiło pewnego rodzaju kontrakt, a on go zerwał - dopuścił się zdrady. Dlaczego? Eryka miała wiele wspaniałych cech i przypuszczalnie byliby razem całkiem szczęśliwi. Ojciec miał rację - ogień wygasł, zostawała przyjaźń, przywiązanie, poczucie odpowiedzialności.

Jeździł bez celu, nie bardzo wiedząc, dokąd się udać. Powinien wrócić do domu. Do końca książki brakowało mu dwóch rozdziałów, ale nie miał ochoty na pisanie. Siedząc przy komputerze, myślałby o Lauren, która zainstalowała mu program i pokazała, jak się go używa.

Dotarł na East Light, w pobliżu latarni morskiej, wysiadł z samochodu, zapiał kurtkę, bo od morza wiał silny wiatr, po czym podniósł do oczu lornetkę, którą skierował na północ, gdzie w oddali majaczył piękny stary dom będący w trakcie remontu.

Zalała go fala emocji: zawiści, złości, strachu. Czuł się tak jak piętnaście lat temu; wtedy miał zakaz powrotu na Harmony, a teraz zakaz wstępu na teren odnawianej posiadłości. Wokół domu stały rusztowania. Na dachu, w miejscu zniszczonej przez huragan kopuły, dwóch robotników wznosiło nową, trzech innych układało dachówki. W dole przed domem stało kilka przyczep. Kilka następnych było



niewidocznych za domem. Patrząc przez lornetkę, widział stos desek, obok stos cegieł, dalej rzędy dachówek...

Nagle ujrzał Lauren. Stała tyłem na trawniku, w kombinezonie roboczym i czapce baseballowej na głowie. Wyglądała prześlicznie. Rozmawiała... chyba z Joem, żywo gestykułując i wskazując ręką dach. Potem obróciła się, ukazując profil, i roześmiała wesoło. Cameron poczuł bolesny ucisk w piersi. Nie, to wcale nie o posiadłość mu chodziło. Po prostu tęsknił za towarzystwem Lauren.

Przysiadł na piasku, oparł się plecami o głaz i obserwował Rockland długo po tym, gdy Lauren zniknęła w środku. Miał nadzieję, że wyjdzie jeszcze raz, lecz czekał na próżno. W końcu, zziębnięty i zeszywniały, dźwignął się na nogi i wrócił do domu.

- Co teraz zrobimy? - spytała męża Pru Hathaway. Ubrani w identyczne dresy, szybkim krokiem szli po plaży, energicznie wymachując ramionami i pozostawiając odciski w piasku ślady stóp. - Najpierw dostała wstępną zgodę na remont...

- Ed Hayes nie mógł niczemu zapobiec - wtrącił Clayton. - Zatrudniła doskonałego przedsiębiorcę budowlanego. Facet ze wszystkiego wywiązuje się na medal.

- A potem zaświadczenie z Urzędu Konserwatora - ciągnęła kobieta, nie zwracając uwagi na męża. - W głowie mi się nie mieści, jak Cameron mógł na to pozwolić.

- Cam uważa, i chyba słusznie, że Lauren nie stać na taką inwestycję. Wierz mi, ona ma znacznie mniej pieniędzy, niż nam się wydaje. Brak gotówki to jej pięta achillesowa.

Przez kilka minut maszerowali bez słowa, wciągając nosem chłodne październikowe powietrze.

- A gdyby tak złożyć skargę? - Pru zamyśliła się. - W ogrodzie przed domem stoi pełno przyczep i barakowozów. To na pewno jest niedozwolone. Niech zapłaci grzywnę, a potem niech buli za pokoje hotelowe dla robotników...

Clay przeskoczył nad wyrzuconą przez fale kłodą.

- Możesz spróbować, ale wątpię, czy ci się uda.

- A to dlaczego?



- Podczas prac remontowych wolno używać przyczep i barakowozów. Musiałabyś znaleźć inny punkt zaczepienia. Może wydział zdrowia? Chociaż to też nic nie da. - Wzdychając głośno, wzruszył ramionami. - Inspektor sanitarny przyjdzie raz i drugi, ale...

- To co proponujesz? Siedzieć z założonymi rękami i czekać?

- Czekać, ale nie całkiem beczynn timer. - Kąciki ust drgnęły mu w uśmiechu. - Jej przedsiębiorca budowlany złożył wczoraj pismo w wydziale gospodarki przestrzennej. Prośbę o zgodę na zbudowanie mieszkania nad garażem. - Uśmiech rozjaśnił mu twarz. - A tym ja zarządzam.

Zaczęła rozmawiać z domem. Na ogół robiła to wieczorem, kiedy robotnicy kończyli pracę i udawali się na zasłużony odpoczynek; chodziła wtedy po pokojach, sprawdzała, jakie w danym dniu poczyniono postępy. Czasem jednak rozmawiała z domem w ciągu dnia, nie przejmując się, czy ktokolwiek ją słyszy.

Zazwyczaj były to zdania typu: „Boże, ile ja mam przez ciebie kłopotów! I co teraz?“, albo „Koniecznie chcesz mnie wykończyć? Chcesz, żebym zbankrutowała?“.

Jednakże wieczorem ósmego października milczała. Stojąc w oknie swej sypialni, dawniej należącej do Isabel Gray, i przelękając łzy, podjęła bolesną decyzję o sprzedaży kilku następnych nieruchomości w Bostonie. Tylko w ten sposób mogła pokryć rosnące koszty remontu.

Starając się poprawić sobie nastrój, myślała o pochwałach i komplementach, jakie ostatnio padały pod jej adresem. Wszyscy byli pod wrażeniem. No, może nie wszyscy. Podobno Pru Hathaway bez przerwy ją krytykowała, nazywała pretensjonalną i afektowaną, poza tym nie mogła się nadziwić, że „tak bezwstydnie mieszka pod jednym dachem z tyloma facetami“. Ale większość wyspiarzy pozytywnie wyrażała się o domu; twierdzili, że jest piękny, a będzie jeszcze piękniejszy i że zawsze wiedzieli, iż „ta mała DeStefano wyjdzie na ludzi“. Te słowa łechtały jej zdeptaną przed laty dumę.

Nie miała wyjścia, musiała brnąć naprzód - nawet jeśli krok do przodu na Harmony oznaczał krok do tyłu w Bostonie. Bała się. Była to ryzykowna decyzja; czuła się tak, jakby naruszała kapitał zamiast sięgać po odsetki. Jeżeli nie zachowa ostrożności, to... Nie, nie wolno jej tak myśleć. Niedawno wystąpiła o zgodę na

wybudowanie małego mieszkanca nad garażem. Oczywiście oznacza to kolejne koszty, ale później wynajmowany lokal będzie przynosił stały dochód.

- Spraw, żeby się udało - szepnęła, chociaż nie była pewna, do kogo się zwraca: do losu, do gwiaździstego nieba, czy może do ducha Isabel. Wprawdzie wszystkim powtarzała, że duchy nie istnieją, ale kto je tam wie?

Nagle na ciemnych wodach między Harmony a Martha's Vineyard ujrzała jaskrawo oświetlony, majestatyczny „Shenandoah”. Często go widywała, ale nigdy tak późnym wieczorem. Zawsze wtedy przypominała sobie swoją reakcję, kiedy siedząc z Cameronem na dachu werandy, zobaczyła statek po raz pierwszy. Potem przypominała sobie pocałunek, a potem... potem serce zaczynało ją boleć.

Dziś nie pozwoliła sobie na żadne wspomnienia. Odwróciła się od okna i trzymając w ręku latarkę, którą brała na obchód domu, powiodła wzrokiem po mrocznej sypialni. Pokój - w myślach nazywała go Komnatą Lady Gray - nie nadawał się jeszcze do zamieszkania. Joe koncentrował się na ważniejszych sprawach: wymianie okien, przebudowie kuchni, łazienki. Sypialnie, jak twierdził, to pestka; robi się je w mig.

Może, przyszło jej do głowy, sama ją wyremontuje? Na razie była zajęta holem i schodami, ale już niedługo będzie wolna.

Jej spojrzenie padło na wbudowaną we wnękę szafę, którą Cameron chciał usunąć, aby przywrócić pokój do jego dawnego stanu. Stanowczo się temu sprzeciwiła. W sypialni potrzebna jest szafa; były we wszystkich sypialniach, dlaczego więc tę jedną miałyby wyburzyć? Dlatego, odpowiedziała sama sobie, że za każdym razem, gdy tu wchodziła, czuła wyrzuty sumienia.

- W porządku, Cam. Chciałeś ją usunąć? To ją usuniemy! Ale robię to tylko ze względów ekonomicznych. To będzie świetny chwyt reklamowy.

Otworzywszy drzwi szafy, skierowała do środka strumień światła. W sumie wnęka była nieduża. Tak, lepiej będzie wstawić prawdziwą szafę. Może antyk? Za kilka dni zamierzała wyjechać na trzy lub cztery tygodnie do Bostonu; sprzedaż nieruchomości wiązała się z różnymi formalnościami, a te wymagały czasu. W każdym razie może uda jej się połączyć po sklepach, znaleźć coś odpowiedniego.

Nie chciała urządzać domu samymi antykami. Woląa współczesne meble stylizowane na stare. Zależało jej na tym, aby dom był domem, miejscem wygodnym, gdzie wszyscy dobrze się czują, gdzie można stłuc talerz lub porysować krzesło i nie popaść z tego powodu w przygnębienie.

Przed oczami stanął jej Cameron, który pragnął zrobić z Rockland muzeum. Mimo woli uśmiechnęła się. Psiakość, dlaczego? Dlaczego myśl o nim zawsze przywoływała na jej twarz uśmiech? Minęło tyle tygodni, odkąd widzieli się po raz ostatni. Dlaczego więc wciąż za nim tęskni?

- Pomóż mi, lady Gray - szepnęła. - Chyba znów się w nim zakochałam. Co mam robić?

Dom, jak zwykle, milczał.

Odpowiedzi udzielił jej dopiero nazajutrz.

## *Rozdział 12*

Podobnie jak inni właściciele domów i sklepów, Cameron spędzał słoneczne październikowe dni na drobnych naprawach. Dziś od rana malował wewnątrz niedużego sklepu na Market Street, w którym matka sprzedawała wykonane przez siebie wyroby tkackie.

Ledwo wrócił do domu, marząc o tym, by jak najszybciej ściągnąć poplamione farbą ubranie i wziąć prysznic, kiedy spostrzegł mrugające światełko na telefonie. Z pełnym rezygnacji westchnieniem wcisnął przycisk; miał nadzieję, że nie usłyszy nagranej na sekretarkę głosu Eryki, chcącej omówić to, co wczoraj zaszło.

- Cam? Mówi Lauren.

Lauren? Od ponad miesiąca nie dawała znaku życia.

- Pewnie dziwi cię mój telefon. Nie zawracałabym ci jednak głowy, gdyby nie... Po prostu zdarzyło się coś bardzo ważnego. Zadzwoń. Albo nie. Przyjedź, jak tylko będziesz mógł.

Czym prędzej umył się i włożył czyste ubranie. Dwanaście minut po wejściu do domu zatrzasnął za sobą drzwi.

Była za kwadrans piąta; słońce wisiało nisko nad horyzontem, a niebo na wschodzie przybrało ciemniejszy odcień. Robiło się coraz chłodniej. Większość ludzi w miasteczku odłożyła już farby i pędzle. W Rockland jednak z wszystkich okien sączyło się światło i praca wrzała w najlepsze.

Skręciwszy w podjazd, Cameron przez chwilę podziwiał łupkowy dach. No i kopułę. Wyobraził sobie, jaki wspaniały musi być z niej widok. Rusztowania wciąż stały, ale chyba po to, by łatwiej było zamontować okiennice, bo wszystko inne wydawało się już skończone. Stare, nieszczelne okna wymieniono na nowe, drewniane ściany oczyszczono, zaszpachlowano i pomalowano. Kolor, na który się Lauren zdecydowała, przyćmiony popielaty gdzieś przelamany bielą, idealnie współgrał z otoczeniem. Czarne okiennice powinny pięknie harmonizować z całością.

Weranda od frontu też została odbudowana, choć jeszcze należało ją pomalować i dodać parę elementów dekoracyjnych. Cameron wszedł po schodkach, podziwiając kolumny zwieńczone głowicami jońskimi. Zastukawszy, otworzył drzwi i zajrzał do środka.

- Halo! - zawołał, usiłując przekrzyczeć hałas.

- Hej, jak się masz? - Z salonu wyłonił się Joe z wyciągniętą na powitanie dłonią, od stóp do głów pokryty trocinami. Zamieniwszy z gościem parę słów, wskazał głową sufit. - Lauren jest na górze. Nie można jej zmusić do zejścia...

Z walącym sercem Cameron wbiegł na piętro, przeskakując po kilka stopni naraz, po czym instynktownie skierował się do pokoju zajmowanego dawniej przez Isabel Gray. Lauren siedziała po turecku na jakimś kawałku materiału, oświetlona blaskiem padającym z latarki.

Z początku niczego poza nią nie widział, ani co robi, ani jak jest ubrana. Podniosła wolno wzrok. Spojrzenie miała zamglone, rozmarzone. Na widok Cama otrząsnęła się z zadumy i uśmiechnęła promiennie.

- Przyszedłeś...

- Naturalnie. Co się stało? - Dopiero po chwili spostrzegł wnękę, w której dawniej stała szafa, oraz leżący przed nią stos gruzu.

- Znaleźliśmy... coś doprawdy niezwykłego. Podeszedł bliżej, nie potrafiąc pohamować ciekawości.

- Co to? - Kucnął przy czymś, co wyglądało na stary podróżny sekretarzyk.

- Kazałam Joemu wyburzyć szafę - oznajmiła Lauren; oczy lśniły jej z podniecenia. - Przy okazji odpadły fragmenty starej ściany, co nas nie zdziwiło. Zdziwiło nas jednak to, że tuż nad podłogą ujrzelśmy sporej wielkości otwór. Krążyliśmy z Joem między sypialnią a pokojem obok, usiłując odkryć, gdzie ten otwór wychodzi. Wreszcie nam się udało. Otóż stojący w głębi pokoju kredens miał ruchome plecy. Wystarczyło je zdjąć...

- Tajemnicza skrytka? Niesamowite! - Pochylił się, próbując zajrzeć do ciemnego otworu.

- Prawda? I zobacz, co znaleźliśmy! Tę cudowną drewnianą skrzyneczkę. - Piersi jej falowały, głos drżał. - Na pewno należała do Isabel. Nie wiedziałam, czy powinnam cokolwiek ruszać, ale nie mogłam się oprzeć.

Gdy podniosła wieko, Cameronowi zapało dech. W środku ujrzał niezwyklej urody stare pióro, trzy ołówki, mały kałamarz, pergamin nadgryziony przez robaki oraz pieczęć z literą G. A z tyłu cztery małe szufladki: w jednej były znaczki, w drugiej biżuteria, w trzeciej monety, w czwartej fiszbinowy grzebyk.

- Nie wierzę własnym oczom! - Pokręcił ze zdumieniem głową. - Ale dlaczego Isabel miałyby to chować w skrytce?

Lauren wskazała na zeszyt, który trzymała na kolanach.

- Pisała pamiętnik. Cały dzień spędziłam na lekturze. Cameron wziął od niej kartki przedziurawione z boku i związane razem wyblakłą różową tasiemką. Ostrożnie przewrócił pierwszą stronę.

- Sobota, dziewiątego maja, rok 1847 - przeczytał wzruszony, a kiedy podniósł oczy i zobaczył Lauren uśmiechającą się szeroko, uświadomił sobie, że z nikim innym nie chciałby dzielić tej wyjątkowej chwili.

- To nie wszystko - rzekła; obok na podłodze leżało kolejnych osiem zeszytów. Cameron roześmiał się uradowany.

- Niesamowite! - zawołał.

Ale najbardziej niesamowite wydało mu się to, że Lauren cieszy się odkryciem tak samo jak on. Podejrzewał, że część jego znajomych pokiwałaby z

zainteresowaniem głową, ale większość nie wiedziałyby, czym się tu podniecać. Nagle miał ochotę porwać Lauren w ramiona...

Oczywiście, nie mógł. Chociaż oczy jej płonęły, zachowywała się jednak z rezerwą, wyraźnie dając mu do zrozumienia, że odkrycie, którego dokonała, w żaden sposób nie wpływa na ich stosunki.

- Niesamowite? Poczekaj, aż to wszystko przeczytasz! Mnie od rana przenikają dreszcze.

- Co pisze? Powiedz.

- To bardzo dziwne, wiesz. Od samego początku czuję w tym pokoju zapach lawendy. I wyobraź sobie, że Isabel wspomina o tym, jak któregoś dnia stłukła niemal pełną butelkę swojej ulubionej wody lawendowej.

Cameron wciągnął nosem powietrze, ale nic nie poczuł.

- Wątpię, żeby zapach mógł się utrzymywać tak długo...

- Wiem. - Roześmiała się. - Znów mam dreszcze.

Dobiegający z dołu hałas młotków i pił stopniowo malał, aż wreszcie w domu nastała cisza. Po chwili przerwał ją odgłos butów na schodach. Do sypialni wszedł Joe.

- No i co? - spytał, wskazując na skarb leżący pomiędzy Lauren a Cameronem.

- Nie mogę wprost... - Cameronowi zabrakło słów.

- Przyszedłem powiedzieć, że kolacja gotowa. Jeśli chcecie coś zjeść, radzę wam szybko zejść na dół.

Lauren przeciągnęła się.

- Już idę. Nie jadłam lunchu. - Nagle zaczęła się śmiać. - Chyba nie jadłam.

Psiakość, nawet nie pamiętam. A ty, Cam? Jadłeś kolację?

- Nie.

- To zapraszam.

Wstała i powoli, na sztywnych nogach, ruszyła do drzwi. Jadalnia na parterze przypominała szkolną stołówkę. Mniej więcej dwadzieścia osób, kobiet i mężczyzn w roboczych kombinezonach, siedziało przy trzech prowizorycznych stołach.

Cameron z przyjemnością by się do nich dosiadł, posłuchał, o czym mówią, ale Lauren zaproponowała, żeby wrócili z talerzami na górę. Nie chciała zostawiać pamiętników Isabel rozrzuconych po podłodze. Miała oczywiście rację.

Dwa obrócone do góry nogami wiadra posłużyły im za krzesła, latarka za lampę, własne kolana za stół, a kubki z kawą postawili na podłodze. Cameron pomyślał o tych wszystkich kolacjach, które jadał w eleganckich knajpach, o winie w kryształowych kieliszkach, o świecach ustawionych na białym obrusie, i uznał, że woli ten prosty posiłek pośród trocin i tynku.

Patrzył, jak Lauren nabiera na widelec kawałek kurczaka z makaronem. Miała na sobie robocze buty o sztywnych noskach, zachlapanie sztruksowe spodnie i brązowy sweter poplamiony białą farbą. Stały mu przed oczami wytwornie ubrane, zadbane kobiety, z którymi umawiał się na randki... i doszedł do wniosku, że żadna z nich nie dorównuje Lauren - która z pajęczyną we włosach i nosem czerwonym z zimna była najpiękniejszą istotą, jaką w życiu widział.

- Zadzwoiłam do ciebie z kilku powodów - rzekła. - Domyśliłam się, że będziesz chciał obejrzeć skrytkę. I miałam nadzieję, że podpowiesz mi, co zrobić ze znalezionymi w niej rzeczami.

- Podróżny sekretarzyk wart jest kilka tysięcy dolarów. Mogłabyś go sprzedać...

- Och, nie. Sprzedaż absolutnie nie wchodzi w grę.

- Mogłabyś zanieść wszystko do Muzeum Historycznego...

- Jakoś pomysł muzeum nie bardzo mi się podoba. Sama nie wiem dlaczego.

Pamiętnik Isabel wydaje mi się czymś osobistym; w pewnym sensie czuję się za niego odpowiedzialna...

- Rozumiem.

Siedzieli w blasku latarki, jakby odizolowani od reszty świata.

- Wiesz, co bym najbardziej chciała? Żeby rzeczy Isabel zostały w Rockland.

Tu jest ich miejsce.

Podniosła niepewnie wzrok.

- To prawda - przyznał. - Ale gdzie byś je trzymała?

- Biłam się z myślami i... Boże! - jęknęła, zasłaniając ręką oczy. - Doszłam do wniosku, że mogłabym w bibliotece urządzić archiwum. - Rozsunęła dwa palce i popatrzyła przez szparę na Camerona.

- Archiwum? - powtórzył, uśmiechając się pod nosem. - Innymi słowy salę muzealną? No, no, co za zmiana.



- Przesada z tą salą muzealną. Po prostu wstawiłabym dwie szklane gablotki. Niczego więcej bym nie zmieniała. Regały z książkami pozostałyby tak jak są. Wygodne fotele, w których można usiąść i poczytać, również.

- A gdzie sklepik z pamiątkami, gdzie magnesy z podobizną lady Gray?

- W piwnicy - odparła i oboje parsknęli śmiechem.

Po chwili popatrzyli na siebie z powagą, zdając sobie sprawę, jak bardzo im tego brakowało - własnego towarzystwa.

Lauren odchrząknęła, przerywając ciszę, po czym szybko nabrała na widelec kolejną porcję makaronu.

- Zastanawiałam się także, czy tobie by się ten pamiętnik nie przydał.

- Mnie?

- Zawarte w nim informacje, poprzepłatane ciekawymi anegdotami i faktami historycznymi... Mogłaby z tego powstać fascynująca książka.

- To świetny pomysł. Dziękuję. - Uśmiechnął się. Ona też. - Powiedz, o czym jeszcze Isabel pisała?

- O różnych codziennych sprawach. O tym, jak usmażyła pyszne powidła. O wizycie swoich siostrzenic z Maine. Wiesz, kiedy się o tym wszystkim czyta, ma się wrażenie, jakby czas stanął w miejscu, jakby Isabel nadal żyła. Swojego męża kochała do szaleństwa. Fragmenty, które mu poświęciła, stanowią najpiękniejszą opowieść miłosną.

Nie wiedzieć czemu, oboje zniżyli wzrok.

- Nie mogę się już doczekać - szepnął Cameron. - Ale najpierw muszę skończyć „Legendy”.

Odstawiwszy pusty talerz, Lauren podniosła kubek i podeszła do okna z widokiem na ocean. Na niebie świecił księżyc.

- Powiedziałaś, że wstawiłabyś do biblioteki dwie szklane gablotki...

- Tak.

- Nie sądzisz, że to... - plastikowym widelcem wskazał przedmioty znalezione w skrytce - zmieściłoby się w jednej?

Lauren zerknęła przez ramię.

- Rzeczy jest więcej. Monety, bibeloty, guziki, naczynia kuchenne, narzędzia...



Cameron wstał i również podszedł do okna; oparł się tyłem o parapet, tak aby w blasku księżycowych promieni widzieć jej zamyśloną twarz.

- To wszystko było w skrytce? - spytał. Skinęła głową.

- Tak. A teraz jest u mnie w przyczepie. Chcesz zobaczyć resztę?

- Koniecznie. Ale chętnie bym też obejrzał dom. Jeśli ci nie przeszkadza...

- Nie, nie przeszkadza. - Zamyśliła się. - Ciekawe, czy „Shenandoah” wypłynął dziś z portu?

- Skądże. Przecież jest październik.

- To co? Chłód jeszcze nie daje się we znaki...

- „Shenandoah” zawsze we wrześniu odbywa ostatni rejs, a potem czeka do wiosny.

Lauren zmarszczyła czoło.

- To niemożliwe. Przecież...

- Co przecież?

- Nic. - Potrząsnęła głową, po czym odeszła od okna. Podczas gdy chowała pamiętniki do starego sekretarzyka,

Cameron zebrał z podłogi talerze i kubki.

- Cieszę się, że zdołałeś wyjaśnić wszystko Eryce - powiedziała, zwrócona do niego plecami. - Nawet nie wiesz, jak okropnie się czułam. Zastanawiałam się, czy nie powinnam do niej zadzwonić, ale...

- Lauren...

- Ale uznałam, że sam najlepiej...

- Lauren... - powtórzył bardziej zdecydowanym tonem.

- Tak? - Wciąż nie miała odwagi spojrzeć mu w oczy.

- Eryka i ja zerwaliśmy ze sobą.

Poczuła ucisk w piersi; nie mogła nabrać powietrza.

- Przykro mi - szepnęła po chwili. Bała się odwrócić, żeby przypadkiem nie dostrzegł ulgi i radości w jej oczach.

Kiedy postanowiła go zaprosić, obiecała sobie, że będzie miła, uprzejma, ale że zachowa wobec niego dystans. Chciała mu tylko pokazać skrytkę w ścianie i

pamiętniki Isabel, co w żaden sposób nie mogło wpłynąć na ich stosunki. A jednak tak się nie stało.

Wiadomość o tym, że zerwał z Eryką, też nie powinna mieć dla niej jakiegokolwiek znaczenia. A jednak miała.

- Kiedy zerwaliście? - spytała.

- Wczoraj.

Podniosła sekretarzyk i obróciwszy się, zerknęła na Cama spod oka.

- Powiedz, że się do tego nie przyczyniłam...

- Nie przyczyniłaś się. Od jakiegoś czasu nie najlepiej nam się układało.

Miała nadzieję, że mówi prawdę.

- Jak się czujesz? Nie cierpisz?

- Nie. To ja chciałem zerwać. Opuściła spojrzenie.

- A ona? Jak się czuje?

- Nad wyraz dobrze. To się musiało tak skończyć, już nic nas nie łączyło.

Niestety, moi rodzice jeszcze nie wiedzą o zerwaniu. Przeżyją szok.

- Lubią Erykę?

- Tak. Od lat przyjaźnią się z Meade'ami. Żeglują razem, grają w tenisa. Pewnie od dawna marzyli o tym, że ich dzieci się kiedyś pobiorą. Właściwie to mama zaaranżowała nam pierwszą randkę... - Skierował się za Lauren w stronę schodów. - Nikogo za nic nie winię. Sam się Eryce oświadczyłem, ale cały czas miałem wrażenie, że rodzina popycha mnie w jej ramiona. Eryka, jak się wczoraj przekonałem, też czuła presję ze strony rodziców. Powtarzali jakieś bzdety o zegarze biologicznym, a przecież ona ma dopiero dwadzieścia pięć lat.

- Cam, nie musisz się tłumaczyć. Czasem popełnia się błędy. Dobrze, jeśli można je w porę naprawić.

Westchnął; napięcie odpłynęło mu z twarzy. Uśmiechając się ciepło, ujął w palce kosmyk jej rudych włosów. Odwzajemniła jego uśmiech. Miał na sobie sprane dżinsy, gruby czarny sweter, marynarkę z brązowego zamszu. Marzyła o tym, by się w nią wtulić. Promieniował jakąś magnetyczną siłą, której trudno było się oprzeć.

- Chodź - powiedziała. - Oprowadzę cię po domu.

Po raz ostatni spojrzała w okno, usiłując znaleźć jaskrawo oświetlony statek, który wczoraj widziała na wodzie. To niemożliwe, pomyślała, czując ciarki na plecach; musi istnieć jakieś logiczne wytłumaczenie. Może ktoś go wyczarterował? Może testowano nowe żagle? Może...

Pokazała Cameronowi wszystkie pokoje i łazienki na piętrze, po czym zeszli na dół. Stoły w jadalni były uprzątnięte, ale nie puste. Siedziało przy nich paru robotników, popijając kawę i grając w karty.

- Jesteście świetnie zorganizowani - stwierdził Cameron. - Ale kto gotuje? Kto sprząta?

- Wszyscy. Na zmianę. Jesteśmy podzieleni na trzyosobowe zespoły - odparła, ściskając pod pachą palisandrowy sekretarzyk. - Mamy w piwnicy wielką zamrażarkę i tony jedzenia, które wystarczy tylko podgrzać. Jest pięć mikrofalówek, stara kuchenka gazowa i lodówka, która poprzednio stała na parterze.

Cameron rozejrzał się po głównym holu.

- Sama to wszystko zrobiłaś?

- Tak. - Rozpierała ją duma. - Podziurawiłam dziesiątki gumowych rękawic, wypięłam hektolitry wody, zużyłam masę druciaków, ale wreszcie udało mi się zeskrobać cały brud. Nie wygląda to zbyt imponująco, ale jak się zapastuje... Na razie czekam, bo w powietrzu unosi się zbyt wiele kurzu.

Położył rękę na jej szyi, a ona poczuła się tak, jakby ją pocałował.

- Wygląda wspaniale - rzekł, po czym powiódł spojrzeniem po gołych ścianach. - Zamówiłaś już tapetę?

Cofnęła się; może jego dotyk był niewinny, ale wywoływał w niej całkiem niepożądaną reakcję.

- Prawdę mówiąc, zastanawiałam się, czy ich nie pomalować.

- Nie wolałabyś tapety z jakimś ładnym stylowym wzorem?

- Bo ja wiem? Podobają mi się ściany w starych willach, jakie widuje się w Toskanii albo w Prowansji. Chyba wiem, jak osiągnąć efekt, o jaki mi chodzi.

Zanim skończyła oprowadzać Camerona po parterze, wszyscy robotnicy pożegnali się i poszli do siebie. Lauren pogasiła światła, zamknęła drzwi i ruszyła w stronę przyczepy, która czasowo służyła jej za dom. Tam postawiła sekretarzyk na

kuchennym blacie i odwróciła się. Cameron z zaciekawieniem rozglądał się po wnętrzu.

- Stąd prowadzisz swoje interesy? - spytał. Skrzywiła się.

- Ostatnio częściej robię zakupy przez komputer, niż pracuję.

- Co częściej robisz?

- Zakupy.

- Nie rozumiem.

- Nie słyszałeś o E-Bay? - Usiadła na ławie przy biurku, poklepała puste miejsce koło siebie, po czym połączyła się z Internetem. - E-Bay to strona, na której ludzie wystawiają rzeczy na aukcji.

- Jakie rzeczy? - Pochylił się zainteresowany.

- Różne. Na przykład parę dni temu ktoś zgłosił stary kryształowy żyrandol, który świetnie wyglądałby w holu na parterze. Podobno jest w doskonałym stanie. Dziś rano proponowano za niego trzysta dolarów... - Przez moment czekała, aż na ekranie ukaze się odpowiednia informacja. - O psiakość. Ktoś daje pięćset dziesięć.

Zamierzała przejść na inną stronę, kiedy nagle Cameron zawołał:

- Poczekaj! To naprawdę cenny żyrandol!

- Wiem.

- Jak tu się licytuje? Co trzeba wcisnąć?

- O nie, nie namówisz mnie. Kupię sobie nowy za sto pięćdziesiąt.

- Nowy? - Popatrzył na nią zrozpaczony. - W porządku. To ja kupię ten stary.

- Ale nie dla mnie.

- Dla siebie. Będzie jak znalazł, kiedy mi w końcu sprzedasz dom. Co mam nacisnąć? Lauren, szybciej!

Dwie godziny później, po zaciętej walce z trzema innymi konkurentami, Cameron został dumnym posiadaczem kryształowego żyrandola. Niczym futbolista, który skacze po boisku, ciesząc się ze zdobytych punktów, Cameron poderwał się z ławki i zaczął skakać po przyczepie.

- Zwariował - powiedział Lauren, obserwując jego szal radości, po czym ostrożnie, żeby przypadkiem jej nie stratował, przeszła do części kuchennej, wyjęła z lodówki butelkę szampana i wyciągnęła korek. - Trzymaj. - Podała mu plastikowy

kubeczek, sobie wzięła drugi. - Gratuluję zakupu. Witaj w dwudziestym wieku. -  
Stuknęli się kubkami.

- Prawie w dwudziestym pierwszym.

- Boże, jak ten czas leci!

Wypiła łyk złocistego płynu, po czym zerknęła na zegarek. Zdumiała się, widząc, że jest kwadrans po jedenastej. Spędzili razem ponad sześć godzin, a miała wrażenie, jakby minęła chwila.

- Uważaj na sekretarzyk - ostrzegł ją Cameron, kiedy niechcący oparła się o blat. - Lepiej owiń go w ręcznik i schowaj w bezpieczne miejsce.

- Nie. - Potrząsnęła głową. - Ty go weź. Razem z zapiskami Isabel.

Przypomniałam sobie, że muszę jutro lecieć do Bostonu. Nie będzie mnie kilka tygodni.

- Wyjeżdżasz? - Posmutniał. - Na kilka tygodni?

- Tak. Muszę... muszę coś załatwić.

Nagle uświadomiła sobie, że wszystkie zmysły ma napięte: wzroku, węchu, słuchu. Podziwiała kształt ust Camerona, czuła świeży zapach jego ciała, słyszała najłżejszy szelest spodni czy marynarki. Próbując się otrząsnąć, sięgnęła po kartonowe pudło stojące na półce nad łóżkiem, które zawierało inne drobiazgi znalezione w różnych schowkach i zakamarkach. Cameron jednak nie był nimi zainteresowany.

- To co? Zaopiekujesz się? - spytała, owijając sekretarzyk ręcznikiem kąpielowym, a potem wkładając go do pudła.

- Tak, oczywiście. - Minę wciąż miał posepną. Wypił do końca szampana i wstawił kubek do zlewu. - Powinienem już iść. Wyśpij się przed drogą.

- Hm - mruknęła, ale wiedziała, że jest zbyt podniecona, by mogła zasnąć.

- Dzięki, Lauren. - Wziął od niej pudło. - Dawno tak miło nie spędziłem wieczoru.

- Musisz wieść bardzo nudne życie - powiedziała, starając się nie okazać, jak wielką przyjemność sprawiły jej słowa Cama.

- Zgadłaś. - Uśmiechnął się. - Ale to nie ma nic do rzeczy.

Postąpił dwa kroki w stronę drzwi, po czym gwałtownie odwrócił się, wpadając na Lauren. Oparła dłonie o jego klatkę piersiową. Sweter miał tak ciepły, jak się spodziewała. Ciało pod nim również.

- Cholera, nie chcę się z tobą rozstawać.

Postawił pudło na podłodze i zanim się zorientowała, co robi, uniósł jej prawą rękę i złożył na niej pocałunek, następnie powtórzył to samo z lewą. Ich spojrzenia się spotkały. Poczula, jak nogi się pod nią uginają.

- Nie chcę wracać do siebie... - Wziął ją w ramiona, wtulił twarz w jej włosy.

- Nie zmieniałam zdania, Cam - zaprotestowała cicho, właściwie tylko dla przyzwoitości.

- Pozwól mi zostać. Może cię przekonam... - Obsypał jej szyję pocałunkami.

- Nie przekonasz - wydusiła bez tchu.

- Może jednak?

- Nie powinniśmy się wiązać, Cam - szepnęła. Dreszcze przenikały ją od czubka głowy po czubki stóp. - Wiem, że coś nas nieustannie ciągnie do siebie, ale dokąd to nas zaprowadzi?

Przywarł ustami do jej ust, tłumiąc protesty. Westchnęła błogo, po czym wsunąwszy ręce pod jego sweter, objęła go w pasie tak mocno, że szpilki nie dałoby się pomiędzy nich włożyć.

- Może do sypialni? - spytał. - Co ty na to?

## Rozdział 13

Przeniósł ją na rękach wąskim korytarzykiem do sypialni na końcu przyczepy i razem opadli na łóżko. Lauren sięgnęła po pręcik opuszczający żaluzje, lecz była tak zdezorientowana, że nie wiedziała, z której strony go szukać. Nie przestając jej całować, Cameron podniósł rękę i jednym ruchem sprawił, że nikt ich nie mógł widzieć.

Zapominając o zewnętrznym świecie, Lauren odprężyła się i całą uwagę skupiła na tym mężczyźnie, którego tak łatwo było pokochać - na mężczyźnie, którego ona sama pokochała po raz drugi w życiu. A może zawsze go kochała? Może nigdy nie przestała kochać? Po chwili ich ciała drżały z napięcia, a pocałunki stawały się coraz bardziej namiętne.

- To szaleństwo, Cam - szepnęła, nabierając powietrza. - Zdajesz sobie z tego sprawę, co?

- Czasem trzeba być szalonym, żeby pozostać przy zdrowych zmysłach.

Uśmiechnęła się. Ponownie obsypał ją pocałunkami. Znów miała piętnaście lat, było lato i razem odkrywali świat zmysłów.

- Nie, Lauren, to nie jest szaleństwo - powiedział tuż nad jej uchem. - To najwspanialsza, najrozsądniejsza rzecz, jaką możemy zrobić. - Podniósł głowę i spojrzał jej w oczy. - Po tylu latach...

- Tak, po tylu latach...

Wsunęła rękę pod jego sweter i koszulę. Skórę miał gładką, gorącą. Pieścili się, gładzili, badali, poznawali na nowo - śmiało, bez skrępowania. Ściągnął z niej ubranie.

- Jesteś taka piękna - szepnął.

- Nie - zaprotestowała, kiedy zaczął rozpinać koszulę.

- Ja to zrobię. - Zaczęła wolno odpinać guzik po guziku.

- Co cię tak bawi? - spytał Cam, przechylając na bok głowę.

- Dawniej nie miałeś tak owłosionej skóry. Wybuchnął śmiechem.

- To prawda. - W jego oczach pojawił się błysk. - Parę innych rzeczy też cię zdziwi.

I faktycznie. Po chwili, gdy zdjął dżinsy, przekonała się, że ma małą białą bliznę pod prawym kolaniem; że uda ma szerokie i umięśnione; że nosi slipy, a nie bokserki... Tak, parę innych rzeczy też ją zdziwiło.

Przed piętnastu laty był nieśmiałym, niedoświadczonym chłopcem, który kierował się instynktem. Teraz był dojrzałym mężczyzną, który doskonale wiedział, co trzeba robić, aby sprawić kobiecie przyjemność.

- Lauren, kochanie. Przepraszam, muszę spytać... Bierzesz pigułkę?

- Nie. - Pigułkę? Ostatnio żyła niemal jak zakonnica. - A ty nie masz prezerwatywy?

- Nie.

- Cholera - jęknęła.

- Psiakość - westchnął. - Nie możemy ryzykować.

Leżeli niepokieszeni, nie zaspokojeni, ogarnięci żądzą, nerwowo szukając w myślach jakiegoś rozwiązania.

- Poczekaj chwilę.

Lauren wyskoczyła z łóżka. Czując absurdalną potrzebę zasłonięcia nagości, włożyła szlafrok i dopiero wtedy pobiegła do łazienki. Tam otworzyła nieduży kuferek, w którym trzymała kosmetyki, i zaczęła gorączkowo szperać po wszystkich kieszonkach i przegródkach. Wreszcie znalazła swój „podróżny” kapturek, jeden z dwóch, w jakie parę lat temu wyposażył ją ginekolog. Nigdy go dotąd nie używała.

Kilka minut później, w kusząco rozpiętym szlafroku, wróciła do sypialni. Cameron leżał na łóżku z rękami pod głową; wyglądał o niebo lepiej niż jakikolwiek model na zdjęciu.

- W porządku. Możemy - szepnęła, zsuwając szlafrok.

Pograżyli się w miłości, w świecie magii i czarów. On nie był już chłopcem, którego kochała, gdy miała piętnaście lat; był mężczyzną, silnym, doświadczonym, seksownym. Ona też nie była tą młodą dziewczyną, w której zakochał się jako nastolatek; była piękną, dojrzałą kobietą, która reagowała na każdy jego dotyk.

Nazajutrz padało, niebo było stalowoszare, morze wzburzone, ale siedząc w dusznej sali na promie, Lauren w ogóle nie zwracała uwagi na pogodę. Myślała o



Cameronie. Nawet dziś, w zimnym blasku dnia, wczorajsza noc wydawała się jej zaczarowana.

Cameron chciał zostać do rana, ona też tego pragnęła, ale ubłagała go, żeby ubrał się i wrócił do siebie. Inne przyczepy i barakowozy stały w pobliżu. Chociaż wyglądało na to, że wszyscy śpią, podejrzewała, że niektórzy robotnicy wiedzą, iż Cameron jest u niej. Często bywali w miasteczku. Miała świadomość, że wystarczy jedno nieostrożne słowo i znów zaczną się plotki.

Tak namiętnie zegnała się z Cameronem w drzwiach, że ponownie wylądowali w łóżku. Dopiero o drugiej nad ranem światła jego samochodu zniknęły jej z oczu. Siedząc teraz na ławie, patrzyła na ciężkie deszczowe chmury, które zwisały nisko na niebie, i uśmiechała się od ucha do ucha.

Idiotko, co tak szczerzysz zęby! - zganiła się w duchu. Jechała do Bostonu po pieniądze; musiała sprzedać kilka nieruchomości, by mieć pieniądze na kosztowny remont. Wszystko przez Camerona! Gdyby nie on, nie znalazłaby się w tak kłopotliwym położeniu. Nie wzięłaby udziału w licytacji Rockland, a już na pewno nie licytowałaby tak wysoko.

Owszem, proponował, że odkupi od niej dom, ale to nie wchodzi w rachubę. Sprzedaż Rockland byłaby równoznaczna z porażką. Zaniechanie remontu również.

A rachunki? A miesięczne spłaty zaciągniętego kredytu? Poczwała, jak opuszcza ją dobry humor. Musi coś wymyślić, jakoś zaradzić kłopotom. Nie dopuszczała do siebie myśli o porażce. Byłby to prawdziwy koszmar; zamiast wrócić na wyspę z dumnie uniesioną głową, stałaby się pośmiewiskiem.

Może sprzeda więcej domów, niż początkowo zakładała; to jej da pewien luz finansowy - i komfort psychiczny. Gdyby miała mniej nieruchomości, mogłaby ograniczyć liczbę personelu. Zrobiło jej się słabo. Nie, nie mogłaby; nikogo nie może zwolnić, a już na pewno nie teraz, przed zbliżającymi się świętami. A gdyby podniosła lokatorom czynsz? Nie, też nie może. Z tego samego powodu.

Za dwa dni wydział gospodarki przestrzennej ma rozpatrzyć jej podanie. Umówiła się z Joem, że będzie ją reprezentował. Wspólnie opracowali doskonały projekt, który spełniał wszystkie wymagania, mimo to podejrzewała, że otrzyma

decyzję odmowną. W radzie wydziału zasiadał Clayton Hathaway, więc instynkt jej mówił, by nie liczyła na zbyt wiele.

Na razie starała się nie myśleć o podaniach, odmowach, problemach; wołała skupić się na tym, co było wczoraj, co czuła, gdy leżała w ramionach Camerona, i próbować wyobrazić sobie, co będzie, gdy znów się spotkają.

Trochę się bała. Niewiele rozmawiali o tym, co zaszło. Całując ją na pożegnanie, poprosił, by szybko wróciła na Harmony, bo będzie za nią tęsknił. Ujął jej twarz w dłonie i długo wodził po niej wzrokiem, jakby chciał zapamiętać każdy szczegół. Ale nie robili żadnych planów na przyszłość, nie składali sobie żadnych obietnic.

Jedno wiedziała ponad wszelką wątpliwość: że nie uniknie bólu. Kochała Camerona, a jak powiadała jej matka: „Kto się zadaje z Hathawayami, ten prędzej czy później za to płaci”.

Był pewien, że schował kartkę do kieszeni marynarki, ale kiedy przejrzał wszystko, co miał na sobie tamtego wieczora, doszedł do wniosku, że musiał ją zostawić w przyczepie. Podjechał na drugi koniec wyspy, zaparkował przed Rockland i wyjaśnił Joemu swój problem.

- Chodzi o kartkę z telefonem faceta, z którym powinienem się skontaktować w sprawie żyrandola. Musiałem ją zostawić u Lauren w przyczepie. Sądziysz, że mógłbym tam wejść i sprawdzić?

Joe skrzywił się.

- No dobra - rzekł po chwili wahania, zaprowadził go do przyczepy, otworzył drzwi, po czym warknął: - Daj znać, jak skończysz.

Zdziwiło go nieprzyjazne zachowanie majstra. Joe zawsze był serdeczny, a dziś nawet się nie uśmiechnął. Czyżby wiedział o tamtej nocy? I jej nie pochwalał? Cam zaklął pod nosem. Nie tyle przeszkadzała mu dezaprobata Joego, co obawa, że wiadomość o nim i Lauren rozniesie się po miasteczku.

Rodzice nie byli zachwyceni, kiedy poinformował ich o zerwaniu zaręczyn. Matka niemal zemdląła. Oczywiście, winiła za wszystko Lauren i chociaż on stanowczo zaprzeczył, matka mu nie uwierzyła. Gdyby wyszło na jaw, że tuż po zerwaniu z Eryką spędził z Lauren pół nocy... wołał o tym nie myśleć.

Szukał kartki wśród rzeczy na biurku, pod stołem, na krześle. Potem sprawdził w kuchni. Też jej nie znalazł. Następnie przeszedł do sypialni. Unoszący się w powietrzu zapach Lauren sprawił, że serce zabiło mu szybciej. Potrząsnął głową i przystąpił do szperania. Łóżko było starannie zasłane, lecz barwną narzutę przykrywały dziesiątki papierów. Powinien był wiedzieć, że nie będzie wśród nich kartki z numerem telefonu, ale jakoś o tym nie pomyślał.

Po paru minutach z przerażeniem uświadomił sobie, co robi. Przeglądał kwity, rachunki, wyciągi bankowe, kosztorysy, dane odnośnie wypłat pracownikom w Bostonie i robotnikom pracującym przy remoncie. Widniejące sumy mogły przyprawić o zawrót głowy. Ponownie zerknął na listę posiadanych przez Lauren nieruchomości, na zestaw strat i zysków, na wyliczenia dotyczące przewidywanych zysków ze sprzedaży poszczególnych domów. Nagle ogarnęły go wyrzuty sumienia; nie powinien grzebać w cudzych dokumentach, ale ciekawość zwyciężyła.

Nie ulegało wątpliwości, że Lauren znalazła się w tarapatkach finansowych. Wypuścił z ręki liczący pięć stron zestaw wydatków przygotowany przez elektryka i popatrzył z namysłem na zawalone papierami łóżko. Przyszło mu do głowy, że powinien się cieszyć. Właśnie na to liczył. O tym marzył.

Tymczasem wcale nie odczuwał radości. Lauren była osobą dumną, silną, ambitną; jej porażka zasmuciła go. W pewien sposób to on doprowadził ją do ruiny finansowej. Podbijając cenę na licytacji, zmusił do zapłacenia dużo wyższej ceny, niż musiała. Żałował, że nie powiedziała mu o swoich kłopotach. Ale co by to dało? Co mógłby zrobić? Współczuć? Tak. Zaradzić problemom? Nie, bo była zbyt uparta, aby przyjąć pomoc finansową. Słyszając kroki na metalowych stopniach, poderwał się z łóżka, ale nie zdążył opuścić sypialni.

- Dlaczego tu wlałeś? - spytał gniewnie Joe.

Wiedząc, że nie umie kłamać, Cameron postanowił trzymać się prawdy. Wyjaśnił Joemu, że najpierw szukał zguby w kuchni, potem przy biurku, aż wreszcie...

Joe zacisnął zęby. Jego oczy płonęły złością.

- Nie powinieneś wchodzić do jej sypialni - oznajmił, ledwo nad sobą panując.

Nagle Cameron dostrzegł na podłodze kartkę, na którą wcześniej nie zwrócił uwagi; była prawie niewidoczna, ukryta pod plastikowym pojemnikiem.

- O, jest - rzekł, schylając się po nią. Joe potrząsnął niecierpliwie kluczami.

Dobrze, w porządku, już idę, pomyślał Cameron. Nie zamierzał się przejmować humorami zatrudnianych przez Lauren fachowców. Jak mają muchy w nosie lub chcą się wściekać... Uszedłszy jednak parę kroków po usłanym jesiennymi liśćmi trawniku, zmienił zdanie.

- Cholera jasna! - mruknął, kierując się z powrotem do przyczepy. - Możesz mi powiedzieć, czym ci się naraziłem?

Joe wyciągnął klucz z zamka i obejrzawszy się, zmierzył Camerona gniewnym wzrokiem, po czym potarł kark i westchnął.

- O co chodzi twojemu ojcu? - spytał wreszcie.

- Mojemu ojcu?

- Tak. Co ma przeciwko Lauren?

- Dlaczego pytasz?

Joe ponownie się skrzywił, lecz widząc, że Cameron nie udaje, że naprawdę nie rozumie, zaprosił go do domu - na kawę i szczerą, rzeczową rozmowę.

- Tato! - Prosto z Rockland Cameron pojechał do domu rodziców. Przez chwilę chodził od pokoju do pokoju, szukając ojca. Znalazł go w sali gimnastycznej, podnoszącego ciężary. - Mogłeś mnie przynajmniej uprzedzić - rzekł z pretensją w głosie.

- O czym? - wysapał Clayton Hathaway.

- Że wczoraj rozpatrywaliście podanie Lauren.

- A, to. - Ojciec opuścił sztangę i usiadł na ławce. - Ty mnie nie uprzedziłeś, że zamierzasz zerwać z Eryką.

- Bo to ciebie nie dotyczy.

- A to ciebie nie dotyczy.

- Dotyczy. Bo chodzi o Lauren.

Wreszcie to z siebie wyrzucił. I natychmiast zobaczył, jak ojciec napina ze zdenerwowania mięśnie.

- Ty głupi bęcwale! Znów się do niej dobierałeś?

W Cama wstąpiła furia. Zaciśnął ręce na koszulce ojca.

- Uważaj, co mówisz - ostrzegł go.

Starszy mężczyzna popatrzył na ręce syna, po czym spokojnie podniósł wzrok.

- Co ty, do licha, robisz? - spytał.

- A ty, tato? Co ty robisz? - Wzdychając z rozgoryczeniem, Cameron cofnął się parę kroków.

Clayton wygładził koszulkę i wyprostował ramiona.

- Ja? Postępuję zgodnie z planem, który wymyśliliśmy w lipcu, kiedy ta mała upokorzyła cię podczas licytacji. Czyżbyś zdążył już zapomnieć?

- Nie zapomniałem, tato, ale zaszły pewne zmiany. Daj jej to pozwolenie.

- Przykro mi. Nie mogę.

- Dlaczego? Co za różnica, czy przerobi garaż na mieszkanie? Połowa ludzi na wyspie postawiła sobie w ogrodzie domki, które wynajmuje latem turystom. Ojciec świdrował go wzrokiem.

- Nie rozumiem cię, chłopcze. Dlaczego mam jej cokolwiek dawać? Pomijając wszystko inne, ona nie zamierza tu zostać. Postanowiła oddać dom...

- Wiem. - Cameron przeczesał ręką włosy. - Po prostu nie chcę, żeby zbankrutowała, a na to się zanosi. Zbyt wiele stara się osiągnąć, w zbyt krótkim czasie, zbyt wielkim nakładem kosztów.

- Czynsz za jedno małe mieszkanko jej nie zbawi.

- Zbawić nie zbawi, ale trochę pomoże. A później, kiedy pensjonat zacznie funkcjonować... - Nagle urwał. - Z tym też jej będziesz czynił trudności, prawda?

Clayton Hathaway wzruszył ramionami, dając synowi jasno do zrozumienia, że niczego nie będzie Lauren ułatwiał. Cameron przypomniał sobie inne pomysły, o których mówiła, na przykład o wynajmowaniu ogrodu na przyjęcia weselne. Tak, przy odrobinie szczęścia i wysiłku Lauren mogłaby zarobić na utrzymanie Rockland, o ile tacy ludzie jak Clayton nie sprzeciwialiby się jej na każdym kroku. Oczywiście nie sam Clayton podejmował decyzję; komisja, w której skład wchodził, liczyła pięć osób, ale mógł wszystko przeciągać, grać na zwłokę, a im dłużej będzie trwał remont, w tym większe Lauren popadnie długi.

Ojciec wstał z ławki i narzucił na siebie górę od dresu.

- Nie wtrącaj się, synu. Posłuchaj rady swego staruszka i nie wtrącaj się. Dla własnego dobra. Zobaczysz, wszystko się rozwiąże. Ta dziewczyna... tracisz przy niej rozum. -

Clay pokręcił smutno głową. - Im szybciej stąd wyjedzie, tym lepiej. Może wtedy oprzytomniejesz.

Cameron opuścił dom rodziców z poczuciem klęski. Znalazł się w pułapce, w sytuacji bez wyjścia. Miał świadomość, że to długo nie potrwa, że wkrótce będzie musiał zająć jakieś stanowisko, opowiedzieć się po jednej lub drugiej stronie.

Oczywiście był po stronie Lauren, ale czy mógł odwrócić się od własnych rodziców? A ona? Ile czasu pozostanie na wyspie? Czy uda mu się ją przekonać, aby porzuciła Boston? Podejrzywał, że nie. Co wtedy? Ona wyjedzie, a on dalej będzie tu mieszkał, tyle że skłócony z Pru i Clayem.

Może ojciec ma rację. Może nie powinien się wtrącać. Niech się dzieje, co chce. Ale czy mógłby patrzeć beczynnym, jak inni krzywdzą Lauren? Nie. Miał wrażenie, że błądzi po omacku, szukając rozwiązania, które nie istnieje.

Początek listopada był zimny, mglisty, deszczowy. Z pokładu promu Lauren widziała, że w opustoszałym porcie stoi tylko kilka kutrów. Liście opadły z drzew, ulice były puste, cisza niemal dzwoniła w uszach.

Lauren była w nastroju odzwierciedlającym kolor wyspy - szarym i ponurym. Gdy załatwiała sprawy w Bostonie, wydział gospodarki przestrzennej odrzucił jej podanie, i to dwukrotnie - raz na normalnym posiedzeniu komisji, a tydzień później na specjalnie zwołanym zebraniu.

Po głębokim namyśle doszła do wniosku, że przy najbliższej okazji porozmawia osobiście z Claytonem Hathawayem. Rozmawiała już ze swoim prawnikiem, któremu dokładnie przedstawiła całą sytuację i opowiedziała o konflikcie obu rodzin. Prawnik uznał, że Lauren ma podstawy, by oskarżyć

Claytona o działanie na jej niekorzyść z pobudek osobistych. Pomyślała, że jeśli Hathaway się o tym dowie, może zmieni swoje postępowanie. Ale jeżeli się uprze, wtedy...

Nie miała pojęcia, co robi. Nie zamierzała się wycofać. Musiała zdobyć pozwolenie, walczyć o to, co jej się słusznie należy. Nie była jednak pewna, czy

starczy jej siły i odwagi, by stawić czoło temu, co ją niewątpliwie czekało, jeśli skieruje sprawę do sądu. A czekało ją to, że nazwisko DeStefano i historia rodziny znów będzie na ustach wszystkich.

Może, jeżeli rozmowa z Claytonem nie przyniesie rezultatu, powinna porozmawiać z innymi członkami komisji. Może wykażą większy rozsądek, może nie będą chcieli być ciągnięci po sądach. Oby. Miała serdecznie dość biurokratycznych potyczek. Było jej też szkoda pieniędzy na procesowanie się. Poza honorarium dla prawnika, musiałaby opłacić mu również koszty przelotu oraz pobytu na wyspie. Najbardziej jednak chciała uniknąć dodatkowego stresu. Radość, którą czerpała z odnawiania pięknego, lecz zniszczonego domu, zniknęła. Nawet szukanie mebli nie sprawiało jej przyjemności.

Do tego wszystkiego dochodził jeszcze Cameron. Nie umiała zapomnieć o tym, co się wydarzyło w wieczór poprzedzający jej wyjazd do Bostonu. Co będzie, jeśli pozwie do sądu Clayтона Hathawaya? Jeżeli trzeba będzie dokonać wyboru, po której stronie opowie się jego syn? Nietrudno się domyślić.

Pograżona w myślach, jechała wzdłuż Water Street, kiedy nagle ktoś w samochodzie za nią zatrał. Zerknąwszy do lusterka, zobaczyła Camerona. Mimo ohydnej pogody, mimo kłopotów finansowych, mimo kłód, jakie rzucał jej pod nogi Clayton, poczuła, jak radość przepelnia jej serce.

Nie możesz pozwolić, żeby to się ciągnęło, powiedziała sama do siebie. To ślepy zaułek, związek bez szans i bez przyszłości. Zatrzymała auto przy krawężniku; Cameron zaparkował równolegle do niej, po czym odkręcił szybę. Przez długą chwilę siedzieli, nie odzywając się, po prostu pieszcząc się wzrokiem.

- Cześć - przemówiła w końcu. - Właśnie wróciłam.
- Wiem. Czekałem.
- Skąd wiedziałeś, że dziś przyplynie?
- Nie wiedziałem. Tkwię tu od twojego wyjazdu. Nie śpię. Nie myję się.

Dobrzy ludzie podrzucają mi jedzenie.

- Przestań! - Wybuchnęła śmiechem.
- Jedziesz do domu? Wzruszyła ramionami.
- A gdzieżby indziej?



- Mogę ci towarzyszyć?

- Hm... - Zmarszczyła lekko czoło. - To chyba nie najlepszy pomysł, Cam. - Kichnęła i wyciągnęła z torebki chustkę do nosa. - Jestem przeziębiona, choć to bez znaczenia. Po prostu... mam mnóstwo rzeczy do zrobienia. Będę zajęta przez najbliższe trzy, cztery godziny.

Spojrzenie Cama przygasło, na twarzy odmalował się zawód.

- Zadzwonisz, kiedy się ze wszystkim uporasz?

- Dobrze, ale dziś chyba nie dam rady - odparła. Westchnął ciężko.

- Chodzi o odmowę z gospodarki przestrzennej, prawda?

Skinęła głową.

- To mi uzmysłowiło, kim jestem i kim ty jesteś - rzekła. - Tego się nie da przeskoczyć.

- Nie miałem z tą sprawą nic wspólnego!

- Wiem. Mimo to uważam, że nie powinniśmy się spotykać. Kilka najbliższych tygodni może być dość nieprzyjemnych. Za parę dni zjawi się mój prawnik.

- Rozumiem.

- Jeżeli będziemy się widywać, twoja lojalność zostanie wystawiona na ciężką próbę. Zaczniemy się kłócić... Wolałabym tego uniknąć. Chcę nas zapamiętać takich, jakimi byliśmy tamtej nocy, a nie skłóconych i zagniewanych.

Sfrustrowany, zacisnął ręce na kierownicy i wypuścił z płuc powietrze. Miał ochotę sprzeciwić się, wyjaśnić jej, że nie ma racji. Ale miała, i dobrze o tym wiedział.

- To boli - szepnął.

- Później bolałoby jeszcze bardziej - rzekła. - No, muszę już jechać i wziąć jakieś leki, bo nos mam całkiem zatkany. Trzymaj się, Cam.

Zanim zdołał odpowiedzieć, wrzuciła bieg i ponownie włączyła się w ruch.

Pomimo licznych problemów humor jej się poprawił, gdy tylko skręciła w podjazd przed domem. Przez moment siedziała wsparta o kierownicę, podziwiając wspaniałą budowlę, jaka wznosiła się przed nią. Nareszcie mogła ją w pełni docenić. Rusztowania zniknęły, okiennice były zamontowane, weranda pomalowana. Dostojnie wyglądające kolumny lśniły bielą nawet w pochmurny dzień. A z dwóch kominów unosił się dym!



I nagle pomyślała, że właśnie taki widok, tę fasadę, ujrzy jej matka, tyle że dom będzie świątecznie przystrojony.

Naciskając pedał gazu, podjechała pod drzwi, po czym wbiegła do środka.

Tu jej entuzjazm nieco opadł. Wciąż było wiele do zrobienia. Podziękowawszy ekipie za sprawne dokończenie prac na zewnątrz, razem z Joem ruszyła w obchód domu, sprawdzając, co zostało wykonane podczas jej trzytygodniowej nieobecności.

Kuchnia była prawie skończona: ściany pomalowane na jasnokremowy odcień, szafki idealnie dopasowane, podłoga pokryta terakotą, blaty położone, zlewy zainstalowane. Brakowało tylko drobiazgów, takich jak krany czy uchwyty.

Łazienki, zarówno te na parterze, jak i te na piętrze, też były niemal gotowe. Na widok luksusowej wanny z urządzeniem do hydromasażu, którą kazała wstawić do łazienki przylegającej do własnej sypialni, aż zapiszczała z radości.

Mimo ogromnych postępów, jakie robotnicy poczynili, Lauren miała jednak świadomość, że koniec nie jest bliski. Zaprosiła więc Joego do swej przyczepy na rozmowę, usiadła na ławie przy stole i wskazała mu miejsce naprzeciwko.

- Dom wygląda świetnie - pochwaliła majstra.

- To prawda. - Oparł duże, spracowane dłonie na stole. - Więc w czym problem?

- W tym, że ciągnie się to za długo.

- Tak myślałem. - Popatrzył na nią ze skruszoną miną. Remont miał się zakończyć przed Świętem Dziękczynienia, najpóźniej w pierwszych dniach grudnia, a zanosilo się na to, że trochę jeszcze potrwa.

- Muszę zacząć myśleć realistycznie, nie kierować się dumą. Wszyscy mnie uprzedzali, że tak duży remont w tak krótkim czasie to marzenie ściętej głowy. Mieli rację. Jest to za duże obciążenie psychiczne, lecz przede wszystkim finansowe.

- To znaczy... Chyba nie...

- Nie obawiaj się. Przywiozłam pieniądze dla ekipy i dostawców. Mam nawet co nieco na kupno mebli. Nie mogę przecież zaprosić rodziny i kazać wszystkim spać na podłodze.

Starala się nie myśleć o tym, co musiała sprzedać, aby zdobyć potrzebną gotówkę: ponad połowę swoich nieruchomości. Nie miała trudności z ich zbyciem; od dłuższego czasu przynosiły skromny, lecz stały zysk.

- Niestety, muszę poskromić ambicje, bo na wszystko nie będzie mnie stać - podjęła po chwili. - Chciałabym, żeby remont zakończył się za dwa, najdalej trzy tygodnie. Powinniśmy się zastanowić, co jeszcze trzeba zrobić i ile czasu to zajmie.

Prognoza była o wiele lepsza, niż się Lauren spodziewała. Według słów Joego, do Dnia Dziękczynienia właściwie wszystko będzie gotowe; zostanie tylko malowanie i tapetowanie.

- Ale ściany będą zagruntowane, wygładzone, drewno oczyszczone...

Odetchnęła z ulgą. Zależało jej głównie na trzech pokojach: na salonie, by rodzina mogła zbierać się wokół pięknie przystrojonej choinki; na jadalni, by można było w przyjemnym otoczeniu jadać świąteczne posiłki; i na Kojnicy Lady Gray. W razie czego gotowa była wezwać miejscowego malarza, a nawet sama zakasać rękawy. Malowanie ścian nie wymagało jakichś szczególnych umiejętności, a przy kładzeniu tapet miała sporo doświadczenia.

- Jeżeli kupisz lampy, to też zdążymy je zamontować - dodał Joe.

W niektórych pokojach paliło się światło, w innych, w których chciała umieścić żyrandole, kinkiety lub lichtarze, trzeba było świecić sobie latarką.

- Oświetleniem się nie przejmuję. Na razie wystarczy to, co jest, a później zobaczymy. Bardziej mnie interesuje podłoga. Co z cyklinowaniem, uszczelnianiem szpar...

Joe wydał policzki i przez chwilę myślał, po czym skinął głową.

- Dobra - powiedział, wypuszczając z płuc powietrze.

- Zrobi się.

- Dacie radę? - Uśmiechnęła się radośnie. - Naprawdę?

- Tak, jeżeli główny hol zostawimy nie pomalowany. Lauren westchnęła: psiakość, hol i schody też są ważne.

Oczami wyobraźni widziała Audrey DeStefano w eleganckiej sukni wieczorowej schodzącą na dół po pięknych, szerokich schodach.

- Na pewno nie chcesz, żeby kilku z nas zostało trochę dłużej? - spytał troskliwie Joe. - Mogę pracować na kredyt.

- Och, nie. Po co mi więcej długów? A nikomu z mojej rodziny nic się nie stanie, jeżeli nie będą mieli świeżo pomalowanych ścian. Zresztą podejrzewam, że mama może mieć parę pomysłów dotyczących wystroju...

Teraz, kiedy знаła termin zakończenia remontu, poczuła się znacznie spokojniej. Jakby kamień spadł jej z serca. Później, po świętach, będzie miała mnóstwo czasu na malowanie i urządzenie wnętrza. Może do tego czasu zdoła podreperować trochę finanse?

Wprawdzie nie dokończony dom nie był tym, co sobie wymarzyła na prezent gwiazdkowy dla mamy, ale i tak się cieszyła. Mogło być przecież o wiele gorzej.

Cameron siedział przy biurku w pokoju na terenie ratusza, kiedy nagle ujrzał Lauren podążającą do gabinetu Claytona po drugiej stronie korytarza. Poderwał się z miejsca, ale zanim dobiegł, zniknęła w środku. Przytknął ucho do drzwi, usiłując podsłuchać rozmowę. Bezskutecznie.

Wciąż przemierzał korytarz, kiedy drzwi się otworzyły i Lauren wyszła na zewnątrz. Twarz miała zaczerwienioną, spojrzenie pałające wściekłością.

- Co się dzieje? - spytał.

W odpowiedzi pokazała mu figę z makiem. Zatkanęło go. Bez słowa patrzył, jak z dumnie uniesioną głową maszeruje ku schodom.

- Do diabła... - Wparował do gabinetu ojca. - Tato?

- Co! - warknął Clayton. - Co?! Cameron zamknął drzwi.

- O co wam poszło?

- O naszą odmowę. - Clayton podniósł jakieś papiery, zaczął przeglądać, po czym cisnął je z powrotem na biurko. - Powiedziała, że zamierza posłuchać rady swojego prawnika i oskarżyć nas, mnie i wydział gospodarki przestrzennej, o dyskryminację i stronniczość. Wyobrażasz to sobie? Co za tupet!

No dobrze, ale dlaczego mnie się oberwało? - zastanawiał się Cameron.

- Co jej odpowiedziałeś?

- Proszę bardzo, niech oskarża. My też mamy prawników.

Cameron stanął w oknie i patrzył w dół na parking, dopóki Lauren nie wyszła z budynku.

- Nic z tego nie rozumiem, tato. Przecież mówiłem ci, że nie zależy mi na blokowaniu jej starań. - Odwrócił się twarzą do ojca. - Nawet prosiłem cię, żebyś poszedł jej na rękę. Remont, którego się podjęła, jest potwornie kosztowny. Nie zdawałem sobie wcześniej sprawy, jak ogromnych nakładów finansowych będzie wymagał. Jeżeli Rockland kiedykolwiek przypadnie mi w udziale, będę musiał postąpić identycznie jak Lauren. A dziwnie będzie wyglądało, jeśli jej podanie rozpatrzysz negatywnie, a moje pozytywnie.

Clayton otworzył szufladę bez żadnej konkretnej przyczyny, zajrzał do środka, po czym ją zasunął.

- Poza wszystkim innym - ciągnął Cameron - ona naprawdę nie zasługuje na takie traktowanie. Od lat ciężko pracuje, a wiesz dlaczego? Żeby pomóc rodzinie, żeby opłacić rodzeństwu studia. Jest osobą wyjątkowo hojną i niesamolubną. W dodatku niesłychanie wrażliwą. Ten tupet, o który ją oskarżasz, to tylko gra.

- No, no, widzę, że niezłe zamaściła ci w głowie. A nie pamiętasz, co było, kiedy mieliście po kilkanaście lat? Nie pamiętasz, co zrobiła?

- Pamiętam, co ty i mama twierdzicie, że zrobiła. Ale wiesz co? Mylicie się. Lauren wcale nie usunęła dziecka. Miała poronienie.

Clayton podniósł się z fotela i wolno obszedł biurko.

- Jesteś pewien?

- Tak. Chciała mi pokazać swoje wyniki badań.

- Wciąż uważam, że popełniasz błąd.

- Jaki? Po prostu usiłuję dociec, dlaczego chcesz się jej pozbyć z wyspy.

Starszy z Hathawayów usiadł z powrotem przy biurku, skrzyżował ręce na piersi i utkwiał wzrok w podłodze.

- W porządku. Nie chciałem ci o tym mówić, Pru nigdy mi tego nie wybaczy. Ale... może wtedy zrozumiesz mnie.

Cameron zeszywniał. Ojciec miał taką minę, jakby zamierzał odsłonić przed nim swe prawdziwe oblicze, a on wcale nie był pewien, czy chce je zobaczyć.

- Nie tyle zależy mi na tym, żeby wygnać Lauren z wyspy - na moment Clayton wstrzymał oddech; w jego oczach czaił się ni to strach, ni to rezygnacja - co na tym, żeby jej matka tu nie wróciła.

## *Rozdział 14*

Gdy odnalazł Lauren, siedziała w samochodzie naprzeciwko domu, który dawniej należał do jej rodziców. Nowi właściciele zmienili pokrycie dachu i dobudowali kilka pomieszczeń, poza tym jednak był to ten sam dom, w którym mieszkała jako dziewczynka.

Cameron zaparkował nieopodal i wysiadł. Kiedy podszedł kilka kroków, zobaczył łzy na jej policzkach. Zastukał w okno.

- Odejdź - powiedziała, podnosząc do oczu chustkę.
- Lauren, musimy porozmawiać. Ponownie zastukał; po chwili odkręciła szybę.
- Zostaw mnie. - Popatrzyła na kluczyk w stacyjce.

Zanim wpadła na pomysł, by włączyć silnik, Cameron okrążył maskę, otworzył drzwiczki od strony pasażera i szybko wsiadł do środka.

- Co się stało? Dlaczego płaczesz?

Sięgnęła do torebki po kolejną chustkę, po czym wytarła łzy, usuwając ślady swojej słabości.

- Pamiętasz, dlaczego moi rodzice opuścili Harmony? - spytała.
- Tak. Z powodu kłopotów finansowych.
- Łagodnie powiedziane. Ojciec pod zastaw domu wziął z banku pożyczkę, żeby rozkręcić hodowlę ryb. Interes nie . wypalił i straciliśmy dom.
- Słyszałem.
- Byłeś tu tego dnia, kiedy urządzono licytację? Zastanawiał się, dlaczego go o to pyta.
- Nie. Byłem w szkole. Poza wyspą.

- Faktycznie. Więc nie widziałeś tych ludzi, którzy stali na trawniku przed domem, gapili się i plotkowali, prawda? A wiesz, że w czasie licytacji myśmy dalej tu mieszkali?

O tym nie wiedział. Nie wiedział również, do czego Lauren zmierza ani w jaki sposób zdoła jej opowiedzieć niesamowitą historię, którą przed chwilą usłyszał od swego ojca.

- Stałam tam - kontynuowała, wskazując podjazd z siostrami. Próbowałam im wytłumaczyć, że osoby biorące udział w licytacji nie chcą nas skrzywdzić, a sąsiedzi nie życzą nam źle. Ale chyba mówiłam bez większego przekonania, bo siostry cały czas płakały i zadawały pytania, na które nie umiałam im odpowiedzieć. Mama była w środku z dwójką najmłodszych dzieci. Wiedziałam, że ona też płacze.

Cameron pochylił się i delikatnie ją objął.

- Lauren, o co chodzi? Dlaczego mi to mówisz?

Pociągnęła nosem, wytarła oczy i uniosła dumnie głowę. Udawała opanowaną. Domyślał się, ile wysiłku ją to kosztuje.

- Nie mogłam zrozumieć, dlaczego hodowla ryb padła. Tata nigdy nie robił nic pochopnie, do wszystkiego się starannie przygotowywał. Teraz wiem, dlaczego poniósł fiasko. - Patrzyła prosto przed siebie. - Przez twojego ojca.

- Jak to? - zdumiał się.

- Kiedy byłam dziś u niego w biurze, radził mi, żebym się poddała, bo nigdy z nim nie wygram. Gdy spytałam, skąd ma tę pewność, odparł, że załatwił mojego ojca, więc załatwi i mnie.

Cameron zbladł.

- Może miał co innego na myśli?

Odwróciła głowę i przyjrzała mu się uważnie; jej oczy iskrzyły się furia.

- Nie, dokładnie to. Nie wiem, jak doprowadził mojego tatę do ruiny, ale z całą pewnością to była jego robota.

- Zamierzasz wystąpić na drogę sądową? - spytał Cameron, pocierając ręką brodę.

- Nie wiem. Twój ojciec wszystkiemu zaprzeczy, a dowody już dawno postarał się zniszczyć.

W oknie dawnego domu DeStefanów poruszyła się firanka; ktoś spoglądał na ulicę. Lauren sięgnęła do kluczyka w stacyjce.

- Jeśli chcesz porzucić swój samochód, to siedź. Jak nie, to wyskakuj.

- Do diabła z samochodem. Zresztą, beze mnie i tak nigdzie nie pojedzie.

- W porządku. - Przekręciła kluczyk i ruszyła. Cameron oparł się wygodnie w fotelu.

- Może mój ojciec próbował cię jedynie nastraszyć - rzekł. - Jeżeli jednak... Jeżeli to, co mówisz, jest prawdą... Boże, tak mi przykro, Lauren. Przepraszam.

Minęli cmentarz, na którym przed laty całowali się w drodze ze szkoły, potem minęli szosę prowadzącą do miasteczka.

- Ja też przepraszam. Za swoje zachowanie w ratuszu. Za tę figę z makiem. Wiem, że nie jesteś niczemu winien. Ale akurat stałeś za drzwiami jego gabinetu i nosisz to samo nazwisko co on... - Zatrzymawszy się na skrzyżowaniu, rozejrzała wkoło, zła i zdezorientowana. - Co ja tu robię? Dokąd mam jechać?

- Lauren, musimy porozmawiać.

- Wcale nie.

- Musimy - powtórzył z naciskiem. - Może wstąpmy do mnie, co? Nikt nam nie będzie przeszkadzał.

Przez moment na jej twarzy malowała się cała gama odczuć, po czym bez słowa nacisnęła pedał gazu.

Wkrótce dotarli na miejsce. Kiedy weszli do środka i zdjęli kurtki, Cam poprosił Lauren, aby zrobiła im obojgu gorącą czekoladę, a sam zaczął rozpalać ogień w kominku. Podjął rozmowę dopiero wtedy, gdy siedzieli wygodnie na kanapie, grzejąc się w ciepłe buchających płomieni.

- Kiedy wyszłaś z ratusza - rzekł - odbyłem z ojcem rozmowę. Wyobraź sobie, że zdradził mi wielką tajemnicę.

Popatrzyła na niego zmieszana, a on miał ochotę zlizać malutki okruszek, który tkwił na jej wardze.

- Jeżeli naprawdę mój ojciec doprowadził twojego do ruiny finansowej, to chyba wiem dlaczego...

- Od lat narastała pomiędzy nimi wrogość. Wiele rzeczy się na nią składało, ale przypuszczalnie moja ciąża przeważała szalę. Rzucili się wtedy na siebie jak dwa rozjuszony psy.

- Tak, ale wszystko zaczęło się wcześniej.

- Wiem, od reformy podatkowej.

- Jeszcze wcześniej.

- Zawsze mieli odmienne zapatrywania polityczne.

- Nie w tym rzecz.

Odstawiła gliniany kubek na stół, podwinęła pod siebie nogę, po czym z zaciekawieniem odwróciła się do Camerona.

- Lauren, nie wiem, jak ci to powiedzieć, więc najlepiej będzie, jak powiem wprost. Oby to nie był błąd. - Czując silną potrzebę kontaktu fizycznego, położył rękę na oparciu kanapy, tak by dosięgnąć ramienia Lauren. - Jakieś dwadzieścia lat temu mój ojciec miał romans z twoją matką.

Przestała oddychać. Krew odpłynęła jej z twarzy.

Cameron nie wiedział, co robić: mówić dalej czy wziąć Lauren w ramiona i starać się ją pocieszyć. Po dłuższej chwili oszołomiona pokręciła głową.

- Mylisz się - szepnęła.

- Chciałbym, ale sam się do tego przyznał. Gdyby to nie była prawda, po co by mówił coś takiego? I to mnie, ukochanemu synowi, który zawsze darzył go szacunkiem?

- Moja mama z twoim ojcem? - Na jej twarzy przerażenie walczyło z niedowierzaniem.

- Wydaje się to niemożliwe, a jednak...

- Dwadzieścia lat temu? - Głos jej drżał. - Miałam wtedy dziesięć lat. Nie przypominam sobie nic w zachowaniu mamy, co by mogło wskazywać na... Boże, słowo „zdrada” nie chce mi nawet przejść przez usta.

- Romans nie trwał długo. Jakieś dwa miesiące. Podobno oboje mieli straszne wyrzuty sumienia i postanowili więcej się nie widywać. Kochali swoich partnerów i pragnęli utrzymać małżeństwa. Niestety, o wszystkim dowiedziała się moja matka,



która nie potrafiła przejść nad tym do porządku dziennego. To ona od lat dolewa oliwy do ognia, starając się podtrzymać nienawiść pomiędzy naszymi rodzinami.

- Ciekawe, czy mój ojciec o tym wiedział? - Po chwili sama odpowiedziała sobie na swoje pytanie: - Musiał. Inaczej tak zażarcie nie walczyłyby z twoim.

Cameron wzruszył ramionami.

- Może. W każdym razie od tego się zaczęło. Od romansu.

- Wprost nie mogę uwierzyć. Moja mama?

- Niesamowite, prawda? Okazuje się, że wszyscy mamy na sumieniu jakieś grzechy.

Siedzieli bez słowa, zamyśleni, wsłuchani w trzask płomieni i tykanie zegara. Ręka Camerona wciąż spoczywała na ramieniu Lauren, delikatnie je masując.

- Wiesz, co najbardziej mnie złości? - spytał, przerywając w końcu ciszę. - To, że niechęć, złość i wzajemne pretensje naszych rodziców odcisnęły tak silne piętno na naszym życiu. Że tyle wycierpieliśmy z nie zawinionych przez siebie powodów.

W milczeniu przyznała mu rację; oczy jej pociemniały.

- Musiałam znieść te obrzydliwe kłamstwa, jakie krążyły na mój temat...

- A ja spędzić trzy lata w szkole z internatem, której nienawidziłem.

- Miałam ci za złe, że się ode mnie odwróciłeś.

- A ja uwierzyłem, że usunęłaś nasze dziecko.

- Przez te wszystkie lata mogliśmy...

- Wyrządzili nam ogromną krzywdę.

- Wszystko z powodu głupiego romansu! Jakże to okrutne, jakże niesprawiedliwe. - Miała ochotę ponownie się rozplakać, ale kiedy zobaczyła, jak dzielnie i godnie zachowuje się Cameron, który też przecież cierpiał, przełknęła łzy. Wyciągnąwszy rękę, pogładziła go lekko po karku. - Nie rozumiem jedynie, dlaczego ojciec akurat teraz ci o tym powiedział.

- Bo chciałem, żebyś dał ci zgodę na przerobienie garażu.

- Naprawdę? - Była autentycznie wzruszona.

- Oczywiście odmówił. Spytałem, czym mu się tak bardzo naraziłaś. Wtedy opowiedział mi całą tę historię. Przyznał, że nie chodzi mu o ciebie, ale o to, żeby

twoja matka nie wróciła na wyspę. Z jakiegoś dziwnego powodu moja matka się boi, że jeśli twoja się tu przeniesie, ojciec ponownie zapala do niej uczuciem.

- Bzdura.

- Wiem. Myślę, że matka nie wybaczyła ojcu zdrady i naciska na niego, żeby występował przeciwko tobie. Tak czy owak, ojciec uznał, że czas najwyższy, abym poznał prawdę. Miał nadzieję, że przekona mnie, abym trzymał się od ciebie z daleka.

- Cameron uśmiechnął się szeroko. - Jak widzisz, nie poskutkowało.

Lauren westchnęła.

- Co za koszmar, Cam.

- Nie, kochanie. Prawda nie jest koszmarem, prawda jest wyzwoleniem. Mam dość tych animozji, wzajemnych pretensji i urazów. Zakończymy je, ty i ja. -

Przysunął się bliżej i wziął Lauren w ramiona. Gładząc ją po włosach, ciągnął dalej: - Zagroziłem ojcu, że jeżeli nie da ci pozwolenia, o które wystąpiłaś, publicznie opowiem się po twojej stronie.

- Żartujesz! - Popatrzyła mu w oczy.

- Nie. - Potrząsnął głową. - Możesz być pewna, że zgoda została już wysłana.

Łzy wypełniły jej oczy i chociaż starała się je powstrzymać, po chwili polały się ciurkiem. Cameron ujął jej twarz w dłonie i delikatnie otarł mokre policzki.

- Ciii. Najwyższa pora, żeby los wreszcie zaczął nam sprzyjać, nie sądzisz?

Uśmiechnęła się poprzez łzy.

- Boże. Ojciec musi być na ciebie wściekły.

- Teraz ma inne zmartwienie: jak się wytłumaczyć przed żoną, że uległ naciskom syna. Ale to już mnie nie obchodzi. To ich sprawa. Sami narobili sobie kłopotów, niech sami je rozwiązują. Ja mam własne życie.

Zacząła się zastanawiać, czy w jego życiu znalazłoby się miejsce dla niej, kiedy przytulił ją mocno. A kiedy przywarł ustami do jej ust, nie miała już żadnych wątpliwości.

„Kto się zadaje z Hathawayami, ten prędzej czy później za to płaci”. Słowa matki dźwięczały jej w głowie, ale postanowiła puścić je mimo uszu. Razem wstali z kanapy i objęci, ruszyli na górę do sypialni.

- Panno DeStefano - rzekł po drodze Cam, ukazując zęby w radosnym uśmiechu - czy łaskawie zechciałaby mi pani towarzyszyć dziś podczas kolacji?

W pierwszej chwili nie zrozumiała, dlaczego zwraca się do niej tak uroczystym tonem. I nagle doznała olśnienia. Randka. Cameron proponuje jej randkę. Kolację we dwoje w miejscu publicznym.

- Z przyjemnością, panie Hathaway. Ale najpierw...

- Najpierw...

Doszli do sypialni, zostawiając za sobą rozrzucone po podłodze części garderoby.

Listopad był najszcześniejszym miesiącem w życiu Lauren, a zarazem najbardziej pracowitym i męczącym. Widywała się z Cameronem niemal każdego dnia - i każdej nocy. Wpadał do Rockland, ilekroć miał wolną chwilę, i natychmiast zabierał się do roboty. Któregoś dnia przywiózł z sobą antyczny żyrandol, który kupił podczas aukcji komputerowej, i uparł się, by powiesił go w salonie.

- Dostajesz w depozyt - powiedział, pragnąc uciszyć jej protesty. - Oddasz mi, jak kupisz sobie inny.

Wybrali się razem na Cape Cod, chodzili po sklepach, głównie ze starociami, oraz po pchlich targach. Wrócili trzy dni później zaopatrzeni w zastawę stołową, kieliszki, dywany, lampy oraz kilka sztuk mebli, między innymi wspaniały rozsuwany stół w stylu chippendale, przy którym śmiało mogło zasiąść dwadzieścia osób. Od czasu do czasu spędzali wieczory z Grantami i McGrathami, jedząc, rozmawiając i grając w gry planszowe. Za namową Camerona Lauren zapisała się do chóru kościelnego. Lubiła śpiewać, a o tej porze roku ćwiczyli kolędy, które uwielbiała nade wszystko. Cameron, który stał wśród tenorów, ciągle puszczał do niej oko - ku jej uciesze, jak również ku uciesze innych chórzystów.

Namówił ją także, aby przystąpiła do Towarzystwa Przyjaciół Harmony i pomogła w przygotowaniach świątecznych. Zgodziła się; ledwo to zrobiła, od razu zaczęła żałować, że tak długo się opierała. Pomimo iż Pru Hathaway i kilka zaprzyjaźnionych z nią pań natychmiast się z towarzystwa wypisało, reszta osób przyjęła ją z otwartymi ramionami i była wdzięczna za pomoc w przygotowaniu Gwiazdkowego Szału, jak nazywano festyn uliczny organizowany co roku przed

Bożym Narodzeniem. W tym roku festyn przypadał w drugi weekend grudnia i Lauren uznała, że będzie to idealny moment na ściągnięcie matki na wyspę.

Doskonale pamiętała dawne takie imprezy: uroczyste zapalenie świateł na choince w parku, barwnie przystrojone sklepy, ulicznych sprzedawców przekąsek. Było miło i świątecznie, choć dość monotennie. Lauren miała mnóstwo pomysłów na to, jak można by to wydarzenie uatrakcyjnić, ale ponieważ dopiero od niedawna była członkiem TPH, w dodatku nie zamierzała osiąść na wyspie na stałe, nie chciała zabierać głosu ani tym bardziej narzucać się ze swoimi uwagami.

Cameron nie miał takich oporów. Ich entuzjazm i połączony zapał twórczy był tak wielki, że wkrótce wszystkich nim zarazili. Zarząd TPH zgodził się, aby rozreklamowano festyn w przybrzeżnych miasteczkach. Bądź co bądź, na Nantucket tak robiono i na wyspę zawsze ściągali tłumy turystów. Tutejszym władzom też zależało na tym, by Harmony cieszyła się popularnością nie tylko w sezonie letnim. Turyści zostawiali pieniądze, a te były potrzebne choćby na kosztowną odbudowę starej latarni morskiej.

Członkowie towarzystwa przyklasnęli pomysłowi, aby na czas Gwiazdkowego Szału udekorować prom, umieścić na nim bufet, zapewnić podróżnym muzykę. Spodobał im się również pomysł przejażdżek dorożkami, a także przebranych w wiktoriańskie stroje sklepikarzy oraz kolędników.

Tymczasem w Rockland remont powoli dobiegał końca. W niedzielę poprzedzającą Święto Dziękczynienia Lauren przez dwie godziny wypisywała czeki: dla elektryka, murarza, hydraulika, stolarza i innych. Zostało jej niemal puste konto. W poniedziałek zniknęły z jadalni stoły na kozłach, uprzątnięto narzędzia, barakowozy załadowano na prom. Jako ostatni wszedł po trapie Joe Giancomo; ciągle przypominał sobie coś, co powinien był sprawdzić, i ciągle pytał Lauren, czy na pewno nie chce, by wrócił do Rockland po Święcie Dziękczynienia. Ze łzami w oczach podziękowała mu za wszystko i wyprawiła w drogę.

Tego wieczoru, gdy zostali sami w domu, ustawili w Komnacie Lady Gray dwustuletnie łóżce, które Lauren kupiła w Bostonie. W znalezionym w skrytce pamiętniku wyczytała, że Isabel sypiała na mahoniowym łóżku z baldachimem, więc ucieszyła się, kiedy znalazła podobne.

Ponieważ ściany w sypialni były jeszcze nie wytapetowane, umieścili łóżko na środku pokoju, posłali je, następnie rozpalili ogień w kominku, zamknęli okiennice, po czym przez pół nocy namiętnie i niestrudzenie gnietli świeżą pościel. Gdy potem Lauren leżała wyczerpana w ramionach swego kochanka, wsłuchiwała się w fale uderzające o brzeg i wiatr świszczący na poddaszu. Nie chciała wyjeżdżać jutro do Bostonu, lecz obiecała matce i rodzeństwu, że wspólnie z nimi spędzi Święto Dziękczynienia. Powiedziała Camowi, że będzie za nim tęsknić; nie powiedziała, że go kocha. Oboje starannie unikali tego słowa. Nie mówili o miłości, o przywiązaniu, o uczuciach. Może dlatego, że bali się zapeszyć, a może dlatego, że wciąż nie bardzo wierzyli, że znów są razem.

Zamiast rozmawiać o sobie, rozmawiali o Gwiazdkowym Szale, o domu, o tym, na jaki kolor pomalować ściany w jadalni i czy chodnik, który kupili z myślą o korytarzu na piętrze, jest dostatecznie długi.

- Ja też za tobą będę tęsknił - szepnął Cam, kiedy wyczerpali temat domu.

- Pójdiesz do rodziców na indyka? - spytała, gładząc jedwabistą skórę na jego ramieniu.

- Nie wiem. - Obsypując ją pocałunkami, przesuwając się niżej; wreszcie położył twarz na jej brzuchu. - Może.

Podejrzewał jednak, że pójdzie. Chociaż był z nimi skłócony, to jednak ich kochał.

- A ty? - Delikatnie przejechał palcem po bliźnie, którą miała pod prawą piersią.

- Powiesz mamie, że się spotykamy?

- Chyba nie - odparła.

Bała się, że Audrey nie zrozumie, że zaczęłyby się sprzeczać. Że taką informacją zepsułaby wszystkim święta.

Przez chwilę wsłuchiwali się w swoje oddechy i dochodzący z dołu ryk fal.

- Powinniśmy się przespać. Już późno.

Znów obsypując ją pocałunkami, Cameron podsunął się wyżej. Nie chciał jej pobudzić; tym razem jego pocałunki były wyrazem czułości i tklivości, nie żądry.

- Będę za tobą tęsknił - powtórzył, zamykając oczy.

Serce biło jej nieprzytomnie. Spoglądając na cienie pełzające po ścianach, zastanawiała się, czy mu powiedzieć, że go kocha. Ale nie odezwała się. Także zamknęła oczy i po chwili pogrążyła się w śnie.

Cameron spędził Święto Dziękczynienia z rodzicami, lecz wyszedł od nich wkrótce po deserze. Ku jego zdumieniu ani razu nie wspomnieli o Lauren. Mimo to atmosfera przy stole była napięta, rozmowa się nie kleiła, a na twarzach obojga widać było wyraz rozczarowania.

Od rodziców Cameron pojechał do McGrathów. Pięciometrowej długości stół u rodziców nakryty dla trzech osób zamienił się w stół dwumetrowej długości, przy którym - na chwiejnych składanych krzeselkach - tłoczyło się podczas posiłku szesnaście osób. Telewizor w salonie był włączony, mężczyźni oglądali mecz, z pokoju zabaw w piwnicy dobiegały wesołe krzyki dzieci, a kobiety plotkowały w kuchni, podjadając resztki indyka. Było cudownie. Przez całe życie marzył właśnie o takich świętach. Do pełni szczęścia brakowało mu tylko Lauren.

Czekał, dopóki wszyscy goście nie wyjdą. Domyślał się, że gospodarze muszą być zmęczeni, ale koniecznie chciał z nimi porozmawiać - o Lauren, o jej domu, o nie dokończonym remoncie, o jej finansach, uporze i dumie.

Siedząc na brzegu kanapy, niepewny, czy słusznie postępuje, bo być może wtrąca się w nie swoje sprawy, zaczął:

- Wiem, że jesteście zajęci. Większość ludzi zaraz po Święcie Dziękczynienia zaczyna przygotowania do Bożego Narodzenia. Wy w dodatku macie liczną rodzinę, trójkę dzieci, musicie kupić dla wszystkich prezenty. Ale Lauren... Chodzi o to, że chce dokończyć część domu, dosłownie kilka pokoi dla rodziny, która zjedzie na święta. Nie jest to strasznie żmudna czy skomplikowana robota, ale Lauren uparła się, że wykona ją sama. Pół biedy, gdyby mogła rozłożyć pracę w czasie, niestety, musi się ze wszystkim uporać w dwa tygodnie, a już jest tym remontem zmęczona i...

- Na miłość boską, Cam! - przerwała mu ze śmiechem Cathryn. - Przejdź do sedna.

- W porządku. Czy mogłabyś, sam nie wiem... wygospodarować kilka godzin, żeby jej pomóc? Żeby pomalować ścianę, przystroić hol albo przywieźć coś ze sklepu?

Cathryn uśmiechnęła się promiennie.

- Czy mogłabym? Niech no ktoś spróbuje mnie powstrzymać!

Lauren przyплыnęła promem w niedzielę rano. W powietrzu wirowały drobne płatki śniegu. Przed wyjazdem zostawiła Cameronowi klucz, toteż nie zdziwiła się na widok jego auta zaparkowanego przed domem. Ale dalej na podjeździe stało kombi Cathryn, a za nim furgonetka służbowa Dylana. Był też ford bronco należący do Julii i Bena, auto Freda Gardinera i jeszcze ze dwa wozy, których nie umiała rozpoznać.

Zaciekawiona, otworzyła drzwi i ujrzała grupkę złożoną z kilkunastu osób siedzącą na schodach.

- Cześć! Witaj w domu! Nareszcie jesteś! - odezwało się parę głosów.

- Cześć - odpowiedziała, zaintrygowana obecnością nieproszonych gości. - Co wy tu wszyscy robicie?

- Siedzimy. Na schodach, bo nie masz krzeseł - wyjaśniła rzeczowo Cathryn.

Lauren weszła do środka. Plastikowe płachty leżały na świeżo wycyklinowanej podłodze. Ponownie wbiła wzrok w grupę na schodach.

- Mike? - zdziwiła się, widząc dawnego kolegę z klasy, który dalej mieszkał na wyspie i pracował jako dostawca homarów.

- Tak, Lauren, to ja. - Uśmiechnął się szelmowsko. Rozpoznała dwóch członków Towarzystwa Przyjaciół

Harmony, a także ojca Cathryn oraz przyjaciółkę swojej mamy, Gertę Dumont.

- Co wy tu robicie? - spytała ponownie. Cameron wstał i postąpił krok w jej stronę.

- Twoi przyjaciele przybyli z odsieczą...

Nieduża walizka, którą Lauren trzymała w ręce, opadła z hukiem na podłogę.

- Wiemy, jak bardzo chcesz, żeby dom był gotów na przyjazd mamy - oznajmiła Julia, schodząc niżej. - Więc...

- Ale...

- O nic się nie martw - dodała Cathryn, również wstając. - Większość z nas ma doświadczenie w malowaniu i kładzeniu tapet. A ci, którzy nie mają, mogą umyć okna albo kupić choinki lub...

- Lub przewieźć cokolwiek - wtrącił Mike. - W razie czego służę swoim kutrem.



Lauren zaczęła drżeć na całym ciele. Wciągnąwszy Camerona do biblioteki, szepnęła:

- Błagam cię, Cam. Przepraszam ich. Powiedz, żeby sobie poszli. Nie mogę przyjąć ich pomocy.

- Dlaczego?

- Nie mam pieniędzy, żeby im zapłacić. - Poczowała łzy w oczach. Nigdy dotąd nie rozmawiała z Camem tak szczerze na temat swojej sytuacji finansowej.

- Lauren, kochanie, ci ludzie są twoimi przyjaciółmi.

Obraziliby się, gdybyś zaproponowała im pieniądze. Oni chcą ci pomóc.

Wystarczy, jak im ładnie podziękujesz.

Przełknęła jakoś ślinę, ale nie mogła się pozbyć ucisku w gardle.

- Poza tym Fred Gardiner zamierza ci dziś wręczyć czek od towarzystwa.

Skromny, bo skromny, ale zawsze.

- Jałmużna?

- Skądże. Towarzystwo ma specjalny fundusz przeznaczony na odnowę domów mających wartość historyczną, a znajdujących się w prywatnych rękach. Jesteś jedną z wielu osób, które postanowiło wspomóc.

Bezskutecznie starała się powstrzymać łzy - trysnęły jak fontanna. Pomyślała o tym, jakie ma niesamowite szczęście. Wprawdzie chwilowo tkwiła w dołku finansowym, za to jeśli chodzi o przyjaciół, czuła się bogaczem.

W ciągu tygodnia zakończono malowanie i tapetowanie nie tylko tych paru pokoi, które Lauren chciała przygotować na przyjazd rodziny, ale wszystkich pomieszczeń w całym domu. Gdy się rozeszło, że przyjaciele i znajomi pomagają przy remoncie Rockland - wspomniała o tym Julia w swej audycji - zaczęli się zgłaszać następni chętni do pomocy. W końcu było więcej rąk do pracy niż pracy. W kolejną niedzielę, chodząc od pokoju do pokoju, Lauren nie mogła uwierzyć własnym oczom.

- Kto by pomyślał? - spytała, ponieważ jednak była sama w domu, nie oczekiwała odpowiedzi.

Dom prezentował się wspaniale. Okna lśniły, podłogi błyszcząły, a ściany... wyglądały cudownie. Nawet Cameron przyznał, że miała rację, nie chcąc, by wszędzie kładziono tapetę. Wnętrze miało ciepłe jesienne barwy, od jasnokremowej poprzez



beże i złoto aż do przygaszonej czerwieni i miedzi. Cameron powtarzał ze śmiechem, że specjalnie wybrała odcienie harmonizujące z jej własnym kolorytem.

Do Gwiazdkowego Szału został równo tydzień. Lauren rozstawiła w pokojach tych parę mebli i drobiazgów, jakie nabyła w Bostonie i na Cape Cod, ze strychu ściągnęła stare łóżka, posłała je, przykryła ładnymi narzutami i stwierdziła z zadowoleniem, że są świetne. Następnie przystąpiła do dekorowania domu.

W środę rano Dylan przywiózł trzy choinki i mnóstwo gałązek; ponieważ zjawili się również Cathryn, Julia i Ben, wszyscy zwarci i gotowi do pomocy, dzień upłynął w radosnej atmosferze. Wieczorem na werandzie przed domem stały dwie jodły, na których migotały białe światełka, na drzwiach wisiał przepiękny wieniec, w oknach paliły się świece, wspaniałe laurowe girlandy przystrojone czerwonymi i złotymi kokardami zdobiły schody, a w salonie królowała rozłożysta trzymetrowa choinka obwieszona staroświeckimi bombkami.

Po wyjściu przyjaciół Lauren podała Camowi wiktoriańskiego aniołka, aby umieścił go na czubku drzewka. Zrobiło się późno; była nieludzko zmęczona, lecz niewiarygodnie szczęśliwa. Wszystko gotowe, pomyślała, cofając się parę kroków, by zobaczyć choinkę w całej okazałości.

- Przekręć aniołka centymetr w prawo. O, tak. Teraz jest idealnie.

Parsknęła śmiechem, widząc, jak Cameron unosi ręce w geście zwycięstwa.

- Chodź, obejrzymy wszystko z zewnątrz - rzekł.

Narzuciwszy kurtki, wybiegli do ogrodu i przez chwilę stali bez słowa, podziwiając pięknie odrestaurowany dom, oświetlony ustawionymi na podjeździe reflektorami, dostojnie wyglądające jodły, świece w oknach. Przepęłniła ich duma i poczucie zadowolenia.

- Wspaniale! - oznajmił wreszcie Cameron.

- Tak, całkiem nieźle - przyznała Lauren.

Wrócili do środka, żeby omówić plany na nadchodzący weekend. Lauren wyjeżdżała następnego dnia z samego rana, żeby się spotkać z siostrami i braćmi; wspólnie mieli obmyślić, w jaki sposób przekonać mamę do przyjazdu na wyspę, nie wzbudzając jej podejrzeń.

- Pozapalam zawczasu wszystkie światła - obiecał Cameron, starając się ukryć zawód. Lauren najwyraźniej wolała, by nie pokazywał się jej rodzinie.

- Przepraszam - szepnęła. - To tylko kilka dni. Chcę, żeby mama mogła się w pełni nacieszyć domem, żeby nic nie mąciło jej radości.

- Rozumiem.

- Wiedziałam, że mogę na ciebie liczyć. - Objęła go mocno w pasie. I dlatego cię kocham, dodała w myślach.

- Jesteś zmęczona... - Pocałował ją w czoło.

- Nieludzko. - Trochę ją też mdliło od unoszącego się w powietrzu zapachu farby.

- Idziemy spać?

- Jeszcze chwilka. Tak mi tu z tobą dobrze.

Nagle ogarnął ją smutek. Uświadomiła sobie, że jest to ich ostatnia noc w tym domu, że już wkrótce Rockland nie będzie jej własnością. Przekáže go w prezencie gwiazdkowym matce.

Na ułamek sekundy zawahała się: a może zatrzymać dom dla siebie? Ale potem przypomniała sobie, co chciała osiągnąć i na co liczyła: że pobyt we własnym domu na ukochanej wyspie przywróci mamie utraconą dumę, radość, godność. A ja przecież mogę ją ciągle odwiedzać, dodała w duchu.

Wiedziała jednak, że to nie to samo. Siedząc na kanapie, wtuliła się Cama. W jej geście był strach i desperacja. Cameron o nic nie pytał, jedynie szepnął jej do ucha:

- Będę za tobą tęsknił.

Pru Hathaway zatrzymała samochód na poboczu Cliff Road i popatrzyła na dom. W każdym z sześciu okien widocznych od strony szosy paliły się świece. Z bólem musiała przyznać, że przynajmniej od zewnątrz Rockland wygląda ładnie i gustownie. Bóg raczy wiedzieć, jak jest wewnątrz - chociaż słyszała plotki, że ta mała DeStefano ma doskonały zmysł dekoracyjny. Pierwszorzędnie, rewelacyjnie - tak określił końcowy efekt Fred Gardiner, a Fred był jedną z nielicznych osób, których zdanie Pru ceniła.

I pomyśleć, że za kilka dni w tym odrestaurowanym domu zamieszka Audrey DeStefano! Pru zakłęła cicho pod nosem, używając słowa, które zdarzyło się jej wypowiedzieć dosłownie kilka razy w trakcie swojego życia.

Prawdę mówiąc, nie była pewna, co jej bardziej przeszkadza: powrót Audrey na Harmony czy ponowny związek Lauren i Camerona. Czekwała cierpliwie, gdy Clay starał się zablokować starania dziewczyny. Niestety, jego poczynania nie odniosły skutku. W dodatku ten głupiec się wygadał! Teraz mało że Cameron otwarcie spotyka się z Lauren, to jeszcze wie o dawnym romansie ojca. Nie potrafiła zrozumieć, dlaczego Clay nie trzymał języka za zębami. Czy musiał ją upokorzyć?

W każdym razie sprawy zaszły za daleko i ona nie zamierza dłużej stać bezczynnie. Na podjeździe dostrzegła samochód Camerona, zatem dzisiejszy wieczór odpada. Muszą być same we dwie, ona i Lauren. Wkrótce nadarzy się okazja. Tak, już niedługo.

## *Rozdział 15*

Lauren wyobrażała sobie różne straszne rzeczy, jakie mogą się jej przytrafić na Harmony. Najczarniejszy scenariusz wyglądał tak, że ponosi klępkę finansową, traci dom, a dawne upokorzenie i wstyd nie tylko nie znikają, lecz ożywają ze zwielokrotnioną siłą. Myliła się. Istniało większe nieszczęście i instynktownie czuła, że nie ma przed nim ucieczki.

Poczekwała, aż opuści wyspę i znajdzie się w dużym mieście, by kupić w aptece test ciążowy. Pomysł ciąży - to było szaleństwo. Przecież za każdym razem stosowali jakieś zabezpieczenia. Ale miała wszystkie objawy: brak miesiączki, uczucie zmęczenia, mdłości. Może po prostu jest przepracowana? Może potrzebuje odpoczynku? Może powinna bardziej o siebie zadbać? Obiecała sobie, że to zrobi, najpierw jednak, dla świętego spokoju, kupi test ciążowy.

Nazajutrz rano, siedząc na brzegu wanny, wpatrywała się w malutki krzyżyk, który pojawił się na pasku ciążowym. Wynik pozytywny. Poczowała, że się dusi. Nie, to niemożliwe! Nie mogła znów być cięży!

A jednak to prawda. Po raz drugi.

Pochyliła głowę i wzięła kilka głębokich oddechów. Nie pomogło.

Wyprostowała się. Jak to się stało?

Dobrze wiesz, jak to się stało, odpowiedziała sama sobie. Była dorosłą kobietą, która miała świadomość, że żadna metoda antykoncepcji nie jest w stu procentach skuteczna. A metoda, którą ona z Camem stosowali, należała do tych najmniej skutecznych. No dobrze, zatem pytanie nie powinno brzmieć: Jak to się stało, ale: Dlaczego się stało? Dlaczego znów wypadło na nią? Dlaczego na nią i na Cama? Dlaczego teraz?

Na chwiejnych nogach podeszła do toaletki i przyjrzała się sobie w lustrze. Policzki miała zaczerwienione, jakby trawiła ją gorączka, spojrzenie nieprzytomne. No i co teraz? Co dalej?

Łzy ścisnęły ją za gardło, lecz jakoś je zdławiła. Nie pora na płacz. Dziś miała zabrać mamę na Harmony, dziś miało się spełnić jej marzenie.

Na myśl o tym wybuchnęła histerycznym śmiechem. Dwie wielkie krople popłynęły jej po policzkach. Wytarła je wierzchem dłoni, żałując, że nie wstrzymała się z próbą ciążową do świąt. Dowiedziałyby się o wszystkim parę dni później. Psiakość, nie na rękę była jej ciąża; i bez niej miała dostatecznie skomplikowane życie. W każdym razie jedno nie ulegało wątpliwości: nikt się o ciąży nie dowie, nawet Cameron. Musi spokojnie wszystko przemyśleć i decyzję o tym, co robić, podjąć sama.

Wszystko wskazywało na to, że kiedy w piątek po południu trzema samochodami opuszczali Boston, Audrey nie miała najmniejszego pojęcia, dokąd jedzie. Odczuwała jednak lekki niepokój. Nic dziwnego. W trzech samochodach jechały bowiem wszystkie jej córki, synowie, ich żony, mężowie, dzieci, narzeczone, plus tyle bagażu, jakby zamierzali przez kilka miesięcy podróżować po afrykańskich bezdrożach.

Półtorej godziny później, kiedy zbliżyli się do portu, z którego odpływały promy, zaczęła nabierać podejrzeń.

- Dokąd mnie zabieracie? - spytała zdenerwowana. Jechała w samochodzie prowadzonym przez Lauren; z tyłu siedział dwudziestojednoletni Mark ze swą dziewczyną Tracey.

- No dobrze - powiedziała Lauren. - Chyba dłużej nie da się tego utrzymać w tajemnicy. Płyniemy na Harmony.

- Boże. - Audrey chwyciła się za gardło.

- Spokojnie, mamó. Będzie świetnie.

- Co my tam będziemy robić?

- Odpoczywać. Jutro zaczyna się Gwiazdkowy Szał.

- Ale... - W oczach Audrey czaił się lęk. - Ale po co tyle walizek? Co knujecie?

- Pomyśleliśmy, że zamiast wracać na noc do Bostonu, przenocujemy na wyspie.

Siostra Lauren, Michelle, zapakowała matce ubrań na tydzień. W Rockland też czekało na Audrey parę nowych rzeczy, jeszcze nie rozpakowanych.

Na promie panował tłok; turyści płynęli na Harmony, zachęceni kampanią reklamową zapraszającą do uczestnictwa w zimowych atrakcjach wyspy. Audrey poczuła się rażniej.

- Mój Boże, nie przypominam sobie, żeby dawniej na promie panował tak świąteczny nastrój - oznajmiła, podziwiając choinkę, girlandy i światełka, uginające się od jedzenia stoły oraz czerwone czapeczki noszone przez część załogi.

Lauren uśmiechnęła się.

- Bo dawniej tak nie było, mamó. Dopiero w tym roku postanowiono udekorować nie tylko miasto, ale i prom.

Podróż upłynęła w cudownej atmosferze - śmiech, ożywiona rozmowa, kolędy. Lauren niemal zdołała zapomnieć o ciąży. Z przyjemnością obserwowała matkę, która siedziała przy oknie, z błogim uśmiechem na twarzy spoglądając na wyłaniający się w oddali skrawek lądu. Tak, kupno domu to była dobra decyzja.

Kiedy od portu dzieliła ich niewielka odległość, Audrey włożyła płaszcz oraz czapkę i wyszła na pokład, by popatrzeć, jak przybijają do brzegu. Lauren postanowiła dotrzymać matce towarzystwa. Było dopiero wpół do piątej, lecz słońce chyliło się już ku zachodowi. Jakże krótkie są grudniowe dni! Zapadający mrok ma jednak swoje

plusy. W ciemności piękniej lśniły kolorowe światła, którymi mieszkańcy Harmony przystroili domy i sklepy. Nawet kutry rybackie były świątecznie udekorowane.

- Mamo. - Lauren stanęła tyłem do wiatru. - Wiem, jak dziwnie musisz się czuć, wracając tu po tylu latach. Pewnie boisz się spotkać ludzi, których kiedyś znałaś. I pewnie jesteś zła na mnie, że cię to podstępnie ściągnęłam. Ale wierz mi, wszystko będzie dobrze. Zobacysz. Będziesz zachwycona.

Audrey wzruszyła ramionami w geście rezygnacji.

- To się okaże, kochanie. Przyznam ci się jednak, że jestem dość przejęta. - Zamknawszy oczy, wciągnęła w płuca zimne, słone powietrze, po czym z uśmiechem na twarzy odetchnęła głęboko. - Boże, jak strasznie brakowało mi tej wyspy.

Podobnie jak matka, Lauren zacisnęła ręce na poręczy.

- Pięknie tu, prawda?

- Jak w domu - odparła Audrey.

Opuściwszy prom, ruszyli w dalszą drogę; Lauren, która jako jedyna знаła adres, jechała pierwsza. W restauracji na Water Street zauważyła mnóstwo ludzi tłoczących się przy oknie, ale nawet się tym nie przejęła. Serce waliło jej młotem z całkiem innego powodu. Myślała o tym, co niebawem pokaże matce.

- Dokąd jedziemy? - spytała Audrey. Po jej twarzy przesunął się wachlarz najróżniejszych emocji.

- Tam, gdzie będziemy mieszkać.

- Zrobiłaś nam rezerwację?

- Można to tak określić. - Chwilę później Lauren skrzyła w podjazd przed Rockland. - Jesteśmy na miejscu, mamo - oznajmiła drżącym głosem.

Dom lśnił niczym brylant.

Siedzący na tylnym siedzeniu Mark pochylił się do przodu.

- O rany, siostrzyczko! To istne чудо.

Po chwili wszyscy wysiedli z samochodów i zaczęli głośno wyrażać swój zachwyty. Audrey podeszła skonfundowana do schodów.

- To dom doktora Smitha. Dziwne, ale kiedyś wydawał mi się znacznie bardziej zniszczony...

- Doktor Smith dawno tu nie mieszka - wyjaśniła Lauren. - Kto inny jest teraz właścicielem Rockland.

- Tak? A kto?

Lauren sięgnęła do kieszeni i wyjęła klucz przewiązany piękną czerwoną tasiemką.

- Ty, mamó. Wesołych świąt.

Audrey spojrzała na swą najstarszą córkę takim wzrokiem, jakby ta postradała rozum. Po czym powiodła spojrzeniem po reszcie uśmiechniętych, radosnych twarzy.

- Nie rozumiem - rzekła. - Lauren wynajęła tu dla nas pokoje?

- Nie, mamó. Lauren nic nie wynajęła. Ona kupiła ten dom - powiedziała wzruszona do łez Kim. - Przyjechała tu latem i od paru miesięcy zajmowała się remontem...

- Cały czas tu byłaś? Na Harmony? Nie w Berkshires?

- Och, mamó, nie domyśliłaś się? Za każdym razem kiedy dzwoniłaś, skrzeczały mewy.

Audrey popatrzyła na klucz, który córka trzymała w ręce. Wreszcie pojęła prawdę. Wargi zaczęły jej drżeć, łzy wezbrały pod powiekami.

- Boże - szepnęła, zasłaniając usta. Widziała, że stojące obok dzieci dyskretnie ocierają oczy. - Coś ty zrobiła? Czy ja umieram? Powiedz, mam raka i zostało mi parę miesięcy życia?

Lauren wybuchnęła śmiechem i przytuliła matkę.

- Przestań, mamó - zganił ją najmłodszy syn, David. - Nikt nie umiera.

- Wejźmy do środka - zaproponowała Michelle, przykładając do nosa mokrą chustkę. - Nie mogę się doczekać...

Kiedy powiesili wierzchnie ubrania, Lauren oprowadziła wszystkich po domu, zaczynając i kończąc zwiedzanie w tym samym miejscu, czyli w salonie na parterze.

Dzieci w nosidełkach zasnęły, ale dorośli byli pod wrażeniem. Zwłaszcza Audrey.

Przytrzymując się kanapy, spytała ponownie:

- Naprawdę, kochanie, kupiłaś ten dom dla mnie?

- Tak, mamó.

- Ale dlaczego? Co cię podkusiło? Co ja mam z nim zrobić?

Lauren spojrzała na zegarek. Tyle chciała powiedzieć, tyle wyjaśnić, bała się jednak, że rozmowa przeciągnie się do późnych godzin.

- Może najpierw przygotuję kolację? I wtedy sobie pogadamy...

Tego wieczoru na drzwiach lodówki widniały odciski lepkich palców, na obrusie w jadalni leżały okruchy pieczywa, a wszystkie sypialnie były zajęte. I tak powinno być, pomyślała Lauren, przeciągając się na kanapie, którą rozłożyła dla siebie na dole. Zasypiała, kiedy zadzwonił telefon komórkowy.

- Hm? - spytała sennie, sprawdzając godzinę. Kwadrans po dwunastej.

- Cześć.

Rozpoznała głos Cama i serce zabiło jej mocniej.

- Cześć - odpowiedziała. Nagle jednak przypomniała sobie o teście ciąży i ogarnęła ją panika.

- Możesz rozmawiać?

- Tak. Ale tylko chwilę - dodała szybko.

- Jak poszło?

- Świetnie. Mama jest całkiem oszołomiona.

- Aha. - W głosie Cama pojawiła się nuta rozczarowania. - A więc spodobał się jej pomysł prowadzenia na wyspie pensjonatu?

- Chyba tak. Tyle godzin przegadałyśmy, że nie pamiętam połowy tego, o czym była mowa. Podejrzewam, że mama też nie. Za dużo miała wrażeń jak na jeden dzień. Będziemy musiały porozmawiać, kiedy trochę ochłonie.

Na moment zapadła cisza.

- Gdzie jesteś? W którym pokoju?

- Na dole. W salonie.

- Nie w Komnacie Lady Gray?

- Nie, umieściłam tam mamę. - Natychmiast stanęło jej przed oczami szerokie łoże z baldachimem, na którym kochała się z Camem; niemal czuła dotyk świeżych prześcieradeł.

- Idziecie jutro na festyn? - spytał.

- Tak. - Ucieszyła ją zmiana tematu. - Ale nie wiem, o której. Są z nami dwa maluchy, które muszą jeść i spać o regularnych porach.



- Hm, w każdym razie ja się tam będę kręcił przez większość dnia. Może się zobaczymy.

- Na odległość - przypomniała mu.

- Tak. - Westchnął. - Na odległość. Nie pytałaś matki o jej romans z moim ojcem? - spytał po chwili.

- Skądże znowu! - oburzyła się. - I nie zamierzam.

- Może słusznie. Lauren ziewnęła.

- No dobrze, złotko, idź spać. Czeka cię pracowity tydzień.

- Zrobi się znacznie spokojniej, kiedy wszyscy wyjadą.

- Wyjeżdżają w niedzielę, tak?

- Tak. Pojutrze.

- A mama zostaje do końca tygodnia?

- Tak.

- Kiedy jej powiesz o nas? Przełknęła ślinę.

- Nie jestem pewna, czy w ogóle powiem.

- Wydawało mi się...

- Jaki by to miało sens? - Zreflektowała się. - Przepraszam, Cam. Jestem potwornie zmęczona. Sama nie wiem, co mówię.

Na drugim końcu linii nastąpiła cisza.

- Dobra - powiedział po chwili. - Życzę miłego festynu.

- Dzięki. Dobranoc.

Usłyszała w słuchawce ciągły sygnał.

Lauren widziała, jak bardzo Audrey denerwuje się na myśl o wyjściu z domu, nawet w towarzystwie własnych dzieci. Dlatego cieszyła się, że przed wyjazdem z wyspy wpadła na pomysł, aby zaprosić do Rockland na sobotnie śniadanie dwie dawne przyjaciółki mamy. Audrey zdumiała się, kiedy otworzyła drzwi i ujrzała w progu Gertę Dumont i Elaine Bennet. Znowu połały się łzy, choć tym razem nie po twarzach braci i sióstr. Wreszcie łzy wyschły; panie zaczęły wspominać dawne czasy, opowiadać o tym, co się każdej wydarzyło w ciągu ostatnich kilkunastu lat, śmiać się, żartować. Radosny gwar wypełnił cały dom.

Po południu wszyscy wybrali się na festyn. Audrey kroczyła po Water Street z dumnie uniesioną głową, a ponieważ towarzyszyły jej dawne przyjaciółki, młodsze pokolenie z czystym sumieniem zajęło się własnymi sprawami, każdy tym, co lubił najbardziej. Lauren, na przykład, przystawała co kilka kroków, aby porozmawiać ze znajomymi.

- W najśmielszych marzeniach nie sądziłem, że zjawi się taki tłum! - zawołał Fred Gardiner; stał przed swoim sklepem, ubrany jak bohater z powieści Dickensa w staromodną kamizelkę i cylinder na głowie. - Dziś rano wszystkie bilety na prom były wyprzedane. Co do ostatniego miejsca. W hotelach i pensjonatach nie ma już pokoi. Właściciele sklepów spodziewają się rekordowych obrotów. - Trochę niezdarnie uściskała Lauren. - Dzięki za pomoc. Zbierzemy sporo pieniędzy na odbudowę latarni morskiej.

Nieco później Audrey szepnęła do córki:

- Niesamowite, kochanie, jak wiele znasz osób.

Zdziwiło to Lauren; była pewna, że matka jest zbyt przejęta powrotem na Harmony, by zwracać uwagę na takie rzeczy.

- Siedzę tu niemal od lata.

- Sprawiasz wrażenie, bo ja wiem... zaangażowanej w sprawy miasteczka.

Lauren spojrzała na zegarek. O swym zaangażowaniu w sprawy miasteczka wolała nie opowiadać. Na szczęście zorientowała się, że lada moment powinien przyplłynąć Mikołaj. Oczywiście, świątecznie udekorowanym kutrem. Przesła więc z matką przez jezdnę i skierowały się w stronę przystani. Co chwila podchodzili do nich ludzie, by pogratulować pięknie odrestaurowanego domu.

- Los się do ciebie uśmiechnął - powiedziała do Audrey jedna z jej przyjaciółek.

Kiedy obładowany tobołkami Mikołaj schodził na brzeg, do Lauren dołączyła Julia z Benem.

- Domyślam się, że póki jest tu twoja rodzina, Cameron ma przykazane, żeby trzymać się z daleka?

Lauren skinęła głową.

- Tak. Byłoby trochę niezręcznie... Może za kilka dni wspomnę o nim mamie.

Patrzyli, jak Mikołaj otwiera worek i wręcza zgromadzonym wkoło dzieciom drobne upominki. Julia westchnęła, uśmiechając się do chłopczyka, który z wyglądu przypominał jej męża. Najwyraźniej marzyły jej się własne dzieci. Obserwując przyjaciółkę, Lauren przypominała sobie wynik testu ciążowego i zrobiło jej się słabo. Owszem, lubiła maluchy i nie wykluczała, że kiedyś w przyszłości... Ale nie teraz.

- Słuchajcie, ruszam dalej. Mamo? Masz ochotę posłuchać kolędników?

- Och tak, koniecznie. Miło cię było zobaczyć, Julio.

Cameron kupił dwa świeże pączki i podał jeden Cathryn.

- Przejdziesz się ze mną do parku? - spytała. - Chciałabym znaleźć swoje dzieci.

Skinął głową. Zbliźali się do bramy, kiedy spostrzegł Lauren; wraz z rodziną stała przy scenie, na której występowali kolędnicy. Ogarnęła go wesołość. Odkąd dwanaście lat temu DeStefanowie opuścili wyspę, nie widział tylu rudzielców naraz.

Patrzył, jak Lauren mówi coś do brata - czyżby to był mały David? - a potem wstrzymał oddech, gdy podniosła wzrok i rozejrzała się po parku. Na jego widok uśmiechnęła się promiennie, po chwili jednak wzięła się w garść i kontynuowała rozmowę, jak gdyby nigdy nic. Nagle grupka rudzielców, z Audrey na czele, skierowała się w jego stronę.

- O psiakość! - zmartwiła się Cathryn.

Poza Lauren nikt z jej rodziny jeszcze go nie zauważył. Nagle Cameron zdał sobie sprawę, że Cathryn wcale nie chodzi o rodzinę DeStefanów, lecz o jego rodziców, którzy szli w tym samym kierunku, tyle że inną alejką. Wyglądało na to, że spotkanie dwóch wrogich sobie grup jest nieuniknione.

I faktycznie. Wszyscy stanęli jak wryci. Zamilkli. Zbledli. Po chwili, jakby ktoś wcisnął pstryczek, ruszyli przed siebie, zadzierając głowy i odwracając wzrok.

- Bardzo ciekawe - skomentowała Cathryn. Cameron bez słowa pokręcił głową. Mniej więcej godzinę później wpadł na Lauren w sklepie ze świeczkami.

- Cześć. Jesteś sama?

- Co? Tak, sama. Moja rodzina postanowiła się przejechać dorożką.

- Fascynujące było to spotkanie w parku, nie sądzisz? - spytał ze śmiechem.

Lecz Lauren nawet się nie uśmiechnęła. Była nieobecna myślami, zamknięta w sobie, spięta. Dlaczego? Może przyjazd tak licznej rodziny okazał się jednak zbyt

uciążliwy? Może zajmowanie się tyloma gośćmi było bardziej męczące, niż się spodziewała? Ale podejrzewał, że nie o to chodzi. Coś się musiało wydarzyć. Coś więcej niż wizyta rodziny.

Czy to początek końca? Nigdy nie rozmawiali o przyszłości. Oboje zakładali, że kiedy remont się skończy i dom przejdzie w ręce Audrey, Lauren wróci do Bostonu, a on dalej będzie mieszkał na wyspie. Ale tak było wcześniej, zanim ponownie się w niej zakochał, zanim uświadomił sobie, że chce z nią spędzić resztę życia.

- Lauren, zajrzę wieczorem i porozmawiam z twoją mamą - powiedział impulsywnie.

- Nie! Jeszcze nie. - Jej oczy lśniły płomiennie. - Sama jej powiem we właściwym czasie.

Czuł, że coś jest nie tak. A przecież zaledwie kilka dni temu malowali razem dom, wraz z przyjaciółmi ubierali choinkę, jedli wspólnie posiłki, kochali się, spali w jednym łóżku.

Wtem po drugiej stronie ulicy Lauren zauważyła dorożkę.

- Muszę iść.

- Lauren!

Nawet się nie obejrzała.

Przeszła przez ulicę, zła na siebie, że tak oschle potraktowała Camerona. Ale za każdym razem, gdy myślała o nim i o własnym odmiennym stanie, ogarniała ją panika. Na jego widok zaś...

- Jak było? - spytała matkę.

- Cudownie! - odparła Audrey, po czym wylewnie podziękowała woźnicy w liberii, który siedział na barwnie przystrojonym koźle. Jego cztery konie też były niezwykle eleganckie, miały wieńce na szyi i dzwoneczki przy uprzęży. - A ty, kochanie, jesteś pewna, że nie chcesz się przejechać?

- Może później. Lada moment odbędzie się uroczyste zapalenie świec na choince. Nie chcę tego przegapić.

Słońce szybko staczało się ku zachodowi, zostawiając na niebie czerwono-pomarańczowe smugi. Ciepły, złocisty blask zalewał gładką powierzchnię morza, wzgórze i doliny.

Przybyli na Gwiazdkowy Szał goście powoli gromadzili się w parku wokół sześciometrowej sosny. Kolędnicy, ubrani w stroje z epoki wiktoriańskiej, umilali czas śpiewem. Kiedy słońce skryło się za horyzontem, choinka rozbliła, a powietrze wypełnił ogłuszający ryk. Choć zabawa miała trwać do późnych godzin nocnych, Lauren z Audrey postanowiły wrócić do domu. Obie były zmęczone, przemarznięte, a matkę w dodatku bolały nogi.

W samochodzie Audrey zaskoczyła córkę pytaniem o Camerona.

- Czy coś was łączy?

- Nie! - Mówiąc to, Lauren czuła jednak straszne wyrzuty sumienia. Okłamuje matkę i jest nielojalna wobec Cama.

- Kochanie, nie jestem ślepa ani głucha. Co chwila ktoś cię o niego wypytywał. Poza tym widziałam, jak na siebie patrzycie.

Lauren skręciła w podjazd przed domem i zaparkowawszy wóz, westchnęła zrezygnowana.

- No dobrze, mamó. Prędzej czy później i tak się dowiesz...

To wystarczyło. Audrey złapała się za głowę i jęknęła.

- Och, córeczko. Po tym wszystkim, co przez niego przeszedłaś? Po tym, co wycierpiałaś przez Hathawayów? Jak mogłaś?

- Nie wiem, mamó - odparła Lauren, powstrzymując łzy. - Nie wiem - powtórzyła cicho.

- Oni wiedzą? Pru i Clay? Lauren pociągnęła nosem.

- Tak, wiedzą, że się spotykamy.

- I co? Nie próbowali was rozdzielić?

Lauren zamyśliła się. Owszem, próbowali jej zaszkodzić, lecz ich działania dotyczyły remontu domu, a nie związku z Cameronem.

- Nie.

- Dziwne. Ale nie opuszczaj gardy - ostrzegła ją matka.

- Wiesz, w jednej sprawie muszę przyznać im rację. Słusznie postąpili, wysyłając Cama do szkoły z internatem. Ty i on... - potrząsnęła głową - byliście jak dwa przyciągające się magnesy. Nie sposób było was od siebie odciągnąć. Nic nie skutkowało, żadne kary, żadne zakazy.

- Na szczęście niedługo stąd wyjadę. Odległość nas rozdzieli.

- Już to widzę!

- Naprawdę, mamó.

- Akurat!

- To nie jest tak, jak myślisz.

- Innymi słowy, mam pilnować własnego nosa?

- Tak. - Lauren uśmiechnęła się. - Własnego ślicznego noska. A teraz chodźmy do środka i napijmy się czegoś ciepłego, bo zamarzniemy na kość.

To był bardzo długi tydzień. Zanim bracia i siostry z rodzinami wyjechali, Lauren zorganizowała uroczysty lunch, na który zaprosiła wszystkich dawnych znajomych matki. Przybył nawet dziennikarz z „Island Record”, który robił mnóstwo zdjęć i mnóstwo notatek; chciał opisać nie tylko remont, ale i spotkanie przyjaciół po latach.

Od poniedziałku nastąpiły spokojniejsze dni. Lauren z Audrey chodziły na długie spacerunki, a gdy pogoda nie pozwalała - odbywały długie przejażdżki. Odwiedzały sklepy z pamiątkami, przeglądały katalogi, które Lauren zdołała zgromadzić, wybierały różne drobiazgi do domu. Rozmawiały o tym, że zanim pensjonat zacznie funkcjonować, warto nawiązać kontakt z jakimś punktem usługowym, który zająłby się praniem pościeli i ręczników, a także znaleźć kogoś do sprzątania. Godzinami też czytały książki kucharskie, szukając pomysłów na smaczne śniadania, którymi można by raczyć gości.

Czas mijał.

Tydzień przed świętami Bożego Narodzenia Audrey postanowiła wrócić do Bostonu. Poprzedniego wieczoru wyjaśniła córce, że musi jeszcze kupić sporo rzeczy, a na wyspie ich nie znajdzie. Poza tym tęskniła za wnukami.

- Ale wrócisz na Wigilię, prawda? - spytała Lauren, poprawiając bombkę, która zsunęła się z gałęzi.

Matka ze zmieszana miną usiadła na kanapie.

- Przecież wiesz, kochanie, że zawsze spotykamy się u mnie w domu...

- Wiem, mamó. Rockland jest twoim domem.

Od samego początku planowała, że właśnie tu, na Harmony, rodzina spędzi Boże Narodzenie. Audrey poklepała kanapę.

- Chodź tu, kochanie. Musimy porozmawiać. - Lauren podeszła, tknięta złym przeczuciem. - Wiem, że miałaś jak najlepsze intencje. I dom jest naprawdę zachwycający...

- Ale?

- Ale nie mogę go przyjąć. Po prostu nie mogę.

- Możesz, mamó. Kupiłam go z myślą o tobie.

- Nie, kochanie. - Zadarłszy głowę, Audrey popatrzyła na kryształowy żyrandol, potem na marmurowy kominek i wspaniały dywan na podłodze. - To nie jest mój styl.

Łzy nabiegły Lauren do oczu. Dlaczego nigdy nic się jej nie udaje? Czy jest skazana na niepowodzenia?

- Ojej, tak bardzo chciałam podarować ci coś, na widok czego ludziom odebrałoby mowę...

- Odbiera! I to jak! - Audrey roześmiała się wesoło.

- Nie rozumiem jednak, skąd ci taki pomysł w ogóle przyszedł do głowy. Lauren zacisnęła dłoń na rękę matki.

- Pamiętasz, kiedy latem byliśmy w Hyannis i spotkałyśmy w butikum Gertę Dumont?

- Tak.

- Uciekłaś ze sklepu, jakbyś nie chciała widzieć nikogo ze swojej przeszłości, jakbyś się czegoś wstydziła. Postanowiłam to zmienić. Sprawić, żebyś mogła chodzić po wyspie z wysoko uniesioną głową i patrzeć ludziom w oczy. Żeby rozpierała cię duma.

- Rozpiera, kochanie - rzekła drżącym głosem matka.

- Zwłaszcza po tym, co dla mnie zrobiłaś. Ale nie można odczuwać dumy z powodu rzeczy materialnych. Mnie szczęście i duma rozpierają pierś, bo mam tak wspaniałe dzieci. Wy jesteście moim największym skarbem. I żaden dom, ba, sto domów, nie może się z wami równać.

Przez chwilę Lauren nie była w stanie wydobyć z siebie słowa. Sięgnęła po stojący obok kieliszek ajerkoniaku i wypila łyk, mając nadzieję, że opanuje wzruszenie.

- Wiesz, mam, jest jeszcze jeden powód, dlaczego kupiłam Rockland. Od śmierci taty nie potrafisz sobie znaleźć miejsca w życiu. Pomyślałam, że gdybyś miała jakieś zajęcie... Jesteś jeszcze taka młoda.

Audrey wytarła załzawione oczy.

- Wcale nie czuję się taka młoda, ale masz rację. Najwyższy czas, żebym przestała się nad sobą roztkliwiać i wzięła się w garść. - Obdarzyła córkę uśmiechem. - Pomysł pensjonatu bardzo mi się podoba. I całkiem by mi odpowiadało, gdyby ten pensjonat znajdował się akurat na Harmony.

Lauren otworzyła szeroko oczy.

- Ale byłby to inny pensjonat i inny dom. Nie tak wytworny i okazały. Raczej coś w stylu wiejskiej zagrody.

Lauren ze wstydem spuściła wzrok. Taki miała początkowo zamiar: kupić matce miłą, sympatyczną chałupkę. Dlaczego wybrała się na licytację? Co w nią wstąpiło?

- I niech ci do głowy nie przychodzi, żeby mi cokolwiek fundować - ciągnęła matka. - Mam odłożone pieniądze, które wypłacono mi po śmierci twojego ojca. Nawet nie wiedziałam, że się ubezpieczył na wypadek śmierci. Poza tym Gerta ma ochotę przystąpić ze mną do interesu.

- Już z nią o tym rozmawiałaś? - zdziwiła się Lauren.

- To dobrze - dodała szybko, widząc speszzenie na twarzy matki. - Cieszę się, że przynajmniej częściowo mój plan się powiódł.

- Nie bądź smutna, kochanie. - Audrey przytuliła córkę.

- Doceniam to, co dla mnie zrobiłaś. Nigdy o tym nie zapomnę. Ale ten dom jest twój, nie mój.

- Mylisz się, mam. Kupiłam go dla ciebie.

- Nie, kochanie. Może myślałaś o mnie, ale kupiłaś go dla siebie. Nie wiem, co tobą kierowało, ale...



Lauren jednak wiedziała co. Przypomniała sobie zajęcia szkolne z greckiej mitologii - bogowie nie lubili ludzi, którzy za bardzo się wywyższali. A ona dlatego kupiła Rockland: kierowała nią duma i chęć odwetu. Została więc ukarana - i słusznie.

Nazajutrz Audrey odleciała samolotem do Bostonu, a Lauren wróciła do Rockland i zaczęła się zastanawiać, ile głupstw popełniła w życiu. Kiedy lista stała się zbyt długa, postanowiła skupić się na ważniejszych sprawach.

Na przykład na domu, za który zapłaciła majątek. Co ma z nim zrobić? Wprowadzić się do niego, zamienić go w pensjonat i wynajmować gościom pokoje? W porządku, ale wtedy co będzie z budynkami, którymi zarządza w Bostonie? Wprawdzie sprzedała część nieruchomości, by zdobyć gotówkę potrzebną na remont Rockland, ale mimo wszystko trochę ich zostało. Poza tym prowadzenie pensjonatu nigdy jej nie interesowało.

Inną sprawą wymagającą uwagi była ciąża.

Zaparzywszy sobie filiżankę herbaty, Lauren przeszła do sypialni na górze, usiadła w głębokim fotelu i uznała, że czas najwyższy przeanalizować sytuację.

Chociaż spodziewała się komplikacji, jakie ciąża zwykle za sobą pociąga, w sumie cieszyła się, że będzie miała dziecko. Dziecko poczęte z miłości. Od lat przyglądała się przyjaciółkom, które wychodzą za mąż i zakładają rodziny, przyglądała się swoim siostram. Sama cały czas ciężko pracowała, zarabiała pieniądze, by rodzeństwo mogło skończyć szkoły, a potem miało czym jeździć i gdzie mieszkać. Teraz nadeszła jej kolej. Psiakość, jej też należy się coś od życia. Chciała urodzić to dziecko. Chciała poślubić Camerona.

Przesunęła się na brzeg fotela. Tak, zaraz do niego zadzwoni, przekaze mu wiadomość. Nagle zawahała się. Na miłość boską, jak ma to zrobić? Odkąd wróciła na wyspę, ani razu nie powiedział, że ją kocha, ani razu nie rozmawiali o przyszłości. W dodatku, zważywszy na tragiczny stan jej finansów, jeszcze gotów pomyśleć, że chce się dobrać do jego pieniędzy. A już na pewno tak będą twierdzić jego rodzice. Właśnie o chęć wzbogacenia się oskarżyli ją piętnaście lat temu. Nawet gdyby tym razem wstrzymali się z uwagami, nie bardzo widziała siebie w roli synowej Pru i Claytona. Nie, wiadomość o ciąży zachowa w tajemnicy.

Z drugiej strony nie może przecież nie powiadomić Camerona. Ojcowie mają takie same prawa do dzieci jak matki.

Wciąż siedziała w fotelu, ważąc wszystkie za i przeciw, gdy rozległ się dzwonek do drzwi. Odstawiwszy filiżankę, zbiegła na dół. Nacisnęła klamkę i na widok niespodziewanego gościa przypomniała sobie stare powiedzenie, że nieszczęścia chodzą parami, choć w jej wypadku chodziły trójkami. Najpierw test ciążowy dał pozytywny wynik, potem matka odmówiła przyjęcia domu, a teraz...

Nie bardzo wiedziała, co złego teraz wyniknie, ale nie miała cienia wątpliwości, że Prudence Hathaway nie przysłała z towarzyską wizytą.

## *Rozdział 16*

- Pani Hathaway! - zawołała i zdziwiona cofnęła się w głąb mieszkania, zupełnie jakby dmuchnął w nią lodowaty powiew.

Pru Hathaway potraktowała to jako zaproszenie i skinąwszy na powitanie głową, weszła do środka. Przez chwilę w milczeniu rozglądała się wkoło. Kiedy chciała, potrafiła być elegancką kobietą. Dziś miała na sobie długie czarne botki oraz piękny kaszmirowy płaszcz w kolorze ciemno-fioletowym, podkreślającym jej srebrzyste włosy oraz niebieskie oczy. Jednakże chłód, jakim od niej wiało, sprawiał, że Lauren jakoś nigdy nie potrafiła dojrzeć jej urody.

Patrząc na matkę Cama, pomyślała o własnej - czulej, dobrodusznej, życzliwej wszystkim Audrey. Zważywszy na to, z kim przyszło Claytonowi dzielić życie, czy można się dziwić, że spodobała mu się miła, pogodna Audrey?

- Co za niespodzianka... - Lauren stała z rękami skrzyżowanymi na piersi i czekała.

Pru Hathaway nie spieszyła się z wyjaśnieniem.

- Wygląda na to - oznajmiła wreszcie - że słowa pochwały, które bez przerwy słyszę pod adresem Rockland, wcale nie są przesadzone. Musisz być z siebie bardzo dumna. - Wyciągnęła głowę, usiłując zajrzeć do salonu.

- Owszem. Oprowadzić panią? - spytała Lauren, gotowa zaspokoić ciekawość Prudence, jednakże w głosie tej ostatniej nie było zachęty ani najmniejszej nuty sympatii.

- Nie, dziękuję - odparła chłodno kobieta. - Nie przyszłam tu na zwiedzanie. - Ściągnęła czarne skórzane rękawiczki. - Przyszłam po to, żeby pomówić z tobą o moim synu.

Lauren starała się zachować kamienny wyraz twarzy.

- Może zechce pani zdjąć płaszcz?

- Nie ma potrzeby. Rozmowa nie potrwa aż tak długo.

Lauren wprowadziła gościa do salonu i wskazała ręką fotel. Pru usiadła; wyglądała tak, jakby miała deskę przybitą do pleców. Lauren spoczęła na kanapie, założyła nogę na nogę i ponownie skrzyżowała ręce na piersi.

- Pozwolisz, że od razu przejdę do rzeczy - zaczęła Pru.

- Wiem, że się spotykasz z moim synem, więc nawet nie próbuj temu zaprzeczać. - Umilkła, dając Lauren czas na odpowiedź, nie doczekała się żadnej reakcji. - Jak się zapewne domyślasz, pan Hathaway i ja jesteśmy bardzo tą sytuacją zaniepokojeni. Miasteczko znów trzęsie się od plotek...

- I dlatego pani tu przyszła? - spytała Lauren, nie kryjąc zniecierpliwienia. - Z powodu plotek? Bo jeżeli tak, to niestety będę musiała panią poprosić o opuszczenie mojego domu. Nie mam czasu na takie bzdury.

Pru zmierzyła ją lodowatym wzrokiem i pogroziła jej palcem.

- Znacznie bardziej od plotek martwi mnie chaos, jaki wprowadziłaś w życie Camerona. Tylko nie udawaj, że nie wiesz, o czym mówię. Przez ciebie zerwał zaręczyny...

Lauren poczuła wyrzuty sumienia, ale złość wzięła górę.

- Stosunki pomiędzy Camem a Eryką psuły się od wielu miesięcy. Nie jestem niczemu winna.

- Ależ jesteś, moja droga. Twój powrót na Harmony idealnie zbiegł się z ich rozstaniem. No trudno, co się stało, to się nie odstanie. Bardziej martwią mnie kłopoty, które dopiero Camowi sprawisz.

- Słucham? - Chociaż pragnęła zachować spokój, było to coraz trudniejsze; po prostu krew w niej wrzała.

- Zawsze chciałaś się na nas odegrać. Pod tym względem wdałaś się w swojego ojca. Cameron uważa, że pozbyłaś się złości, kiedy go przelicytowałaś, ale ja i mąż nie jesteśmy tacy naiwni. Pan Hathaway podejrzewa, że poprzez Camerona będziesz chciała zniszczyć nas finansowo. Zgadza się z mężem, tym bardziej że remont domu poważnie nadwreżył twoje konto, prawda?

Lauren zaczerwieniła się po samą Unię włosów. Co za wiedźma! Musi mieć konszachty z diabłem, inaczej skąd by wiedziała o stanie jej konta?

- Pomijając jednak finanse, jestem przekonana, że prędzej czy później wyrządzisz mojemu synowi krzywdę emocjonalną. - Popatrzyła Lauren prosto w oczy.  
- Nie pozwolę na to.

Nagle Lauren doznała olśnienia. Pru Hathaway jest zapewne wredną, złośliwą jędzą, ale przecież powoduje ją miłość do syna. Autentycznie wierzyła, że musi go chronić przed zakusami żadnych zemsty młodych kobiet. Ni stąd, ni zowąd, zimnym tonem wiedźma Pru-Pru przedstawiła ultimatum:

- Mąż i ja żądamy, żebyś przestała uganiać się za naszym synem.

Lauren roześmiała się ponuro.

- Pani uważa, że...

- Nieważne, co uważam - przerwała jej Pru. - Chcemy, żebyś to ty zakończyła waszą znajomość.

Tylko upór i duma nie pozwoliły Lauren się przyznać, że sama ma wątpliwości co do przyszłości jej związku z Cameronem.

- A jeżeli nie zechcę? Zmarszczywszy czoło, Pru pokręciła głową.

- Popelnisz duży błąd.

- Czyżby?

- Tak. Widzisz, Cameron jest naszym jedynym dzieckiem. I oczywiście wszystko po nas odziedziczy. - Na moment zamilkła. - Przynajmniej zamierzaliśmy mu wszystko zapisać w spadku.

Lauren poczuła nieprzyjemny ucisk w piersi, który stawał się tym bardziej bolesny, im bardziej zimny stawał się błysk w oczach Prudence.

- Ale obserwując jego zachowanie podczas ostatnich kilku miesięcy, zaczęliśmy się z mężem zastanawiać, czy można Camowi powierzyć tak duży majątek. Nasz syn jest wyjątkowo hojnym człowiekiem. Nie chcemy, żeby ktoś wykorzystał jego wielkoduszność... - Podniosła wzrok i popatrzyła znacząco na kryształowy żyrandol.

Lauren zignorowała obelgę.

- Czyli daje mi pani do zrozumienia, że jeżeli nie przestanę spotykać się z Cameronem, otrzyma on tylko część należnego mu spadku?

- Część? Obawiam się, że nie wyraziłam się dostatecznie jasno.

- Nie może pani!

- Co nie mogę? Niczego mu nie zapisać? Ależ mogę, moja droga. Mogę wszystko oddać jakiejś organizacji.

- Dom też?

- Naturalnie.

- Ależ Cam kocha ten dom. Byłby załamany, gdyby...

- Wiem. Syn rzeczywiście lubi grzebać w starych szpargałach na strychu, oglądać pamiątki, zdjęcia, listy...

Lauren zbladła. Zupełnie zapomniała o tych wszystkich dokumentach, które dla Cama były źródłem inspiracji.

- Tu chodzi o coś więcej niż „grzebanie”...

- Spostrzegawcza jesteś. - Prudence wykrzywiła usta w uśmiechu. - Zdziwiasz mnie, Lauren. Sądziłam, że bardziej cię zmartwi to, że Cameron pozostanie bez środków do życia. Dom, owszem, ma dla niego wartość sentymentalną, ale bez domu sobie poradzi. A bez pieniędzy? Nie jestem pewna. Wcale tak dobrze nie zarabia. Książki, które pisze o historii wyspy, są może ciekawe, ale mało dochodowe. A w radzie przy Urzędzie Konserwatora pracuje społecznie.

- Tak, ale przecież jest współnikiem swojego ojca!

- Chyba nie sądzisz, że mąż, wydziedziczywszy Cama, zatrzyma go jako współnika? Może da mu etat księgowego, skoro teraz Cam prowadzi księgi rachunkowe, jednakże pensja księgowego nie jest zbyt oszałamiająca.

- To niesprawiedliwe - rzekła drżącym głosem Lauren.

- Życie rzadko bywa sprawiedliwe - przyznała Pru.

- Co by państwo zrobili z całym swoim majątkiem? Wiedźma Pru-Pru wzruszyła lekceważąco ramionami.

- Och, jest mnóstwo instytucji charytatywnych, które ucieszyłyby się ze wsparcia finansowego, a dom... dom moglibyśmy przekazać Towarzystwu Przyjaciół Harmonii.

- Nie żał byłoby pani syna? Nie żał całego dziedzictwa Hathawayów?

- Oczywiście, że żał. Ale nie musi tak być, prawda? Kropelka potu popłynęła Lauren po szyi.

- Wystarczy, żebym zostawiła Cama w spokoju, tak? Zniknęła z jego życia?

- No właśnie. - Pru uśmiechnęła się szeroko i zaczęła wciągać rękawiczki. - Decyzja należy do ciebie. - Wstała z fotela. - Aha, nie wspominałabym Cameronowi o naszej rozmowie, Lauren. Na razie jest tobą oczarowany. Gdyby dziś musiał dokonać wyboru pomiędzy tobą a spadkiem, odrzuciłby spadek. Ale potem do końca życia miałby do ciebie pretensje. Czy tego chcesz? Zastanów się.

Wiedziała, że jest pokonana. Wcześniej dopuszczała do siebie myśl, że może uda im się stworzyć szczęśliwy związek, teraz jednak wiedziała, że to nie wchodzi w rachubę. Była odporna psychicznie. Wiele mogła znieść, nie potrafiłaby jednak żyć ze świadomością, że przez nią ukochany mężczyzna straci wszystko, co mu się prawnie należy: dom, ziemię, pieniądze. A także - o czym Pru nie wspomniała - rodziców, bo raczej nie będą z nim utrzymywali stosunków, jeżeli ich zdaniem dokona niewłaściwego wyboru. Jednemu nie mogła zaprzeczyć: ultimatum upraszczało podjęcie wielu decyzji. Na przykład w sprawie Rockland oraz dziecka.

Nazajutrz rano zadzwoniła do Cama.

- Nareszcie! - ucieszył się. - Mama wyjechała?

- Tak. - Nie przyznała się, że Audrey wyjechała wczoraj. Jeszcze by zaczął pytać, dlaczego wcześniej się nie odezwała.

- Mogę do ciebie wpaść?

- Tak, spotkajmy się. Ale po południu, około czwartej. - Na razie męczyły ją poranne mdłości. - I wolałabym na mieście. Może w barku w „Przystani”?

- Dlaczego?

Dlatego że nie chciała być z nim sama w domu. Ani u siebie, ani u niego. Nie czuła się na siłach.

- Bez powodu - rzekła, po czym dodała szybko: - Słuchaj, nie powinnam blokować teraz linii. Spodziewam się ważnego telefonu z biura w Bostonie.

Siedział przy barze, gdy weszła. Uśmiechając się szeroko, pomachał do niej, następnie zsunął się ze stołka i ruszył w jej stronę, z piwem w jednej ręce, z kurtką w drugiej. Marzyła o tym, by rzucić mu się w ramiona i błagać go, aby ją zabrał gdzieś daleko. Na Tahiti. Na Korfu. Od biedy na Antarktydę.

- Usiądźmy w oranżerii - zaproponowała.

- Lauren, tam jest potwornie zimno.

- Tym lepiej. Nikt nam nie będzie przeszkadzał.

Popatrzył na nią ze zdziwieniem i pokręcił głową, ale nie chciał się sprzeciwić. Dopiero kiedy usiedli przy stoliku, a kelnerka przyniosła zamówioną przez Lauren herbatę, spytał:

- No dobra, co się dzieje?

Pociągnęła łyk gorącego napoju, modląc się w duchu o to, aby zdołała rozegrać wszystko do końca.

- Wiesz, Cam, moja mama niestety nie chce zamieszkać w Rockland.

- Tak? - Z trudem powstrzymał uśmiech. - Szkoda.

- No właśnie. - Lauren wyjrzała przez okno. - W tej sytuacji postanowiłam sprzedać dom. - Nie dopuszczając go do słowa, mówiła dalej. Bała się, że jeśli choć na moment zamilknie, wówczas może się rozmyślić, a potem do końca życia będzie czyniła sobie wyrzuty. - Tobie pierwszemu chciałam o tym powiedzieć, skoro jeszcze niedawno byłeś gotów go ode mnie odkupić. Mam nadzieję, że nie odstraszy cię cena. Milion dolarów. Ale zważywszy na remont...

- Poczekaj! Nic nie rozumiem. Dlaczego pozbywasz się Rockland?

- Dlatego że kupiłam go z myślą o mamie. A skoro ona nie chce w nim zamieszkać, to jakie mam inne wyjście?

Spoglądał na nią z niedowierzaniem.

- Czyś ty oszalała? - powiedział wreszcie.

- Bynajmniej. - W gardle jej zaschło.

- Dobrze wiesz, że nie kupiłaś domu dla matki!

- Masz rację. Kupiłam go, żeby wyrzucić na ludziach wrażenie. Cel osiągnęłam, więc teraz wracam do siebie.

- Do siebie? To znaczy gdzie? Przecież tu jest twój dom. Tu jest twoje miejsce.

Wypiła łyk herbaty, ale ręka tak bardzo jej drżała, że szybko odstawiła filiżankę.

- Mylisz się. Rockland nigdy nie był moim domem.

- Dlaczego? Uwielbiasz tę chałupę. Dawałem ci za nią milion, a ty nie chciałaś.

- To było parę miesięcy temu, Cam. Wówczas sądziłam, że mama tu zamieszka.

- Wydałaś mnóstwo pieniędzy, Lauren. Mogłaś się wycofać, odzyskać je i kupić mamie inny dom, ale tego nie zrobiłaś.

- Cam, bądź rozsądny. - Mieszała łyżeczką herbatę, żeby nie patrzeć mu w oczy. - Nie mogę zatrzymać Rockland. Nie podołałabym finansowo. Musiałabym go gruntownie przebudować, urządzić kilka oddzielnych mieszkań, może nawet dobudować pawilony mieszkalne w ogrodzie. Miejsca jest dosyć.

- Nie wierzę, że byłabyś do tego zdolna.

- Byłabym, zwłaszcza gdybym miała nóż na gardle. Więc jak, kupujesz?

Dorzucę stół z jadalni i...

Miała zamiar powiedzieć „łóżko”, ale ugryzła się w język. Cameron zresztą i tak się domyślił. Każda chwila spędzona razem wydała jej się nagle bezcenna. Czym prędzej podniosła rękę do twarzy, próbując zasłonić oczy, w których wzbierały łzy.

Cameron zacisnął ręce na jej drugiej dłoni.

- Tu nie chodzi tylko o sprzedaż domu. Powiedz, co się stało. - Korciło ją.

Ledwo nad sobą panowała. - Powiedz, Lauren. Zaufaj mi. Tyle w życiu przeszliśmy, i dobrego, i złego...

Roześmiała się ponuro.

- I nie planowanego.

Zmieszany, popatrzył na nią wyczekująco.

- Cam... - Broda jej zadrżała. - Jestem w ciąży.

Otworzył usta, lecz żaden dźwięk się z nich nie wydobył.

- Z-z-znów? - wydukał wreszcie.



Co za idiotyczny pomysł, żeby spotykać się w mieście! Była na siebie zła, że to zaproponowała. I zła, że powiedziała mu o ciąży. Wcale nie zamierzała, przynajmniej jeszcze nie teraz.

- Jak... jak to się stało?

- Nie wiem. - Cofnęła rękę. - Masz chyba wyjątkowo silne plemniki.

Diafragma, prezerwatywa, pasta plemnikobójcza... nic tych małych diabełków nie jest w stanie powstrzymać.

Nagle twarz Camerona pojaśniała.

- Jesteś w ciąży! - zawołał radośnie. - To wspaniale, Lauren! Kiedy się pobierzemy?

Opuściła głowę i jęknęła cicho; przypomniała sobie, że w ten sam sposób ucieszył się, kiedy miał czternaście lat.

- Boże - szepnęła. - Chyba już to kiedyś słyszałam.

- Może w przyszłym tygodniu? - spytał, ignorując jej ponury nastrój.

- Nie bądź śmieszny - warknęła i ujrzała w jego oczach ból.

- Dlaczego? O co ci chodzi?

Udając zniecierpliwioną, zatoczyła w powietrzu łuk.

- Czy chociaż raz powiedziałam, że chcę wyjść za mąż?

- A dziecko? Nie możesz go sama wychowywać.

- Masz rację. I nie zamierzam. Oddam je do adopcji.

- Nie mówisz poważnie? - spytał przerażony.

- Jak najpoważniej. Nie miałabym czasu zajmować się żółwiem, a co dopiero dzieckiem.

- Ale to jest nasze dziecko. Czy to nic dla ciebie nie...

- Urwał. - Nie, najwyraźniej nic. - Przez długą chwilę spoglądał w milczeniu przez okno. - W takim razie oddaj je mnie.

Była zaszokowana. Naprawdę by to zrobił? Ale jakim kosztem? Wychowanie dziecka, które ona urodziła, nie wpłynęłoby na decyzję jego rodziców. Też by go wydziedziczyli.

- Nie - odparła stanowczo. - Wszyscy wiedzieliby, że dwukrotnie popełniliśmy ten sam błąd. Miasteczko trzęsłoby się od plotek. Nie wiem jak ty, ale ja bym drugi raz tego nie zniosła.

- Ludzie i tak się dowiedzą.

- Nieprawda. Wyjadę, zanim cokolwiek będzie po mnie widać. Gdzieś daleko.

Do Australii.

- Do Australii?!

- Tak. Jakiś powód bez trudu sobie wynajdę.

- Ale... chyba tam byś nie rodziła?

- Owszem. I tam oddała do adopcji. A potem wróciła do Bostonu i starała się o wszystkim zapomnieć.

- Nie, Lauren. Błagam cię...

- Przykro mi, ale uważam, że tak będzie najlepiej. I decyzja należy do mnie.

Kiedy podniosła oczy, ze zdumieniem ujrzała, że Cameron - jej spokojny, łagodny Cam - ma taką minę, jakby chciał ją zamordować. Poderwał się od stolika, ledwo tłumiąc wściekłość.

- W porządku. Rób, co chcesz. Ale o jedno cię proszę. Nie wracaj więcej na wyspę. I trzymaj się ode mnie z daleka. Nie jestem z kamienia.

Zerwał zawieszoną na oparciu krzesła kurtkę i gniewnym krokiem ruszył w stronę wyjścia. Po chwili znikł za drzwiami, zniknął z jej życia. Tym razem chyba już na zawsze.

Tego wieczoru opróżnił całą butelkę wina, lecz nie czuł działania alkoholu. Nazajutrz powitał go kac.

- Co za niesprawiedliwość - mruknął i powłócząc nogami, powlókł się do łazienki. Skoro wczoraj nie był nawet lekko wstawiony, dlaczego dziś musiał cierpieć tak, jakby się upił do nieprzytomności?

Cały ranek dochodził do siebie. Wziął trzy tabletki aspiryny, wypił dużą szklankę soku pomidorowego, wybrał się na spacer po plaży. Było zimno, kilka stopni poniżej zera, szron chrzęścił pod nogami, a porastające wydmy suche trawy szeleściły smętnie na wietrze. Zanosilo się na burzę.

Po paru minutach wrócił do domu, wziął gorący prysznic, zjadł solidne śniadanie. Kac na szczęście ustąpił. Z kubkiem kawy w ręku Cameron zaczął odtwarzać w myślach wczorajszy dzień, przypominać sobie każde słowo, każde spojrzenie, każdy gest.

- Ty idioto! - ryknął na siebie, bo wreszcie zrozumiał swój błąd. Dlaczego uwierzył w to, co Lauren mówiła?!

Chwycił z wieszaka kurtkę, czapkę, rękawiczki i ruszył pędem do samochodu. Musi porozmawiać z ojcem i matką; na pewno maczali w tym palce. Lauren nigdy nie oddałaby dziecka; nie bała się ani kłopotów, ani odpowiedzialności.

Z piskiem opon zajechał pod dom rodziców.

- Mamo?! Tato?! - zawołał, trzaskając drzwiami.

- Na miłość boską, synu! Nie rozwal nam domu - rzekł ojciec, który siedział przy stole naprzeciwko żony.

- Coście zrobili Lauren? - spytał Cameron, rozwścieczony jak byk na widok czerwonej płachty.

- Może zjesz z nami drugie śniadanie? - zaproponowała Prudence.

Ściągnął czapkę i ze złością cisnął na stół.

- Które z was ją nastraszyło? Cisza. Żadnej reakcji.

- Cholera jasna! - Podniósł talerz i rzucił nim w kominek. - Albo odpowiecie, albo potłukę wszystkie naczynia w tym domu.

Matka z przerażeniem w oczach popatrzyła na rozsypane po podłodze kawałki porcelany.

- Bądź rozsądny, Cam. Jak mamy odpowiedzieć, skoro nie wiemy, o czym mówisz?

- Nie kłam, mamo. Lauren postanowiła sprzedać Rockland i opuścić Harmony.

- Naprawdę? - Pru przycisnęła rękę do gardła. - Nie mam pojęcia, co ją skłoniło do takiej decyzji...

Clay podniósł do ust kubek, zasłaniając nim połowę twarzy.

- Przecież miała zamiar sprezentować dom matce - rzekł.

- Audrey go nie chce! - Cameron wysunął krzesło i usiadł przy stole. - Ale to niczego nie tłumaczy. Lauren zbyt wiele wysiłku włożyła w remont, żeby nagle rezygnować z Rockland. Poza tym... jest w ciąży. Ze mną.

Przyglądał się z uwagą i zadowoleniem, jak krew odpływa rodzicom z twarzy.

- Boże! - szepnęła Pru.

Clay wstał, chwiejnym krokiem podszedł do okna i w milczeniu wyjrzał na dwór. W powietrzu wirowały pierwsze płatki śniegu.

- Coście Lauren powiedzieli? Coście jej zrobili? - powtórzył Cameron.

- Czy mógłbyś przestać nas oskarżać? - spytała zdławionym głosem matka. - Nic nie zrobiliśmy. A jeżeli Lauren chce stąd wyjechać, niech jedzie.

- Nie, mam. Nie puszczę jej. - Po tym, co jej wczoraj powiedział, wcale by się nie dziwił, gdyby już opuściła wyspę. Miał nadzieję, że jeszcze nie jest za późno. - Tak czy inaczej dowiem się wszystkiego, więc lepiej sami się przyznajcie...

Pru otworzyła usta, by znów zaprotestować, ale nieoczekiwanie do rozmowy wtrącił się Clayton.

- Przedwczoraj twoja matka złożyła Lauren wizytę. Zagroziła jej, że jeżeli z tobą nie zerwie, wydziedziczymy cię.

Cameron poczuł pieczenie w żołądku, które po chwili rozprzestrzeniło się na całe ciało.

- Rozumiem - rzekł z kamiennym spokojem.

- To dla twojego własnego dobra - oznajmiła matka.

- Uważam, że reakcja Lauren jest bardzo znacząca. Kiedy tylko usłyszała, że nie dostaniesz grosza, natychmiast postanowiła sprzedać dom i wyjechać. Zależało jej wyłącznie na twoich pieniądzech.

Przez ułamek sekundy Cameron wahał się - a nuż matka ma rację? - ale po chwili wątpliwości znikły.

- Mylisz się, mam. Poza tym nie życzę sobie, żebyś wtrącała się do mojego życia. Sam wiem, co jest dla mnie dobre, a co nie. - Wstał od stołu, wyciągając rękę po czapkę.

- Mam jedno pytanie. - Wziął głęboki oddech. - Czy mówiłaś serio? Czy naprawdę byście mnie wydziedziczyli, gdybym nadal spotykał się z Lauren?

Był ich jedynym synem. Ostatnim Hathawayem. Nie mogli go wydziedziczyć. Clay skierował wzrok na żonę. Patrzyli na siebie w milczeniu, porozumiewając się bez słów.

- Przykro mi, synu - powiedział z westchnieniem ojciec. - Naprawdę byśmy cię wydziedziczyli.

Był dwudziesty trzeci grudnia. Już parę godzin temu Lauren powinna była kupić bilet na prom i opuścić wyspę, by spędzić święta z rodziną. Prom jednak znajdował się po drugiej stronie cieśniny; wszystkie rejsy były odwołane. Samoloty też nie latały. Z północnego wschodu wiał wiatr o sile wichury, zasypując Harmony śniegiem.

O jedenastej Lauren włączyła telewizor, by obejrzeć prognozę pogody; miała nadzieję, że może nazajutrz prom zdoła wyruszyć, ale zdjęcia satelitarne pozbawiły ją złudzeń. Na wschodnim wybrzeżu szalała burza; nic nie wskazywało na poprawę warunków atmosferycznych. Pokazywano relacje z różnych miast: reporterzy opisywali warunki drogowe, rozmawiali z kierowcami pługów śnieżnych, podawali informacje o odwołanych lotach. Ani jedna relacja nie pochodziła z Harmony lub którejś z sąsiednich wysp totalnie odciętych od świata. Zgasiwszy telewizor, Lauren zadzwoniła do matki, by ją uspokoić.

- Czuję się jak u Pana Boga za piecem - powiedziała, nie wspominając o tym, jak wiatr świszczę, a śnieg wali w północną i wschodnią ścianę domu.

- Myślisz, że jutro wznowią rejsy?

- Wątpię. Ale kto wie? Może do wieczora burza ustanie.

Rozłączywszy się, zapaliła światła przed domem, aby lepiej widzieć padający śnieg. Potem włożyła ciepłą kurtkę i wbiegła na poddasze. Z oszklonej kopuły miała wspaniały widok na świat. Żałowała jedynie, że nie ma z nią Camerona; on jeden potrafiłby to docenić...

Nagle nastrój podniecenia prysł. Przypomniała sobie rozmowę w „Przystani”. No tak, świetnie zagrała swoją rolę - wyśmiewając pomysł małżeństwa i wspominając o oddaniu dziecka do adopcji, zdołała skutecznie zniechęcić do siebie Camerona.

Próbowała się pocieszyć. Powtarzała w myślach, że tak jest lepiej, że wcale nie są sobie pisani, że wkrótce Cam znajdzie kogoś innego, przecież był zaręczony...

A ona? Czy znajdzie kogoś, kogo pokocha równie mocno jak Cama? Kogoś, kto w trakcie zaciętej sprzeczki będzie umiał ją rozśmieszyć? Czyich opowieści będzie słuchać z zapartym tchem? Czyj uśmiech będzie przyprawiał ją o dreszcze?

- Boże, co ja zrobiłam? - szepnęła.

Zaczęła się zastanawiać, czy może nie popełniła największego błędu swego życia. Ale to już nie miało znaczenia.

Starając się nie myśleć o Cameronie, ponownie skupiła się na szalejącej za oknem śnieżycy. Na ziemi tworzyły się zaspasy, a widoczne w świetle reflektorów fale wyglądały jak rozpędzone białe rumaki. Nagle skojarzyła sobie, że w taką właśnie grudniową noc rozbił się na podwodnych skałach szkuner kapitana Graya. Rany boskie, Isabel, jakim cudem udało ci się przeżyć? W zalewających pokład lodowatych falach o wysokości sześciu metrów, uczepona jakiejś liny, słuchając krzyków i jęków umierających mężczyzn...

Lauren ocknęła się z zadumy. Światła zamigotały. Podczas burzy wiatr zawsze zrywał linie wysokiego napięcia, dlatego większość domów na wyspie miała własne generatory. Telefony też na ogół przestawały działać.

Światła ponownie zamigotały. Lauren uznała, że nie ma sensu dłużej siedzieć w kopule, podziwiając widoki, a potem po omacku schodzić na dół stromymi schodami. Jeszcze sobie nogi połamię.

Noc spędziła w Komnacie Lady Gray. Kilka razy budziło ją wycie wiatru. Raz podeszła do okna; wyspa pogrążona była w kompletnej ciemności. Patrząc na zacinający śnieg, Lauren poczuła się zagubiona i w czasie, i w przestrzeni.

Wróciwszy do łóżka, zakryła się po brodę i zamknęła oczy, jednakże po minucie czy dwóch znów siedziała, wpatrując się w okno. W pokoju unosił się zapach lawendy.

- Przybądź, Johnie - szepnęła. - Niech ci się wreszcie powiedzie.

W Wigilię rano wiatr wciąż dał, zasypując śniegiem wyspę. Ale po południu burza zaczęła przemijać. Siła wiatru zmalała, ustały intensywne opady śniegu. Tuż przed wieczorem chmury rozproszyły się i wyspę zalały złociste promienie zachodzącego słońca. Świat wyglądał jak zaczarowany.

Lauren biegała od okna do okna, usiłując obejrzeć go ze wszystkich stron. Nagle spostrzegła światła samochodu skręcającego w podjazd przed domem. Przeczesawszy ręką włosy, ruszyła do drzwi. Dzielilo ją od nich kilka metrów, gdy rozpoznała charakterystyczny warkot silnika. Zamarła; nawet nie była w stanie oddychać. Cameron? Tutaj?

Niemożliwe. Jego słowa wciąż dźwięczały jej w głowie. „Nie wracaj na wyspę. Trzymaj się ode mnie z daleka”. Przecież nie chciał jej więcej widzieć. Więc co się stało? Dlaczego przyjechał? Żeby udusić ją własnymi rękami? A może chciał ją zawiadomić, że będzie dochodził swych praw rodzicielskich? Taka myśl nigdy wcześniej nie zaświtała jej w głowie. Jak się powinna zachować? Gdyby nie burza, już dawno by opuściła wyspę. Boże, dlaczego ma na sobie tę idiotyczną czerwoną bluzę z choinką na plecach i tańczącymi misiami na piersi? Może mogłaby skryć się za wieszakiem i udawać, że nikogo nie ma w domu? Nie chciała widzieć się z Cameronem. To znaczy pragnęła tego z całego serca, lecz się bała.

Przez okienko w drzwiach widziała, jak Cam przedziera się przez zaspę i wchodzi po schodkach na werandę. Niósł jakiś pakunek owinięty w folię. Czyżby prezent?

Zastukał kołatką, po czym mrużąc oczy, usiłował zajrzeć do środka. Chociaż dzieliło ich kilka metrów, widziała determinację w jego twarzy oraz stanowczość w ruchach. Nagle dostrzegł ją i pomachał, błyskając w uśmiechu zębami.

Nie było wyjścia. Zmuszając się, postąpiła parę kroków do przodu i otworzyła drzwi. Poczula powiew mroźnego powietrza. Drżąc z zimna, ujrzała ze zdumieniem, że samochód stoi tyłem do werandy. A w bagażniku...

- Rany boskie! - zawołała, Cameron bowiem przywiózł jej nie jeden prezent, lecz całą furę.

## Rozdział 17

Natychmiast skarciła się w duchu. Czy nie nazbyt pochopnie wyciąga wnioski? Dlaczego Cameron miałby ją obsypywać tyloma prezentami? Dlaczego miałby jej dać choć jeden? Chyba że pod barwnym opakowaniem kryła się bomba lub granat.

Nie, pewnie wybiera się z wizytą do przyjaciół. W takim razie dlaczego stworzył bagażnik?

- Cześć. - Oparł się o karoserię i uśmiechnął szeroko.

- Cześć. - Przyglądała mu się uważnie, starając się nie okazywać radości, która ją rozpierała - Co ci strzeliło do głowy, żeby wychodzić na taką pogodę? Drogi są zasypane...

Wzruszył ramionami.

- Mam napęd na cztery koła.

- Aha. - Nie wiedziała, co zrobić z rękami: skrzyżować na piersi, wsunąć do kieszeni, oprzeć na biodrach. - Wejdz...

Popatrzył na nogi. Stał po kolana w śniegu.

- Nie chcę ci zabrudzić podłogi... Trzymaj. - Podał jej prezent. - Bądź tak miła i połóż to pod choinką. Nie bój się - dodał, widząc wahanie w jej oczach. - Nie wybuchnie.

Przyjęła owinięty folią pakunek - był wielkości kuchenki mikrofalowej, ale sporo lżejszy - i poszła do salonu. Szkoda, że prąd jest wyłączony, pomyślała. Z przyjemnością zapaliłaby światełka na choince. Wprawdzie w Rockland były dwa generatory, lecz wołała, aby zasilaly piec, lodówkę i zamrażarkę.

Gdy wróciła do holu, Cameron trzymał w ręku kolejne pudło, nieco większe, owinięte papierem w biało-czerwone paski.

- Co ty najlepszego wyprawiasz? - zdziwiła się.

- Później ci wszystko wyjaśnię. Chyba prościej będzie, jak wykopię dróżkę.

Wyjął z bagażnika łopatę i zaczął odgarniać śnieg.

- Znacznie lepiej - wysapał po chwili.



Podał jej następne trzy pakunki. Z sekundy na sekundę ciekawość Lauren pogłębiała się. Również jej smutek. Owszem, ona też miała dla Cama prezent, ale tylko jeden - stary przyrząd nawigacyjny, który podziwiał w jednym ze sklepików na Cape Cod. Jeżeli zaś te wszystkie pakunki są dla niej...

Nie, to niemożliwe. Musi istnieć inne wytłumaczenie.

Kiedy wreszcie bagażnik został opróżniony, Cameron ściągnął buty, kurtkę, czapkę - naelektryzowane włosy sterczały mu zabawnie na wszystkie strony - i w wełnianych skarpetach podreptał do salonu. Lauren zapaliła trzy świece na stoliku oraz dwie na półce nad kominkiem. Ciepły złocisty blask rozjaśnił pokój.

- Zanim do czegokolwiek przystąpimy, chętnie napiłbym się gorącej kawy. Strasznie zmarzłem.

- Dobrze, ale musi być niska. Bez prądu nie uruchomię ekspresu.

- W porządku, może być niska.

Po paru minutach wyłoniła się z kuchni z kubkiem parującej kawy doprawionej whisky. W tym czasie Cameron ułożył w kominku drewno i właśnie pocierał zapalną. Czuł się w Rockland jak u siebie w domu.

- Proszę, to cię powinno rozgrzać.

- Dzięki. - Pociągnąwszy kilka łyków, odstawił kubek na podłogę i wrócił do rozpalania ognia.

Lauren usiadła na kanapie i z niepewnym uśmiechem na twarzy zastanawiała się, o co w tym wszystkim chodzi.

- No dobrze, już możemy zaczynać. - Pocierając ręce, usiadł na dywanie przy stosie prezentów i gestem wskazał jej miejsce obok siebie.

- Czy... - zawahała się - wszystkie są dla mnie? Spoglądając na stos, potarł z namysłem brodę.

- Tak - odparł wreszcie.

Czując, że serce wali jej jak oszalałe, Lauren wstała z kanapy i chwiejnym krokiem podeszła do choinki.

- Proszę. - Podał jej małe pudełko.

Drżącą ręką zerwała opakowanie i uniosła wieczko. W środku ujrzała zegarek.

- Ojej. Jaki... śmieszny. - Był zupełnie nie w jej stylu; bardziej nadawał się dla nastolatki niż dla dojrzałej kobiety. - Miałam podobny, kiedy... kiedyśmy...

Zanim zdołała wyjąć zegarek, Cameron podał jej kolejne pudełko. Zawierało klepsydrę.

- Jaka śliczna! - Obróciła ją pełną stroną do góry i w milczeniu obserwowała, jak na tle tańczących płomieni ognia maleńkie ziarenka piasku przesypują się do dolnego naczynia.

Po chwili Cameron odłożył klepsydrę na bok i podał Lauren jeden z większych pakunków. W środku leżał starannie zabezpieczony zegar w kształcie banjo.

- Och! - Podniosła oczy i napotkała pełne miłości spojrzenie mężczyzny, który był ojcem jej dziecka. - Nie mogę tego przyjąć - szepnęła.

- Możesz. Tu jest jego miejsce.

- To zbyt cenny...

- Tu jest jego miejsce - powtórzył z naciskiem Cameron. - Naprawdę. Należał do Isabel.

Lauren wytrzeszczyła oczy ze zdumienia. Pochyliwszy się w jej stronę, Cameron pocałował ją lekko w usta, po czym sięgnął po kolejny prezent.

- Nie. Starczy! - zaprotestowała.

- W takim razie pozwól, że ja odpakuję.

Ściągnął złocistą folię i otworzył pudełko. Oczom Lauren ukazał się delikatny medalionik na cienkim złotym łańcuszku.

- Medalionik się otwiera - powiedział. - Ciekawe, co może być w środku...

W środku był maleńki zegareczek.

- Dostrzegam pewien motyw przewodni - rzekła Lauren. Głos jej drżał, podobnie jak całe ciało. - Nie! - sprzeciwiła się stanowczo, gdy Cameron ponownie wyciągnął rękę w stronę choinki. - Przestań! Nie mogę... Nic z tego nie rozumiem. Kiedy ostatnim razem się widzieliśmy, chyba dość jasno się wyraziłam...

- Że co? Że chcesz sprzedać Rockland? Oddać do adopcji dziecko? Zrezygnować ze wspaniałego seksu? Odejść ode mnie? - Uśmiechając się do niej, potarł stopą jej kolano. - Nie wygłupiaj się, Lauren. Za kogo ty mnie masz, co?

Zmarszczyła czoło, przyłożyła palec do nosa i przez chwilę siedziała zadumana.

- Co robisz? - spytał.

- Myślę - odparła.

- Głuptas! - Objął ją za szyję i pociągnął ku sobie.

- Przestań, Cam! Mówię serio. Chciałabym wiedzieć, co się dzieje.

- No dobrze. - Westchnął. - Więc dzieje się to, że poszedłem po rozum do głowy, że przejrzałem na oczy. Zachowałem się jak skończony kretyń, wierząc w te twoje kłamstewka.

Chciała zaprotestować, że to nie żadne kłamstewka, ale przycisnął palec do jej ust i pokręcił głową.

- Odbyłem poważną rozmowę z moimi rodzicami.

- Ale...

- Nie przerywaj. Wiem o wizycie, jaką mama ci złożyła. Wiem także, co ci powiedziała.

Lauren spuściła wzrok.

- Przepraszam, Cam. To ja zachowałam się jak kretyńka. Zamiast narażać cię na ból, złość i cierpienie, powinnam była szczerze z tobą porozmawiać. Ale twoja mama ostrzegła mnie, żebym trzymała język za zębami. Powiedziała, że jeśli będziesz musiał dokonać wyboru, to raczej wybierzesz mnie niż majątek rodzinny.

- Miała rację. - Ujmując ją delikatnie za brodę, popatrzył jej czule w oczy. - Już wybrałem. Ciebie.

- A twoi rodzice? Naprawdę cię wydziedziczą? Wzruszył ramionami.

- Tak twierdzą. Ale jeśli myślisz, że zamierzam się tym przejmować, to się grubo mylisz.

- Ale domy, ziemia, interes rodzinny, inwestycje... - Potrząsnęła głową. - Nie pozwolę, żebyś dla mnie rezygnował z tego wszystkiego.

- Za późno.

- Będziesz żałował. Znienawidzisz mnie.

- Nigdy - oznajmił poważnie. - Posłuchaj, Lauren. Podjąłem decyzję i na pewno jej nie zmienię, więc przestań protestować. Poza tym jeszcze nie skończyłaś otwierać prezentów.

Otarła rękawem łzy, po czym wstała z podłogi i poszła po chusteczki. Uznała, że się nie zmarnują. Nie pomyliła się.

We wszystkich pudełkach i paczuszkach, które jej wręczał, znajdowała przyrządy do mierzenia czasu. A to małe radyjko z budzikiem, a to śmiesznego czarnego kota z ogonem, który służył za wahadło, i oczami, którymi mrugał co sekunda, a to futurystyczny zegar z lśniącej stali. Większość chronometrów była stara, piękna i wartościowa.

Kiedy pod choinką zostały trzy pakunki, Lauren nie była w stanie się dłużej opanować. Łzy popłynęły jej ciurkiem. Przysunęła się do Camerona i wtuliła twarz w jego miękki, wełniany sweter. Gładził ją po plecach, po włosach, powtarzając cicho:

- Już prawie koniec, skarbie. Jeszcze tylko trzy. Otarła chustką oczy i wróciła do otwierania prezentów.

Jedno pudełko zawierało pierścionek z ruchomym oczkiem, pod którym mieścił się malutki zegarek. Drugie - kryształowy zegar kominkowy. Była zdenerwowana, sięgając po ostatni pakunek, tym bardziej że Cameron patrzył na nią jakoś tak wyczekująco. Powoli uniosła pokrywkę; pod cienką, białą bibułą ujrziała najcenniejszy okaz ze wszystkich: stary, mosiężny zegar słoneczny z rzymskimi cyframi oraz napisem wokół tarczy.

- Co tu jest napisane? - Obróciła tarczę w stronę płomieni. - „Tykanie zegara...”

- „Tykanie zegara odmierza czas” - zacytował. - „Połączmy nasze serca wraz”.

Speszona, odwróciła wzrok. Z jej oczu wycierał strach, a zarazem nadzieja. Cameron schował zegar do pudła, po czym ujął Lauren za rękę. - Połączmy nasze serca... - powtórzył cicho.

- Chyba nie mówisz poważnie? - spytała zdławionym głosem.

- Bardzo poważnie.

Nie mogła się powstrzymać - wybuchnęła płaczem, który po chwili przeszedł w śmiech.

- Przepraszam. To przez ciążę i te hormony - mruknęła chichocząc. - Ale co z twoimi rodzicami? Co ze spadkiem?

- Kocham cię, Lauren. - Wziął ją w ramiona. - Kochałem cię jako szczeniak i później, kiedy byliśmy z dala od siebie. I wiem, że będę kochał aż do śmierci. Jeżeli ty mnie też kochasz, nic innego się nie liczy.

- Oczywiście, że cię kocham! Nad życie. Przytulił ją z całej siły.

- Nawet sobie nie wyobrażasz, jak bardzo żałuję tych piętnastu straconych lat...

- Poglądził ją po włosach. - Nie

wiem, czy liczyłaś, ale pod tą choinką leży piętnaście różnych zegarów.

- Jeden za każdy rok?

- Tak. - Lśnięcymi od łez oczami popatrzył w jej wilgotne oczy. - Jedno mogę ci obiecać - powiedział, uśmiechając się szelmowsko. - Że już nigdy w życiu nie podaruję ci zegara. Jeżeli tylko...

- Jeżeli tylko co?

- Wyjdiesz za mnie za męż.

- Ale...

- Żadnych ale. Zostawiamy przeszłość za sobą i zaczynamy wszystko od nowa. Więc jak? Czy zostaniesz moją żoną?

- Tak! Tak!

Ich usta zetknęły się w pocałunku i w tym samym momencie rozbłysło światło: w domu, na choince, w ogrodzie. Marszcząc czoło, Lauren rozejrzała się wkoło. Nie pamiętała, by wcześniej zapalała lampki na choince ani reflektory w ogrodzie. Nie, na pewno ich dziś nie zapalała.

- Chyba Isabel pochwała nasz związek - szepnęła. Cameron wybuchnął śmiechem. Nie przyszło mu do głowy, że Lauren mówi serio.

Postanowili się pobrać w sylwestra, by wraz z nadejściem nowego roku rozpocząć nowe życie. Ponieważ czasu było niewiele, zaplanowali skromną domową uroczystość, na którą zaprosili najbliższą rodzinę oraz najściślejsze grono przyjaciół.

W sylwestra o szóstej wieczorem Lauren zeszła na dół ubrana w przepiękną brokatową suknię w kolorze perłowym.

Kilka kroków przed panną młodą kroczyła, dumna i szczęśliwa, Audrey DeStefano, którą córka poprosiła o zostanie druhną. W powietrzu rozbrzmiewały dźwięki harfy, unosił się zapach niezliczonych bukietów białych i żółtych róż.

Cameron czekał w salonie ze swym drużbą, którym był Fred Gardiner, oraz miejscowym pastorem. Goście siedzieli na ustawionych w rzędach krzesłach, Lauren jednak nikogo nie widziała poza wystrojonym w czarny smoking panem młodym.

Uroczystość była prosta, skromna. Z powagą i czułością młodzi wymienili najpierw przysięgę małżeńską, potem obrączki. Kiedy wreszcie odwrócili się przodem do gości, Lauren uświadomiła sobie, że po raz pierwszy widzi na ślubie tyle zapłakanych twarzy.

- Co się z wami dzieje? - spytała ze śmiechem.

Julia, pociągając nosem i ocierając łzy, odpowiedziała za wszystkich:

- Jeszcze nigdy w życiu się tak nie cieszyłam, że dwoje zakochanych ludzi się wreszcie pobrało.

- To prawda - przyznała Cathryn, nic sobie nie robiąc z rozmazanego makijażu.

Jako pierwsza złożyła młodej parze życzenia Audrey, potem zapłakane siostry Lauren i jej bracia. Inni goście ruszyli w ich ślady, między innymi uśmiechnięty od ucha do ucha Joe Giancomo, dwaj wujowie Camerona ze swymi żonami i potomstwem oraz jego cioteczna babka, Florence Hathaway. Jedynymi członkami rodziny, którzy nie potwierdzili zaproszenia na ślub, byli Prudence i Clayton Hathawayowie. Dlatego, kiedy Cam ich dojrzał na końcu salonu, przez moment nie wierzył własnym oczom.

- Są - szepnął do Lauren.

- Więc chodźmy się przywitać - rzekła, wiedząc, że sami do nich nie podejda. Cameron skinął głową.

- Jak to miło, że państwo przyszli - rzekła do nich.

- Nie możemy długo zostać - oznajmiła Pru i zacisnąwszy usta, wbiła wzrok w ścianę.

Cameron nie czuł złości ani wyrzutów sumienia; po prostu było mu żal matki. Spojrzał na ojca, mając nadzieję, że ten zdobędzie się na jakiś serdeczny gest, na życzenia lub gratulacje, lecz Clayton stał speszony, milczący, jakby nie wiedział, co powiedzieć. Krępującą ciszę przerwała Lauren.

- Bardzo proszę, niech państwo zostaną na kolację. Specjalnie dla nas przygotowali ją kucharze z hotelu „Surf”.

- Dziękujemy - mruknął pod nosem Clay, coraz bardziej speszony. - Może chwilkę moglibyśmy...

Cameron objął Lauren w pasie.

- Powinniśmy porozmawiać z innymi gośćmi. Odeszli kilka kroków, kiedy Clay zawołał:

- Poczekajcie. - Zostawiwszy żonę, zbliżył się do nowożeńców. - Gratuluję, chłopcze. - Wyciągnął do syna dłoń, po czym cmoknął Lauren w policzek. - Wyglądasz prześlicznie, moja droga.

Wzdychając głośno, Pru wzięła z męża przykład; również podeszła do młodych i złożyła im życzenia. Ale nie uśmiechnęła się. Jeszcze tego by brakowało!

Wszyscy udali się do jadalni.

- Pamiętasz, jak tu było parę miesięcy temu? - szepnęła Lauren do męża. - Prowizoryczne stoły z desek ustawionych na kozłach, brud, kurz, odpadające tynki...

Dwie godziny później, po licznych przystawkach i pysznych daniach, po wielu toastach i kilku spontanicznie wygłoszonych przemówieniach, goście wstali od stołu. Z dyskretnie ukrytych głośników popłynęła muzyka.

- Słuchajcie! - zawołała Julia. - Chociaż państwo młodzi nie zaplanowali na dziś tańców, to jednak tradycji powinno się stać zadość. Pierwszy taniec należy do Lauren i Cama!

Lauren wzruszyła się do łez, gdy usłyszała utwór Etty James pod znamienym tytułem „Nareszcie razem”. Po paru minutach do nowożeńców przyłączyli się pozostali. Krzesła usunięto pod ścianę. Na parkiecie zrobiło się tłoczno.

O wpół do dziesiątej Cameron poprosił gości o chwilę uwagi.

- Kochani, ponieważ jest ostatni dzień starego roku, Lauren i ja przygotowaliśmy dla was niespodziankę, ale nie chcemy czekać z nią do północy. Mamy cichą nadzieję, że przed północą pożegnamy się z wami i zostaniemy już tylko we dwoje. - Poczekał, aż ucichnie śmiech, po czym kontynuował: - Chcemy rozpalić w ogrodzie wielkie wspaniałe ognisko. Chcemy, żeby to się stało tradycją w naszym domu. Lecz to nie wszystko. Chcemy wprowadzić jeszcze jeden nowy zwyczaj.

Goście słuchali z zapartym tchem; widać było, że rozbudził ich ciekawość.

- Chcielibyśmy, żeby każdy napisał na kartce papieru swoje grzechy popełnione w ciągu minionego roku. Grzechy, żale, pretensje, rzeczy, których nie zrobił albo które wolałby zrobić inaczej. Później wyniesiemy te kartki na zewnątrz i wrzucimy do ogniska. Niech nagromadzone w nas złe emocje pójną z dymem.

- Genialnie! - zawołała Julia.

Inni podeszli do pomysłu równie entuzjastycznie.

Lauren rozdała ołówki i kartki. Nastąpiła cisza; wszyscy w skupieniu pisali. Radosny nastrój jednak już nie wrócił, zupełnie jakby przykre wspomnienia przytłoczyły gości.

Włożywszy ciepłe palta, rodzina i przyjaciele wyszli na zewnątrz, do ogrodu za domem, gdzie Cam rozpałił wielkie ognisko. Kolejno podchodzili do strzelających płomieni, wrzucali do ognia zapisane kartki i patrzyli, jak te obracają się w popiół. Powoli napięcie zniknęło z twarzy, ich miejsce zajmowała ulga i spokój.

Clayton Hathaway również cisnął do ognia swoje smutki i żale, po czym podniósł wzrok i spojrzał na syna, który stał po drugiej stronie ogniska. Po chwili obaj się do siebie uśmiechnęli.

Nie zauważyli nadejścia nowego roku. Leżeli w wielkim łóżu z baldachimem, zbyt zaabsorbowani sobą, by zwracać uwagę na tak błahe sprawy jak mijający czas. Kochali się, rozmawiali o przyszłości, potem znów się kochali i znów rozmawiali. Rozmowa na ogół obracała się wokół dziecka, które latem miało się pojawić w ich życiu. Wreszcie jednak Lauren poruszyła temat domu.

- Zrobimy, co zechcesz - oznajmił Cam. - Całkiem podoba mi się twój pomysł, żeby organizować tu przyjęcia weselne.

- A mnie twój, żeby urządzić muzeum, oprowadzać gości i organizować imprezy, z których dochód byłby przeznaczony na cele charytatywne.

- Kiedyś powiedziałaś bardzo mądrą rzecz. Że domy są dla ludzi, a nie ludzie dla domów. Zamieszkajmy w Rockland, a potem zobaczymy.

- Serio, Cam? To strasznie wielka chałupa.

- Bo ja wiem? Myślałem o tym, żeby jeszcze zagospodarować poddasze.

Przydałoby nam się miejsce na dwa gabinety, na salkę gimnastyczną, na stół pingpongowy...



- Ale po co poddasze? Jest przecież tyle wolnych pokoi!  
- Miałem nadzieję, że zapełnimy je dziećmi...  
- Dziećmi, powiadasz? A skąd ich tyle weźmiemy?  
- Może się o nie postaramy? Jakoś nie mamy problemów w tej dziedzinie. Co o tym sądzisz?

- Hm. - W tym momencie Lauren zrozumiała, że szczęście naprawdę się do niej uśmiechnęło. Wspaniały mąż i dom pełen dzieci poczętych z miłości... Czy mogło ją spotkać coś lepszego? - Sądzę, że to doskonały pomysł, panie Hathaway.

Przypieczętowali swe marzenia długim pocałunkiem.

- Szczęśliwego Nowego Roku, najmilsza.

- Szczęśliwego Nowego Roku, kochany.

W najbliższym numerze „Island Record” pojawił się artykuł opisujący liczne imprezy sylwestrowe, jakie odbyły się na Harmony. Po raz kolejny przypomniano legendę o Isabel i Johnie Grayach, i po raz kolejny znaleźli się ludzie, którzy przysięgali, że w ostatnią noc starego roku widzieli na morzu szkuner „Lady Gray”.

Nie było w tym nic dziwnego, w końcu pod wpływem alkoholu widuje się najróżniejsze rzeczy, a w sylwestra nikt za kołnierz nie wylewa. Jednakże w tym roku relacje świadków różniły się od relacji z poprzednich lat. W tym roku wszyscy zgodnie twierdzili, że szkuner nie płynął w stronę wyspy, przeciwnie, oddalał się od niej, oddalał, aż wreszcie zniknął za horyzontem.

Bywalcy „Water Diner” z rozbawieniem komentowali artykuł. W domach na wyspie rodzice mówili dzieciom, że to tylko legenda, ładna bajka nie mająca nic wspólnego z rzeczywistością.

W Rockland zaś, w pokoju, który nagle przestał pachnieć lawendą, Lauren podeszła do okna i uniosła dłoń w pożegnalnym geście.

